

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 140.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

SERYA V.

Październik.

TOM IV. — ZESZYT X.

WARSZAWA.

Skład i Exp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 30 września 1875 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. HISTORIA. Prawo polskie w w. XIII-ym, przedstawił i objaśnił ze źródeł współczesnych Romuald Hube. Przez Michała Bo-brzyńskiego.	1
II. LITERATURA. Pamiętnik z pobytu w Ameryce. Przez Krystynę Narbuttównę. (Dokończenie).	20
Obrazy ze współczesnej literatury niemieckiej. Przez Feliksa Jezierskiego.	45
III. SZTUKI PIĘKNE. Przegląd krytyczny dziejów szkoły sztuk pięknych w Krakowie (1818—1873). Przez Wł. Łuszczkiewicza. (Dokończenie).	54
IV. POWIEŚĆ. Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. (T. II. Dalszy ciąg).	78
V. KRONIKA ZAGRANICZNA, naukowa, literacka i artystyczna.—Korrespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, wydana z archiwów, przez p. Mony.—Nowe utwory poetyczne: poezyc Armanda Sylwestre z przedmową p. Georges Sand.—Locta-mocsta (smutno-wesołe) p. Darasse.—Illusions p. Cosalis.—Dyonizya p. Andreani.—Poezyc nowe p. Millieu.—Grób Micheleta.—Teatr: Jan Bosc (Jean-nu-pied) dramat czteroaktowy wierszem, p. Alberta Delpit.—Hanz Christian Andersen.	107
VI. PRZEGLĄD PISMIENICTWA KRAJOWEGO I ZA-GRANICZNEGO. Symbolical Centenary Chart of American History. Published by J. Horain et comp. 116 Fulton N(ew)York). Przez Ernesta Świeżawskiego.	137
Teorya stylu polskiego, napisana przez Józefę Kamocką b. nau-czycielkę gimnazjum żeńskiego. Warszawa 1875 r. Przez F. J.	147
Obrazki Syberyi, przez Ludwika Niemojowskiego. Ilustrował E. M. Andriolli. Warszawa, nakładem i drukiem J. Ungra 1875 r. (w 8-ce str. 497). Przez W.	150
Słowniczek łacińsko-polski wyrazów prawa magdeburgskiego z wieku XV, przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego objaśnił dr. Zygmunt Celichowski. Poznań, nakładem biblioteki Kórnickiej. 1875, (w 8-ce str. 16 i 12 podobizny). Przez R.	155
VII. WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.	156
VIII. NEKROLOGIA.	160

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 140.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

— 35 —

Tom czwarty.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1875.



Дс. II. 1

Дозволено Цензурою.
Варшава 17 Сентября 1875 года.

PRAWO POLSKIE W WIEKU XIII-ym,
przedstawił i objaśnił ze źródeł współczesnych
Romuald Hube.

(BIBLIOTEKA UMIEJĘTNOŚCI PRAWNYCH, SERJA 1-SZA) WARSZAWA 1875.

W badaniu prawa polskiego nastąpił przed dwudziestu laty stanowczy zwrot, który nie uszedł zapewne świadomości ludzi w studia historyczne u nas bliżej wtajemniczonych. Mając smutne doświadczenia przed sobą, uznano wówczas dopiero, że próżną jest rzeczą kusić się o jakikolwiek obraz prawa polskiego, czy to w całości, czy też choćby w jednej z licznych jego gałęzi, dopóki się nie zgromadzi większego zapasu z jego nieprzebranych a uległych zupełnemu zapomnieniu źródeł, dopóki się źródła tych krytycznie nie opracuje i nie przetrawi. Pierwszym, który dalszemu ronieniu niedojrzałych płodów przez młodszą generację położył skuteczną zapórę, a pracę około prawa polskiego z dziedziny płonnych domysłów i trudnych już dzisiaj do pojęcia mrzonek, sprowadził na pole trzeźwój a umiejtnój rzeczywistości, był nieodżałowanej pamięci Antoni Zygmunt Helcel. Mąż ten nierównanego talentu i wiedzy przeniósł na siebie, że gotowe już niemal dzieła swe, ogół dawnego prawa obejmujące, odłożył na bok, a z prawdziwym zaparciem się gorączki autorskiej, z głębszym, niezmordowanym zapałem rzucił się do pracy, której zawdzięczamy pierwszy i drugi tom „Starodawnych prawa polskiego pomników.” Młodsze pokolenie wstąpiło w te ślady. Z mniejszym nierównie talentem, bez dobrej historyczno-prawniczej szkoły, wśród ciągłych politycznych przewrotów, ustrzegło się ono przecież drogi fałszywej, a działalność swą objawiło głównie w wydawnictwie kilkunastu dyplomatarjuszów, którym daleko wprawdzie do doskonałości, ale z których pożytek widocznym jest i rzeczywistym. W ostatnich kilku latach usiłowania nietylko coraz to szerszy zakres obejmowały, ale okazywały coraz to lepsze zrozumienie rzeczy, wyrabiały sobie pewną samowiedzę i na jakości swój zyskiwały. Zbudziła się krytyka, namiętna nieraz i osobista, ale w gruncie rzeczy zbawienna zawsze i pożyteczna. Coraz to ważniejsze, coraz to śmielsze przedsięwzięcia były zapowiedziane. Czekano ich z niecierpliwością. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, żeby materyał dotychczas zebrany wystarczał już do jakiegóś konstruktywnój pracy, żeby do stworzenia pewnego obrazu dawał dostateczną podstawę. Wtém rozchodzi się wieść, że dziś a jutro ukazać się ma dzieło przedstawiające, na podstawie znanych dyptomatów, całkowity system prawa polskiego w XIII stóleciu. Gdy by nie imię autora, nie ulega wątpli-

wości, że wieść tego rodzaju byłaby przyjętą z uczuciem smutku, z przekonaniem, że to znowu jedna z prób płytkiego sądu i lekkomyślności. Usłyszano jednak imię R. Hubego, które nigdy jeszcze nie służyło za płaszcz rzeczy powierzchownej, skrzywionej lub nieumiejętnej. Była więc pewność że się ukaże praca rzetelnej zasługi i wewnętrznej wartości. Nie zdawano sobie tylko sprawy z jej kierunku, z jej rozmiarów i doniosłości. Ciekawość była nie mała. To też „Prawo polskie w wieku XIII, Warszawa 1875.“ dzieło o trzystu stronnicach ścisłego druku, w kołach prawem polskim i historią się zajmujących, już po pierwszym pobieżnym przeglądzie wywołało powszechną radość, a dla sędziwego autora uczucie czci i prawdziwej wdzięczności. Przystudyowawszy je sumiennie, poczytujemy sobie za miły obowiązek, szerszą publiczność naukową z nim obznajomić.

Otóż autor zdaniem naszym z tej prostej przyczyny ustrzegł się najniebezpieczniejszego a tak łatwego popadnięcia w dziedzinę płonnych hipotez i zwodniczych poglądów, i wybrnął ze swego zadania zwycięzko, że ściśle, może nawet zbyt niewolniczo trzymał się tej podstawy, jaką mu do zbudowania jego dzieła dawały same współczesne autentyczne, nieposzlakowane źródła. Wymienia je też na wstępie (str. 16): około trzydzieści dyplomatarjuszków (z tych trzy nie drukowane) zawierających blisko 1200 dyplomatów z XIII wieku, przywilej żydowski z r. 1264, księga praw polskich zwyczajowych z XIII wieku, świeżo przez Helcla wydana, statuta synodalne prowincyi gnieźnieńskiej i t. z. Liber foundationis klasztoru w Henrykowie na Szlązku. Ze źródłami temi zapoznaje autor w krótkości czytelnika z rzeczą bliżej nie obznajmionego. Wiadomości podane na tém miejscu wystarczają też, aby czytelnikowi dać o źródłach pewne wyobrażenie, są jednak zupełnie niedostateczne, aby mu dać pojęcie o ogromie pracy przez p. Hubego nad zużytkowaniem tych źródeł podjętej. Zastąpimy w tej mierze zbyt skromnego autora.

Stwierdżonem jest badaniami Helcla, że wiek XIII w Polsce, nie zdobył się jeszcze na żadne statuta i w ogóle na nic takiego, co by na sobie nosiło znamię ogólnej ustawy. Jedynym chyba wyjątkiem byłyby przywilej Bolesława księcia kaliskiego, udzielony żydom w roku 1264. Prawo zwyczajowe panowało wszechwładnie, a przechowywało się i rozwijało w przeświadczeniu prawnem narodu i w praktyce rozlicznych sądów i jurysdykcyi. W jednym tylko, o ile wiemy, zakątku rozległej polskiej ziemi, tam gdzie prawo polskie zetknęło się najwięcej z prawem obcym niemieckim, mianowicie w Prusiech, spisano zwyczajne prawa polskie dla lepszej pamięci, chociaż była to praca czysto-prywatnej natury, która na przekształcenie się prawa zwyczajowego w ustawowe, żadnego nie wywarła wpływu, a dochowana tylko w ułamku, zresztą dość lakoniczna, o całości ówczesnego prawa polskiego nie daje zupełnie wyobrażenia. Nie mając więc zasad prawa tego nigdzie zebranych, a pragnący je sobie odtworzyć, trzeba koniecznie szukać ich w szczegółowych aktach prawnych, które były wpływem

ogólnych zasad i w których zasady te się objawiają. Aktów tego rodzaju zdołał nasz autor zebrać tysiąc dwieście, jakto wyżej już wspomnieliśmy. Są to nadania książąt, wyroki sądowe, zamiany darowizny, działy i t. p. Z każdego z nich daje się zebrać kilka lub kilkanaście szczegółów, odnoszących się zarówno do formy pewnych czynności prawnych, jako też do wewnętrznej ich treści. Jeżeli zaś uda się szczęśliwie stwierdzić, że na jedną i tę samą instytucję prawną zawsze jednako się zapatrywano, że np. sprzedaż nieruchomości następowała zawsze za zezwoleniem panującego; w takim razie wniosek ztąd łatwy, że czezwolenie to, było koniecznym warunkiem ówczesnego prawa, i jedna ze zasad prawa stoi przed nami gotowa. Cała więc praca p. Hubego zasadzała się na tém, ażeby ze wszystkich owych tysiąca dwustu dyplomatów i z innych pomników XIII w. wycisnąć całą treść prawną, szczegóły należące do siebie zestawić, możliwe zasady prawne z nich wywnioskować, zasady te z przepisami złożonemi we wspomnianej księdze prawa zwyczajowego połączyć, a nakoniec z zasad tych ogólny system prawa polskiego w XIII wieku zbudować.

Gdybyto dyplomata polskie z XIII wieku były prawdziwie krytycznie wydane, gdyby tekst ich był zupełnie poprawnym; gdyby dyplomatarysze były zaopatrzone w tak zwane rejestra rzeczowe: wówczas praca badacza budującego z gotowych już szczegółów całość, byłaby wiecej przyjemną niż trudzącą i cierpką. Ależ na nieszczęście, nawet najlepsze z dyplomataryszów naszych nie zaspokoją wymagań prawnika. Autor pragnąc z ich treści korzystać, dopełniać więc musiał przedewszystkiem to, czego zaniedbali uczynić pierwotnie wydawcy, poprawiać tekst, usuwać niezliczone nieraz błędy, wprowadzać we wszystko pewien ład i porządek, pisać przedewszystkiem rejestra. Praca to przyprowadzająca do najwyższej niecierpliwości, a dzieło p. Hubego gdybyśmy mu wszystkich innych odmówić mieli zalet, miałyby już tę ogromną zasługę, że samo przez się jest jakby jednym wielkim rejestrem rzeczowym do wszystkich znanych dyplomatów XIII stolecia.

Nie jest to jednak sam indeks rzeczowy, wskazówka, za której śladem należałoby dopiero wszystkie dyplomatarysze za każdym szczegółem z osobna przetrząsać; ale jest tam rzeczywiście cała treść naszych źródeł prawnych z XIII wieku zebrana i wyciśnięta. Nie ma jednego szczegółu chwyconego, jak mówią z powietrza, wymarzonego w bujnej wyobraźni; każde słowo poparte dowodem, najczęściej przytoczeniem odnośnego źródła w tekście oryginalnym. Z tego więc względu, z tytułem metody naukowej w wypracowaniu całego dzieła użytej, przekonani jesteśmy, że autora nie spotka żaden zarzut uzasadniony.

A jednak pomimo tak sumiennego, tak misternego wykończenia szczegółów, tkwi w całym dziele coś, co nam najlepsze wrażenie, jakibyśmy z niego odnieść mogli, do pewnego stopnia zamąca. Słyszeliśmy prawników i nie prawników o dziele tém się wyrażających, wszyscy obok największego uznania podnosili, że dziełu p. Hubego brak

jest jeszcze czegoś, aby mogło czytelnika zupełnie zaspokoić i zadowolnić: spróbujmy wytłumaczyć, na czém ten brak się zasadza.

Wielu czytelników książki p. Hubego spodziewało się znaleźć w niej nie tylko obraz prawa polskiego, jakim ono było w XIII stuleciu, ale zarazem genetyczne prawa tego wytłumaczenie i porównanie go ze współczesnymi prawami ościennych narodów. W takie ramy autor pracy swój nie oparł, z pewnością nie dlatego, żeby jęj oparwić nie umiał. Któż inny z pośród żyjących dziś polskich prawników wykazać może tak obszerną znajomość prawodawstw słowiańskich i zachodnio-europejskich, jak ją jeden Romuald Hube posiada? Autor miał więc swój cel, że w rozbiór pierwiastków prawa polskiego i w szersze porównania się nie zapuszczał. Że pierwiastków prawa naszego w książce swój nie przedstawił, łatwo przychodzi zrozumieć. Autor rozpoczynając pracę swą z r. 1200, pragnął zachować jęj umiejętną ścisłość i nie chciał nawet pobieżnie wkraczać w czasy dawniejsze, które osobnemu, po ogłoszeniu większej ilości źródeł dopiero możliwemu, pozostawił badaniu. Trudniej za to dociec, dlaczego prawo polskie w XIII wieku nie miało być w głównych zarysach zestawione jeżeli już nie z innymi słowiańskimi prawami, to przynajmniej z najbliższym nam a dostatecznie już zbadanym prawem niemieckim? Przyczyny nie możemy odgadnąć, chyba że autor chciał już bezwzględnie pracy swój zachować cechę ściśle przedmiotowego zebrania i zestawienia materyałów. Dążność ta tak jest zresztą widoczna i w całej książce tak konsekwentnie przeprowadzona, że nawet prawnik nie znajduje w niej tego, do czego we wszystkich wykładach prawa jest przyzwyczajonym.

Prawo jest organicznym wypływem pewnego stanu, w jakim się społeczeństwo i państwo w danj chwili znajduje. Dlatego też niepodobna jest zdać sobie sprawy z pojedynczych prawnych przepisów i ich wzajemnego związku zrozumieć, jeżeli się przynajmniej w najogólniejszych zarysach nie zna społeczeństwa i państwa, w których prawo to się rozwijało. Otóż p. Hube podając przepisy prawne, ze społeczeństwem i państwem polskim w XIII wieku, zgoła nas nie obznajamia; prawo publiczne zupełnie wyklucza (str. 24) a o stosunku społeczeństwa do ówczesnego prawa podaje tylko na końcu zbyt zwięzłą i lakoniczną wzmiankę (str. 253):

„Powyższe rozpatrywania, powiada autor, doprowadziły nas do rezultatu, którego może nie spodziewaliśmy się osiągnąć. Stańło przed oczyma naszymi społeczeństwo w pełni rozwinięte, regulujące wszystkie stosunki życia pewnymi stałymi normami, zarazem poho-pne do zmian i nowych dążeń. Nie zbywa mu ani na jasności przewodniczących myśli, ani na środkach wykonania tego, co sobie po swojemu wykonać zamierza. Nie chcemy bynajmniej przez to powiedzieć, że społeczeństwu temu przyznajemy jakąbądź wyższość nad inne społeczności ówczesne; widzimy tylko, że dość godnie obok nich staje, że w ogóle krąży w zakresie współczesnych pojęć i że nie może być po-

czytaną za społeczność zacofaną, a mianowicie tóż, że nie zrzeka się dążenia do przekształceń, jakie w tych czasach w różnych stronach tak silnie występują. Zbytecznym byłoby w tém miejscu przywozić na pamięć, choć w skróconym przeglądzie, cały szereg ważniejszych oznaczeń, na jakie natrafilimy przy skreśleniu naszego prawa XIII wieku. Każdy kto je z uwagą przebiegł, dostrzeżł zapewne, że przedstawiają nietylko strojną całość, ale że *odpowiadają w zupełności i właściwym potrzebom społeczeństwa przeważnie rolniczego i ogólnym wymaganiom wyższego społeczeńskiego porządku*. Nie wykazują tóż i inne ówczesne społeczeństwa w tym kierunku obfitszego zasobu ustanowień, a jeżeli w nich obok tego natrafiamy na kombinacye więcej sztuczne, to głównie przypisać należy zaprowadzonemu w nich systematowi lennemu lub tóż tej okoliczności, że czerpały wątek do swych praw z prawa rzymskiego."

Ograniczając się do tak ogólnikowej wzmianki, nie poświęca tóż autor żadnego bliższego wywodu systematowi ówczesnego prawa polskiego ¹⁾, lecz w przedmowie (str. VII) wyraża się tylko:

„Co do porządku uszykowania głównych przedmiotów, jak sądzę, przyjęty układ wypływa z natury ówczesnych pojęć.”

Ale jaka to była ta natura ówczesnych pojęć? Tego autor nam nie wyjaśnia, a sądzimy że przemilczeniem tak ważnego przedmiotu wielce nas skrzywdził. Gdyby czytelnik znał tak jak to wiadomém było autorowi, zasadnicze pojęcia ówczesnego prawa, gdyby wiedział na których pojęciach wszystkie inne i w jaki sposób się opierały; wówczas dopiéro mógłby sobie z prawa polskiego w XIII w. rzeczywiście zdać sprawę, ugrupować rozległy przedmiot i zapamiętać punkta jego wytyczne, co dzisiaj niemal jest niepodobnem. Rzeczy najważniejsze w książce p. Hubego traktowane są zupełnie tak samo jak obojętne szczegóły, brak nacisku na te przedmioty, na które należało koniecznie uwagę czytelnika zwrócić. Tylko prawdziwie umiejętnie wykształcony prawnik zdoła się w książce p. Hubego znaleźć i dopowiedzieć sobie po dobrym rozmyśle to, czego nie powiedział ze zbytecznej wstrzemięźliwości autor. Obawiamy się zaś wielce, żeby fantastyczne umysły, na jakich nigdy u nas nie brak, nie rzuciły się ze zbytnią skwapliwością na bogaty materiał w dziele p. Hubego podany i nie zaczęły z niego bez należytej znajomości rzeczy, wyprowadzać potwornych jak zwykle poglądów.

Ośmielamy się wreszcie, lubo z największą ostrożnością, wypowiedzieć zdanie nasze, że gdyby autor obok mechanicznego zestawienia szczegółów postawił sobie był także za zadanie ująć je w całość i umotywować; w takim razie zamiast wieku XIII, byłby był obrał epo-

1) To co autor powiada na str. 254 i 255 jest tylko rekapitulacya najważniejszych szczegółów bez podporządkowania ich pod pewne zasadnicze myśli.

kę od r. 1250—1347 za przedmiot swego badania. Podniósłszy tak ciężki zarzut, musimy go szczegółowo usprawiedliwić.

Autor obrał sobie wiek XIII od r. 1200—1300 dlatego, że czasy dawniejsze nie przedstawiają jeszcze dostatecznej ilości ogłoszonych źródeł, a z drugiej strony zamierzając przedstawić prawo polskie przed ustawodawstwem Kazimierza Wielkiego, nie chciał wkraczać w wiek XIV-ty, w którym choćby w pierwszej jego połowie, statutów Kazimierzowskich pomijać już niepodobna. Zresztą ani rok 1200 ani też rok 1300 dla prawa sądowego polskiego nie stanowi żadnego zwrotu i autor też sam podobnego zwrotu nie zaznacza. Natomiast na str. 255 do 258 podnosi, że w ciągu XIII wieku nastąpiło w dziedzinie prawa polskiego zasadnicze przeobrażenie. Wyrobiły się dwa odrębne stany: duchowny, przez wyłączenie osób duchownych z pod jurysdykcji sądów świeckich, a rycerski przez pełne wykształcenie się odrębnego prawa rycerskiego; jedno i drugie za pomocą absorbcyi znacznej części praw książęcych. Za tём poszło poddanie ludności wiejskiej pod sądownictwo patrymonialne, z wyłączeniem powszechnego, i pogorszenie jej osobistej wolności; dalej, niemal zupełne przekształcenie się dawnego systematu sądownictwa. W zakresie prawa prywatnego widocznym jest upadek związków rodowych a możność rozrządzenia nieruchomością majątkiem. W prawie karném rozpowszechnienie się kar cielesnych. Znika instytucja „Opola” a wszystko zmierza do uprzywilejowania pewnych klass, do nadania im samorządu. Najdonioślejszym faktem jest wprowadzenie niemieckiego prawa, za którym poszło usamowolnienie gmin miejskich, a powstanie mieszczańskiego stanu.

Zgadamy się z tём najzupełniej tём więcéj, że sami mieliśmy już kilkakrotnie sposobność wskazać na niedorzeczność wszelkich dynastycznych podziałów historyi polskiej, a w najnowszej pracy ¹⁾, oceniając doniosłość prawa niemieckiego w połowie XIII wieku, do Polski na obszerną skalę wprowadzonego, oświadczyliśmy się stanowczo za tём, że w połowie XIII wieku rozpoczyna się nowa dla historyi i dla prawa polskiego epoka, że w połowie XIII wieku, dawna patryarchalna centralistyczna Polska się kończy a nowa patrymonialna na samorządzie wszystkich stanów oparta się wznosi. Przyjmując jednak razem z autorem w połowie XIII wieku początek nowéj epoki, nie uważamy za rzecz właściwą, aby instytucye prawa polskiego z pierwszej połowy tego wieku, z instytucyami z drugiej jego połowy, w jednym obrazie przedstawiać. Kreśląc prawo polskie przed rokiem 1250, można pojedyncze, liczne dyplomata niemieckiego prawa jako wyjątki pozbawione szerszego wpływu, bezpiecznie pominąć. Po roku 1250 niepodobna natomiast całych partyi prawa polskiego bez znajomości społecznego prawa niemieckiego w Polsce i bez ocenienia ich wzajemnego oddziaływania zrozumieć i określić. W błąd ten popadł zdaniem na-

¹⁾ O założeniu sądów wyższych prawa niemieckiego, w Krakowie 1875.

szém p. Hube, wykluczając nawet w drugiej połowie XIII wieku wszystko, co się do prawa niemieckiego w Polsce odnosi. Wynikła ztąd pewna jednostronność i niekompletność niektórych rozdziałów prawa polskiego, na co w dalszym szczegółowym rozbiorze bliższą zwrócimy uwagę.

Gdyby natomiast autor pracą swoją objął był czas od r. 1250 do 1347, to jest epokę, w której prawo polskie na nowych podstawach się rozwijało, aż do chwili kiedy się na pierwsze ustawodawcze prace zdobyło; w takim razie obraz prawa polskiego przez niego podany, nie tylko byłby uderzał swą wewnętrzną jednolitością, ale zyskałby był niezmiernie na bogactwie wewnętrznej swój treści. Odpadłaby wprawdzie niezbyt stosunkowo wielka ilość dyplomatów z pierwszej połowy XIII stulecia, które do dawniejszej epoki należą, ale natomiast przybyłaby niezmierna ilość dyplomatów z pierwszej połowy XIV wieku w materyał prawniczy nieskończenie zasobna. Co więcej, nie łąga już wprawdzie po pracach Helcla wątpliwości, że ustawodawstwo polskie na szersze rozmiary dopiero ze statutami z r. 1347 się rozpoczyna, zdanie to i p. Hube na str. 27 swego dzieła wyraźnie podziela, jednakże z drugiej strony rzeczą niemniej jest pewną, że statuty Kazimierzowskie o dawniejszem prawie polskiem dają nam liczne świadectwa, czyto w ten sposób, że dawniejsze zwyczaje utwierdzają, czy też przez to, że wyraźnie je znoszą i poprawiają. Niektóre nawet postanowienia pierwszego Małopolskiego statutu z r. 1347, jak np. końcowe postanowienia o wynagrodzeniu szkód, zdają się, jak to sam Helcel przyznaje, niewątpliwie wcześniejszej być daty. Można więc było postępując ostrożnie zużytkować takie statuty Kazimierza Wielkiego do dopełnienia i wyjaśnienia obrazu prawa polskiego od r. 1250—1347 na innych źródłach zbudowanego.

Na tém kończymy nasze ogólne uwagi a przechodzimy do szczegółów, które w dziele p. Hubego nas zastanowiły.

Najmniej co do nas zgadzamy się na zdanie autora wypowiedziane w rozdziale I-ym p. t. „Pogląd na prace historyczne nad dawnym prawem polskiem.” Nie powiemy, żeby rozdział ten słabo był wypracowanym, owszem na każdym punkcie znać tu badacza nad przedmiotem górującego. Ale badacz ten zanadto blisko żył z ludźmi, których działalność mu wypadało osądzić, i dlatego sąd jego albo nie wypadł zupełnie bezstronnie, albo też ukryty jest dyplomatycznie, że pomiędzy wierszami należy go czytać. To ostatnie dotyczy przedewszystkiém ustępu poświęconego skreśleniu prac Wacława Maciejowskiego. Krótką ale piękną i prawdziwą jest charakterystyka Naruszewicza, Czackiego i Lelewela. Natomiast nazbyt łaskawie obchodzi się p. Hube z J. W. Bandtkiem. Nie wspominając zupełnie o zamęcie wprowadzonym przezeń do prawa polskiego w skutek osławionego swą niekrytycznością i bałamuctwem *Jus polonicum*, podnosi natomiast zbyt wysoko wykłady Bandtkiego, miane w r. 1818 w Uniwersytecie warszaw-

skim, a wydane w r. 1850 i 1851; w szczególności zaś jego historię prawa polskiego, która jako lepianka luźnych faktów wszyskiem innym raczej, niż historią nazwaną być może. Nie wydaje nam się również uzasadnionem zdanie, że „w owój epoce w literaturach zagranicznych nie było jeszcze podobnie systematycznie i gruntownie obrobionych historii prawodawstw narodowych,” bo przecież przynajmniej Niemcy posiadali już w latach 1808—1822 monumentalne dzieło Eich-horna, które Bandtkiemu nie było zapewne nieznanem.

Z osobliwszym naciskiem zwraca dalej autor uwagę na historyczno-prawne badania księcia Tadeusza Lubomirskiego. Nie mielibyśmy nic przeciw temu do zarzucenia, i radzi pracom ks. Lubomirskiego przyznajemy jakie mają zalety; ale obeszło nas wielce, że p. Hube na tej samej stronie swego dzieła (13), której połowę ks. Lubomirskiemu poświęcił, dla A. Z. Helcla znalazł tylko miejsce w przypisku w słowach: „Helcel: Przedmowa do tomu I, Starodawnych prawa polskiego pomników. Kraków 1856.”

Dalecy jesteśmy od tego, żeby Helclowi w dziedzinie prawa polskiego przypisywać nieomylność; nie jesteśmy tak zaślepieni, żeby bronić bezwzględnie każdego zdania wypowiedzianego przez Helcla, jeżeli nowe źródła jego błędność wykażą: spodziewamy się również, że wyniki badań Helcla nad ustawodawstwem Kazimierza Wielkiego, w miarę odkrywania nieznanych Helclowi źródeł rękopiśmiennych, dalej posunięte zostaną. Z tém wszyskiem jednak jesteśmy najsilniej przekonani, że gdyby pan Hube ani jednym słowem nie był wspomiał o Bandtkiem, Lelewelu, Maciejowskim i wszystkich innych; gdyby był wprost powiedział że Bandtkie, Lelewel i Maciejowski nie żyli i nie pisali, a natomiast o A. Z. Helclu się rozwiódł: to tego rodzaju pogląd na prace historyczne nad dawnym prawem polskim byłby sprawiedliwszym i prawdziwszym, niż ten, który w dziele jego czytamy. Wstęp napisany przez Helcla do pierwszego tomu Starodawnych pomników, nie jest zwykłym wstępem, jakim najlepsi wydawcy wydania swe krytyczne zaopatrują. Jestto genialna praca, która badania około prawa polskiego oczyściła z błędów, nad których nagromadzeniem pracowały wieki, a natomiast w każdym kierunku nowe, głębokie rzuciła poglądy i dla prawa polskiego zbudowała podwaliny prawdziwej umiejętności. Praca ta nakreśliła prawu polskiemu po raz pierwszy naturalne granice, otworzyła oczy na jego źródła i wskazała metodę badania. Niestłusznie zdaniem naszym przypisuje pan Hube księciu Lubomirskiemu zasługę zwrócenia po raz pierwszy uwagi, na starodawne zapiski naszych aktów sądowych. Zasługi téj ks. Lubomirski sam sobie z pewnością nie rości, ale oddaje ją Helclowi, który jeszcze w r. 1856 pierwsze, prawdziwie doniosłe słowo o zapiskach sądowych, w pierwszym tomie pomników napisał i sporą ilość ich wydrukował. Zasługa i praca nie mogą iść w porównanie z talentem, który na wszyskiem czego się chwycił, piętno głębokiego ducha wycisnął i drogę daleko dla drugih oświecił. Helcla nie mają niewątpliwie Niemcy, bo czyliż

z Helclem może się mierzyć najgłówniejszy wydawca źródeł prawa niemieckiego Homeyer, który niczem więcej nie był, jak tylko wydawcą i registratorzem, lub nawet czyż mu dorównał sam twórca umiejętnej historii prawa niemieckiego Ejchhorn, który gotowy krytycznie opracowany materyał, po mistrzowsku w jedną całość stopił? Porównanie z ostatnim wypadą głównie dlatego na stronę Helcla, że Ejchhorn, zużytkowawszy dany materyał, następcom nowych dróg i kierunków badania nie stworzył i nie pozostawił. W skutek tego nauka dawnego prawa niemieckiego przez kilkanaście lat po Ejchhornie, oprócz wykończania szczegółów, żadnych wiekszych nie robiła postępów, zanim w ostatnich czasach Brunner, Maurer młodszy i inni, zwróciwszy samodzielnie uwagę na prawa normandzkie i skandynawskie, nowych nie otwarli jej torów. Talent natomiast Helcla tak szerokie pola ogarnął i ujął, że pokolenia pracować będą nad wypełnieniem szkieletu umiejętności przezeń postawionego, a każde niemal zdanie w dziełach jego zawarte, podaje wątek do dalszych samodzielnych badań i wiedzy do nowych wyników.

Z pewnym rodzajem gorączki ujeliśmy się za A. Z. Helclem. Uzasadniając zdanie nasze, nie zwracaliśmy się jednak do autora Prawa polskiego w XIII w., któremu to wszystko lepiej od nas niechybnie jest znanem. Pragnęliśmy tylko dla szerszej publiczności wypełnić lukę w poglądzie historycznym pana Hubego, przypadkowo zapewne powstałą, która w dziele tak znakomitým mogłaby na fałszywe naprowadzić domysły i rzeczywiście jak to z doświadczenia już wiemy, znanych nam a uważnych czytelników naprowadzała.

Pogląd swój historyczny zakończył pan Hube uwagą, że prawo polskie z XIII-go wieku jest dotychczas zgola nie obrobionem, podczas kiedy prawo późniejsze, poczynając od statutów wiślickich jest „w ostatecznej jego formie prawie już obrobione.“ Na pierwsze zgadzamy się w zupełności, na drugie nie możemy przystać. Późniejsze prawo cywilne polskie przedstawionem jest wprawdzie w poważnych i szacownych książkach Dutkiewicza, Burzyńskiego i wykładzie Helcla, świeżo ze spuścizny jego rękopiśmiennej wydanym. Są to jednakże wszystko podręczniki szkolne, napisane dla użytku młodzieży uniwersyteckiej, bez pretensyi umiejętnego ogarnięcia i opracowania dawnego prawa polskiego. Opierają się one jedynie na materyale w *Volu-minach legum* zawartym. Kto zaś ma dostateczny pogląd na całość źródeł prawa polskiego ogłoszonych już, i jeszcze w zapomnieniu po archiwach ukrytych, ten musi zdaniem naszym przyznać, że stosunkowo źródła z XIII-go i XIV wieku, których jest najmniej, najobficiej są ogłoszone i że na dzisiaj prawo polskie najłatwiej i jedynie z tych dwóch wieków da się umiejętnie w pewnej całości przedstawić. Już zaś prawo polskie z XV-go wieku, w którym źródła jego nagle w ogromny sposób się mnożą, pomimo ogłoszonych przez Helcla pięciutysięcy zapisków sądowych, przed ogłoszeniem dalszych źródeł, na podobne opracowanie w całości swojej zaledwie pozwala. O poznaniu zaś pra-

wa polskiego z XVI-go i dalszych stóleci w jego rzeczywistój a olbrzymiej treści, za wiele jeszcze lat, zdaniem naszym, nie będzie jeszcze mogło być mowy. Cała bowiem potęga ówczesnego prawa spoczywała nie w ustawach, do których wspomniane wyżej prace się ograniczają, ale w zwyczaju i w praktyce sądowej dotychczas zupełnie nieznanój. Jak drobną, jak mało znaczną część źródeł ówczesnego prawa stanowią ustawy w *Voluminach legum* zawarte, o tém przekona się każdy, kto choćby raz przypatrzy się księgom naszym sądowym XVI i dalszych stóleci i zda sobie sprawę z tego nieprzejrzanego ogromu dosłownie spisanych wyroków i rozpraw sądowych, w których wiele przedstawia się jakby formalne naukowe rozprawy w dziedzinie dawnego prawa polskiego, w których wszystkie ustawy dopiero są wyjaśnione, a ogromne ich luki wypełnione i usunięte. Zdanie więc zbyt różowe przez pana Hubego wypowiedziane, mogłoby przezto stać się szkodliwe, że uwagę młodszych pracowników mogłoby od tych prawdziwych skarbów ojczyztego prawa odwracać.

W rozdziale drugim mówi pan Hube o zbiorach źródeł z XIII-go stólecia, o czém wyżej już wspomnieliśmy, w trzecim o rodzajach obowiązującego prawa. Przedmiot to zasadniczy i niezmiernie ciekawy. Najwięcej stosunkowo szczegółów zgromadził autor do prawa kanonicznego i rzymskiego w ówczesnej Polsce. Wykazuje przedewszystkiem ich moc obowiązującą w granicach duchownego stanu i w sprawach małżeńskich, a ogromny wpływ na rozwój prawa świeckiego a osobliwie procesu. „Zaszczepienie powolne na ziemi naszej, powiada na str. 34-ój, testamentów, darowizn na wypadek śmierci, dożywoci, upowszechnienie tak zwanych posesyi prekaryjnych niewątpliwie wpływowi temu przypisać należy.“ Prawo rzymskie znane było i oddziaływało tylko za pośrednictwem prawa kanonicznego. „O mocy jego posiłkowej w zakresie prawa naszego ziemskiego nie może być mowy.“ Przytoczone przez autora wyciągi z dyplomatów, zdanie to w zupełności stwierdzają. Jeden tylko spostrzegamy wyjątek. Książę Mściwój, karząc mieszkańców Gdańska w r. 1283, za usiłowanie pozbawienia go życia, powołuje się wyraźnie na prawo rzymskie i znaną ustawę „*Quisquis*“, mówi bowiem: „*considerato quod huius modi crimen tam secundum canones, quam secundum leges poena capitis et privatione bonorum omnium puniatur*.“

Ustęp ten z XIII-go wieku stwierdza więc zdanie przez profesora Bojarskiego świeżo wypowiedziane i uzasadnione ¹⁾, że prawo rzymskie w sprawach o zbrodnię majestatu miało rzeczywiscie w Polsce znaczenie prawa pomocniczego.

Wykluczwszy natomiast prawo niemieckie z zakresu swego badania, z lekka go tylko autor na str. 29 dotyka i o wpływie jego ogro-

¹⁾ Dwa zabytki sądownictwa polskiego karnego z XVI-go wieku, w tomie I rozpraw wydziału historycznego Akademii Umiejętności w Krakowie 1874.

nym na rozwój prawa polskiego w drugiej połowie XIII w. nam nie powiada. Załujemy niemniej, że pan Hube o rodzajach ówczesnego prawa polskiego szerzej i szczegółowiej się nie rozwiódł. Rozróżnia prawo publiczne, które się rozpadało na prawo książęce (*ius ducate*) i na prawo rycerskie (*ius militare*), oraz prawo prywatne. Wolelibyśmy nazwy: prawo polityczne i prawo sądowe, co lepiej ówczesnym i późniejszym nawet stosunkom odpowiadało, kiedy podział na prawo publiczne i prywatne jest czysto teoretycznym i dopiero najnowszych czasów umiejętną zdobyczą. W określeniu tych rodzajów prawa, autor się nie zapuszcza, bo w takim razie konieczną byłoby rzeczą mówić o ustroju państwa, a pan Hube prawo polityczne w ogóle z góry z zakresu swego badania wyłączył. Rozróżnia dalej prawo statutowe czyli ustawy od prawa zwyczajowego, podając nader trafne uwagi o ich wzajemnym stosunku a wspominając zarazem o znaczeniu prejudykatów; podziałów zato prawa na ogólne i szczegółowe, na powszechne, dzielnicowe, i miejscowe, nie uwydatnia. Nie można tu wreszcie pominąć słów, które w ustach pana Hubego nabierają wielkiego znaczenia: „Czy w wieku XIII-ym wydane zastały obszerniejsze statuta regulujące i systematyzujące większą liczbę stosunków wpływających z prawa ziemskiego, wątpię, choć dawniej sam utrzymywałem, że ziemia krakowska posiadała już w tym wieku osobny statut, który następnie włączony został do statutów wiślickich. Przekonywam się, że niema na istnienie jego dostatecznych dowodów, a te, które kiedyś przytoczyłem, okazują się zbyt słabemi.“

Rzecz o prawie polskiem kończy autor uwagą, że je wyprowadzano z zasad rozumu (*ratio*) i z uczucia słuszności (*acquitas*). Na to się zupełnie godzimy, nie widzimy jednak dowodu na dalsze twierdzenie, jakoby prawo to wyprowadzano także z jakiegoś „prawa natury“ czyli w znaczeniu scholastyki średniowiecznej, czy też w znaczeniu nowszej szkoły prawa natury. Ustęp przytoczony przez autora: „hereditatem sibi debitam iure naturae“ tłumaczymy przez „dobra odziedziczone prawem krwi czyli na zasadzie pokrewieństwa pomiędzy spadkodawcą a spadkobiercą,“ to także znaczenie posiada w prawie polskiem, *ius naturae*. Wypadało więc może rzecz dokładniej wyłuszczyć.

Rozdział czwarty nosi napis: „Ludność krajowa.“ Surowa krytyka może wiele rozdziałowi temu zarzucić, przedewszystkiem niekompletność. Gdybyśmy już posiadali wykład prawa politycznego z XIII wieku, w takim razie, to co autor powiedział w rozdziale czwartym, byłoby wystarczającym. Gdy jednak wykładu takiego nie posiadamy i kto wie kiedy się nań zdobędziemy, to na zbytnię wstrzemięźliwość autora w przedstawieniu tego tak ważnego rozdziału, żalić się koniecznie musimy. Autor przechodzi kolejno ówczesne klasy ludności polskiej, szlachtę, włościan nieswobodnych i swobodnych, mieszczan, duchowieństwo i cudzoziemców; trzyma się jednak jak najściślej stanowiska prawa prywatnego i tylko o zdolności prawnej stanów tych mówi. Postąpiwszy natomiast o jeden krok dalej w sferę prawa poli-

tycznego, byłby nam podał obraz ówczesnego społeczeństwa polskiego, do czego studia jego dostateczny mu podały materiały, a obraz ten byłby kompletnym, jednolitym i dla każdego zrozumiałym i jasnym. Tymczasem obawiamy się, że nawet prawnicy którzy ze źródełami prawa polskiego w XIII wieku bliżej nie są obznajmieni, nie będą mogli wywodów autora w rozdziale czwartym w całej ich doniosłości zrozumieć i przyczynowym związkiem ich ze sobą powiązać.

Drugi brak w wywodach autora widzielibyśmy w tém, że nie tylko podziału ludności według prawa polskiego, ze społecznym podziałem ludności według prawa niemieckiego, nie zestawił, ale nawet całą tak liczną ludność ówczesną w Polsce, która się prawem niemieckim rządziła, z obrazu swego wykluczył. Podobieństwo pomiędzy ówczesnym prawem polskim a niemieckim w podziale ludności jest uderzającym, mniemamy zaś, że uwzględnienie prawa niemieckiego byłoby może naprowadziło autora na wyróżnienie więcej na drobniejszych różnicach opierających się odcieni pośród ludności polskiej, niż ich w dziele swoim wymienia. Pragnęlibyśmy w każdym razie wiedzieć, czy istnieli lub nie istnieli lub też o ile istnieli na prawie polskim obok szlachty i jej stopniowań t. z. *Schöffensbare Leute* a pośród ludności wiejskiej t. z. *Biergelden, Pflegghaften, Landsassen, Dienstmannen, Eigene Laute* i *Lassen*. Wyrazistość obrazu byłaby na tém niezmiernie zyskała. Odkąd zaś prawie wszystkie miasta i połowa może wsi w Polsce przeszła na prawo niemieckie, co i na osady czysto polskie, niepozostało bez ogromnego wpływu; zdaje nam się, że podając podział ludności w Polsce, należy koniecznie stosunki prawem niemieckim wywołane uwzględnić, choćby się zresztą same zasady prawa prywatnego niemieckiego zupełnie wykluczyło z badania. Wszakże dowiedziona jest rzeczą, że osady czysto polskie przyjmując prawo niemieckie, przyjmowały zeń tylko organizację społeczną sądową i polityczną, zresztą zaś prawo polskie zwyczajowe zupełnie zatrzymywały już dlatego samego, że z prawem prywatnym niemieckim na zwyczaj i na rzadkich niedostępnych kodeksach polegajícím, nie miały sposobu się obznajmić. Co więcej, nawet osady czysto niemieckie w Polsce, w miarę swęj polonizacji zapomniały o swém prawie prywatnym niemieckim i zatrzymując swą organizację sądową i polityczną niemiecką, na polskie przechodziły prawo. Podział więc ludności podług niemieckiego prawa, stał się w ten sposób integralną częścią prawa polskiego, i nienależało go w przedstawieniu prawa polskiego bynajmniej pomijać. Uwagi nasze na szczegółach dokładniej uwydatnimy.

I tak wywodzi najpierw p. Hube, że stan rycerski zawdzięcza stanowisko swe majątkowe i społeczne koncessyom panujących. Zdanie to byłoby wtedy dopiero zrozumiałe, gdyby autor wyjaśnił był, z czego panujący robili koncessyę, i rostrzygnął kwestyę, czy panujący byli nieograniczonymi właścicielami całej ziemi i ludności wiejskiej na niej osiadłej. Nie znajdujemy również (oprócz wzmianki później na str. 99 ze stanowiska jedynie prawa majątkowego uczynionęj) podanej

dokładnej różnicy pomiędzy folwarkiem rycerza a wsią czyli osadą, która pod jego przechodziła władzę. Niema również wzmianki o stopniowaniu pośród samej szlachty. Czy różnice występujące tak wybitnie w ustawodawstwie Kazimierzowskiem powstały dopiero w XIV stuleciu?

W ustępie o włościanach przywiązanych do gleby uważamy za rzecz mogącą zbałamucić pojęcia wyrażenia: „Niema więc wątpliwości, że prawo które posiadał nieswobodny do działu swego, tworzyło do pewnego stopnia rodzaj nietykalnej *własności*“ a nie widzimy dowodu na to „że własności tej bronić mógł przeciw panu.“ Sprzeciwia się temu owszem okoliczność, którą autor dalej podnosi, że pan miał władzę ludzi nieswobodnych z miejsca na miejsce przenosić. O własności też w stanie włościańskim niemoże być mowy i istniało tylko prawo dziedzicznego ale odwołanego użytkowania. Prawo księcia, mocą którego włościanom w dobrach swoich dziedziny ich odbierał lub ich z miejsca na miejsce przenosił, uważamy też za wyptyw zwykłej własności ziemi, nie zaś jakiegoś „wyższego prawa władania,“ bo skoro włościanin nie miał własności, to własność jego pana nie była ani wyższą ani też niższą, lecz była jedyną. Nie widzimy też podstawy, na której autor jednych czynszowników zalicza do ludzi nieswobodnych (str. 42 nr. 5) w drugich do swobodnych (str. 49 nr. 1). Słowa zaś przywileju Krakowskiego z r. 1257 „*polonus liberus*“ uważamy, że odnoszą się w ogóle do Polaków, a nawet także do szlachty w przeciwstawieniu do krakowskich Niemców. Czy wreszcie obok ludności wiejskiej tak zwanej swobodnej i innej nieswobodnej przywiązanej do ziemi nie istniała jeszcze trzecia klasa najgorzej położona, bo i ziemi i wolności osobistej nieposiadająca, a do osobistych posług obowiązana? autor jęj się nie dopatruje. Sądzymy jednak że bliższe zbadanie owych folwarków szlacheckich, na kwestyę tę niejakiem rzuciłoby światło.

Kończąc ustęp o ludności wiejskiej wspomina autor o kmieciach, o których najdawniejsza wzmianka sięga roku 1241, znaczenia ich wcale nieokreślając. „O ile wnioskować możemy, powiada, pod nazwisko to podciągano tak ludzi swobodnych jako też nieswobodnych.“ Ograniczywszy się rzeczywiście do prawa polskiego w najściślejszym tego słowa znaczeniu, nie mógł autor więcej powiedzieć o kmieciach, którzy tylko na gruncie prawa niemieckiego w Polsce zupełnie się dają wyjaśnić. O mieszczanach również tylko króciutka jest wzmianka. „Objasnią ten przedmiot ci, powiada autor, którzy zajmą się szczegółowym zbadaniem zaprowadzenia i upowszechnienia w kraju prawa niemieckiego.“ Rzeczywiście też o mieszczanach na prawie polskim, tylko wnioskując a contrario ze stanowiska przyznanego mieszczanom na prawie niemieckim, możemy się czegoś dowiedzieć.

Podnieśliśmy w ten sposób kwestyę nierozstrzygniętą i wątpliwości, które rozdział czwarty w dziele p. Hubego nam na myśl nasunął. Z tém większą zato skwapliwością pospieszamy, aby zasługę autora w wypracowaniu tego rozdziału i niezmierną jego doniosłość

dla wszystkich prac historyczno-prawniczych wykazać. Przeczytawszy ten rozdział doznaje się takiego wrażenia, jak gdyby się z okolicy za-powietrzonej, nagle w czyste górskie dostało powietrze. Komuż nieznanne są owe brednie, bo dobitniejszego wyrażenia nie znajdujemy, jakich aż do ostatnich chwil chorobliwa prawdziwie fantazyja nasnuła takie mnóstwo o dawniej idyllicznej wolności polskiego ludu, a przede-wszystkiem owych pra-polskich pra-słowiańskich kmieciów. Nazwa „homines liberi“ napotkana w dyplomatach dawała do nich nieustanny wątek. Hube wykazując że nazwa kmiecia na oznaczenie ludu wiejskiego zjawia się dopiero równocześnie z wprowadzeniem niemieckiego prawa w połowie XIII stulecia, a dowodząc że owi „homines liberi“ mieli wprawdzie osobistą wolność ale ziemi nie posiadali, ufajmy że hipotezom wszystkim ostatecznie położył koniec. Ziemia w ówczesnej Polsce jeżeli nie była jedynym środkiem utrzymania się, to niewątpliwie była jedyną podstawą stanowiska w społeczeństwie i państwie. Ludzie którzy jej nie posiadali, stanowiska takiego rościć sobie nie mogli, i pod tym względem gorzej byli postawionymi od ludności przywiązanej do ziemi. Dopóki więc tylko Polska naprzód postępowała, a zatem niewątpliwie w czasach Piastowskich, stan ludu wiejskiego polepszał się, nie zaś jak dotychczas wychodząc z pojęcia jakichś idyllicznych a w gruncie rzeczy barbarzyńskich czasów przypuszczano, pogarszał, i dopiero wyłączność szlachty, odniósłszy z końcem XV wieku zgubne zwycięstwo i wstrząsnawszy całym organizmem Polski także niewolę ludu wiejskiego sprowadziła ze sobą.

Cztery rozdziały, o których mówiliśmy powyżej, stanowią niejako przygotowanie do systemu prawa, który autor w czterech następnych rozdziałach rozwija. Czuć tu na każdym kroku rękę, która po mistrzowskiu w tak zawzięty i zupełnie dotychczas nieobrobiony przedmiot, rzuca całemi promieniami światło i wprowadza przejrzysty porządek. Autor tłumaczy wszystko z klasycznym spokojem, jasno i zrozumiale. Osobliwszą wdzięczność winniśmy mu za to, że we wnioskach swych nie poszedł dalej, jak same źródła go upoważniały, że wskazywał w wielu miejscach na luki, które tylko przez odkrycie nowych źródeł mogą być zapełnione.

W obiorze systemu prawa nie dał się p. Hube uwieść żadnym doktrynerskim poglądom, lecz przedstawił prawo polskie w systemie, w jakim rzeczywiście się rozwijało i w jakim je w statutach Kazimierza Wielkiego i w korekturze z r. 1532 widzimy. Na czele prawo rodzinne w ówczesnym tego słowa znaczeniu, a zatem z prawem spadkowym i z kwestyą alienacji dóbr rodzinnych. Dalej prawo rzeczowe własności, z prawami z niego wynikającymi. Wreszcie prawo o zobowiązaniach z umów i z występów, w którym to ostatniem prawo karne się mieści. Jestto ten sam porządek, który w księdze drugiej i trzeciej korektury z r. 1532 napotykamy. Szkoda jedynie, że autor, przyjmując i przeprowadzając ten system, żadnym słowem wstępnym

go nie usprawiedliwił, przezco niejednemu z teoretyków dzisiejszych może podać sposobność do najmniej uzasadnionych zarzutów.

W rozdziale piątym, prawo familijne czyli rodzinne obejmującym, brak jest gwałtownych na samym wstępie chociażby kilku słów, któreby wykazywały ówczesne znaczenie rodziny, stosunków ze znaczenia tego wypływających i związku, w jakim pojedynczy członkowie do rodziny swój zostawali. Kreśli tu autor najpierw instytucję małżeństwa na zasadzie ówczesnych synodalnych statutów; mówi dalej o wyprawie, posagu i wianie, oznacza stanowisko męża i żony, a względnie wdowy, bada szczegółowo stosunki prawne dzieci za życia i po śmierci rodziców, dochodzi wpływu i znaczenia pobocznych krewnych, a zamyka rzecz wywodem o spadku, o legatach i testamentach. Wszystkie te jednak szczegóły byłyby wtedy dopiero nietylko jak dziś dla prawnika z prawem polskiem obznajomionego, lecz dla każdego bez wyjątku zupełnie zrozumiałemi, gdyby autor był wspomniął, że rodzina stanowiła wówczas tak ścisłą jeszcze całość, że w niej samodzielność jednostki pod wielu względami ginęła, że dobra odziedziczone stanowiły własność całej familii. Z tego tłumaczą się fakta, że każdoczesny ich posiadacz nie mógł niemi (oprócz wyjątków przez prawo kanoniczne zaprowadzonych) bez zezwolenia całej rodziny ani za życia ani też po śmierci rozrządzać; że poboczni nawet krewni mieli prawo od innego nabywcy je wykupić, że prawo spadkowe nie miało żadnej samostności. Ze ścisłego odgraniczenia dóbr familijnych czyli odziedziczonych od dóbr nabytych, wyjaśniłaby się nawzajem zupełna swoboda w rozrządzaniu temi ostatniemi, a zarazem rozdział majątkowy pomiędzy małżonkami posunięty do tego stopnia, że żona posagiem i wyprawą swą zarządzała nawet za życia męża.

Ostatecznym wynikiem badań autora w dziedzinie prawa familijnego jest spostrzeżenie, że prawo to w ciągu XIII w. doznało wielkiego przeobrażenia. Zaprowadzono najpierw swobodę rozporządzania majątkiem nawet odziedziczonym na korzyść kościoła, co autor wpływem prawa kanonicznego w zupełności tłumaczy. Z drugiej zaś strony wydobywa autor wiele dowodów, że kobieta, która w pierwszej połowie XIII wieku zajmuje jeszcze niezależne stanowisko, posagiem jako własnością swą zarządza, na pozbycie dóbr męzowskich daje swe zezwolenie a dobra nieruchomości rodzinne razem z braćmi dziedziczy; w drugiej połowie tego wieku stanowisko to coraz więcej traci i zbliża się do stanowiska, które jej prawo późniejsze naznacza. Mniemamy, że dawniejsze stanowisko kobiety wyjaśni się wielce zebraniem odnośnych faktów z XII wieku, a stanowisko nowsze stanie się zrozumiałem, gdy w źródłach z pierwszej połowy XIV wieku się rozpatrzymy. Powodu do tak daleko sięgającego przeobrażenia szukaćby zaś należało w prawie politycznym narodu, które jak to wyżej już wspomnieliśmy w połowie XIII wieku w nową epokę wstępuje.

W rozdziale szóstym, noszącym napis: „Prawo własności“ a w rzeczywistości całe prawo rzeczowe obejmującym, pragnęlibyśmy

przedewszystkiem zwrócić uwagę czytelnika na wyborne a ściśle na źródłach oparte określenia nazw: posiadanie pełnem prawem lub na wieczność (possessio pleno iure seu in perpetuum), posiadanie prawem dziedzictwa czyli dziedzictwo (hereditas), własność (proprietas), państwo (dominium). Nazwy te utraciły później swą właściwą doniosłość i służyły społem na określenie własności dóbr ziemskich. Autor wywodzi ich pierwotne znaczenie i ich kolejne powstanie, a wywód jego dlatego jest zajmującym i wyczerpującym, że tym razem odstąpił od zasady i nie wahał się wkroczyć poniekąd w zakres prawa politycznego. Dokładnie podane są dalej pojęcia obszarów (territoria), wsi (villae), działów czyli żrebi (sortes), folwarków (allodia, praedia), siedlisk (areae) etc, lubo znów tylko ze stanowiska ściśle prywatnego prawa. Określiwszy pojęcia przynależności (pertinentiae, attinentiae), użytków (utilitates, usus) i granic (termini), podaje autor rodzaje własności, dóbr ruchomych i nieruchomych, dóbr dziedzicznych czyli ojcowizn (hereditates patrimoniales), wysłużonych (deservitae) i nabytych pieniędzmi (pecunia comparatae), rozwódzi się o posiadaniu (possessio), dawności (praescriptio) i użytkowaniu (usus fructus). Jasność i ściśłość wykładu tych trudnych partyi, nic do życzenia nie pozostawia. Z wielkiem natomiast zdziwieniem ujrzeliśmy, że autor o służebnościach w ówczesném prawie tak ważną odgrywających rolę, zaledwie dziewięć wierszy znalazł do powiedzenia, a niezliczone ciężary i uprawnienia gruntowe zupełnie pominął. Czy je do prawa publicznego zaliczył? Zgoła sobie tego nie umiemy wytłumaczyć

Z pośród sposobów nabycia i pozbycia się własności traktuje p. Hube szczegółowo i dokładnie o darowiznie, rozróżniając darowizny książąt na rzecz duchowieństwa, i osób prywatnych, oraz zamiany i kupna. Czy inne sposoby nabycia własności były nieznane, czy też tylko w źródłach wzmianki o nich się nie znalazły?

W takim razie należało o tém wyraźnie powiedzieć. Pominął tu autor przedewszystkiem sposoby nabycia rzeczy ruchomych, w szczególności zaś zawłaszczanie, oraz rzecz o ich dzierżeniu i posiadaniu, o czém dałoby się niemało powiedzieć, bo liczne wzmianki źródeł o szkodach polnych oraz o kradzieży obfitego dostarczają materiału.

O ile jednak zdziwiliśmy się, dlaczego prawo rzeczowe w niektórych ważnych partyach tak mało jest rozwinięte, o tyle pojmujemy zupełnie, że o zobowiązaniach niedało się więcej powiedzieć, jak to autor w rozdziale siódmym dzieła swego na sześciu kartkach uczynił. Nie spodziewaliśmy się nawet, żeby z aktów XIII wieku dało się tyle zebrać wiadomości nietylko o wyłuszczeniach już poprzednio darowiznie, zamianie i kupnie. ale także o pożyczce, zastawie, poręce, najmie, dzierżawie, pełnomocnictwie, zobowiązaniu do wynagrodzenia szkód, a wreszcie o kaucyi juratorycznej, karze konwencyonalnej i ugodzie sądowej.

Rozdział natomiast siódmy, prawo karne przedstawia w książce p. Hubego całość do pewnego stopnia zaokrągloną, bo oprócz dyploma-

matów księga prawa zwyczajowego dostarczyła obfitego materiału. Autor nie szukał w nim sztucznie dzisiejszych zasad filozoficznych, których prawo XIII wieku nie znało, ale przedstawił nam w dwóch głównych działach najpierw rodzaje przestępstw, jako takie podówczas uznanych, a następnie systemat kar, którymi przestępstwa te zagrożono. Przestępstwa dzieli na prywatne, którymi prawa osób prywatnych naruszone zostały, i publiczne, skierowane przeciw osobie księcia i jego prawom zwierzchniczym. Sądzymy atoli, że podział przestępstw należało z innego jeszcze stanowiska uwydatnić t. j. ze stanowiska, kto miał prawo żądać ukarania przestępcy: pokrzywdzony, czy też osoba publiczna t. j. książę i jego urzędnicy. Należało uwzględnić, o ile niektóre cięższe pokrzywdzenia osób prywatnych zaczęto już uważać jako naruszenie publicznego pokoju i porządku, i o ile je karano z urzędu nawet w razie, jeżeli pokrzywdzony lub jego krewni nie wnieśli żądoby. W wieku XIV różnica ta przestępstw występuje całkiem wyraźnie, a nazwa „*crimen publicum*“ odnosi się nie tylko do wykroczeń przeciw panującemu, ale także do cięższych zbrodni popełnionych na osobach prywatnych.

Najwszechstronniej i najszczególniej opracował p. Hube systemat kar; wytłumaczył wszystkie ich rodzaje, podniósł stosunek kary do wielkości przestępstwa, rozświetlił kwestyę nadzwyczaj ciekawą, o ile „Opole” odpowiadało za zbrodnię popełnioną w jego okręgu, i uwydatnił zasadniczą cechę ówczesnego prawa polskiego, która polegała na tém, że wszystkie sądy orzekały na kary pieniężne, a tylko książę kary cielesne t. j. karę śmierci, ucięcia członka etc. wymierzał. Ciekawe są nader ustępy, w których autor tym razem zastanawia się dokładnie nad wpływem prawa kanonicznego i prawa niemieckiego na rozwój systemu kar właściwego polskiemu prawu. Prawa kanoniczne dodawało ekskomunikę i konfiskatę dóbr na rzecz kościoła, prawo niemieckie wpłynęło stanowczo na zwiększenie się kar cielesnych i na ich rozpostarcie się nawet po sądach miejscowych. Ostatni ustęp poświęcony jest zestawieniu prawa karnego zawartego w księdze prawa zwyczajowego, z którego się okazuje, że prawo osad polskich w Prusiech, tylko w nieznacznych postanowieniach różniło się od ogólnego polskiego prawa.

Na rozdziale ósmym kończy się system prawa, w dwóch następnych przedstawioném jest sądownictwo i proces. Obraz sądownictwa podany w rozdziale IX ma największą doniosłość dla zrozumienia ówczesnego ustroju państwa i społeczeństwa polskiego i życzyć sobie koniecznie należy, ażeby w dziełach historycznych został jak najprędzej użytym. Opracowanie jego jest pod każdym względem znakomitém. Staje tu plastycznie przed oczami naszymi sądownictwo książęce na wiecach i na dworze książęcym. Wiadomości zebrane z dyplomatów nader są obszerne i szczegółowe. Dowiadujemy się o miejscu i czasie, w których sądy te się odprawiały, poznamy ich skład i ich zakres działania. Na osobliwszą uwagę zasługują wiece.

Znając ich znaczenie na polu sądownictwa, łatwiej o wiele przyjdzie nam zbadać znaczenie ich na polu administracji i ustawodawstwa. Niezmiernie pouczającym jest ustęp o sądach kasztelańskich, które w pierwszej epoce państwa polskiego tak wielką odgrywały rolę, w drugiej chyliły się gwałtownie do upadku, a w r. 1454 i 1496 ostatecznie upadły, przezco ludność nasza włościańska utraciła do reszty stanowisko swe w państwie. O sądach wojewódzkich i stosunku ich do kasztelańskich, brak źródeł nie pozwolił autorowi wyrzec stanowczego zdania; tém cenniejszymi są skazówki, które z wielkim trudem wy dobył, a które może kiedyś dadzą się wyjaśnić i uzupełnić.

Mniej zato zadawalniająco wypadła cała rzecz o sądownictwie patrymonialném czyli poddańczém, bo sądownictwo to, ze stanowiska samego prawa polskiego, ani przedstawić ani téż ocenić się nieda. Wprowadzenie prawa niemieckiego i jego sądów sołtysich lub wójtowskich i dworskich, sprowadziło w tym względzie stanowczy przełom, i wpłynęło na ograniczenie działalności sądów powszechnych a na wprowadzenie sądów poddańczych nietylko w gminach niemieckich ale i w ogóle we wszystkich polskich osadach. Nawet w tych ostatnich zaczęły się rozwijać sądy miejscowe na wzór niemieckiego prawa, chociaż z pewnemi zmianami, a cały ten ruch, chętnie przyjęty przez włościan, zmierzał do samoistności osad, do wyzwolenia ich z pod uciążliwej nieraz, bo dalekiej lub samowolnej jurysdykcji. Niestety, był to miecz obosieczny, bo z chwilą kiedy rozpoczęło się skupowanie sołtystw przez panów, zniknął samorząd a nie było opieki państwowej. W XIII wieku nie da się nawet ściśle odróżnić, które przywileje odnoszą się do osad na prawie polskiem a które do osad na prawie niemieckiem; w wielu oba rodzaje osad wspólnie przedmiot nadania lub rozporządzenia stanowią. Dlatego téż obraz sądownictwa w dobrach biskupstw polskich i dwónastu głównych klasztorów podany przez p. Hubego, jakkolwiek nader ciekawy, jest nader jednostronnym i niekompletnym, wkracza często mimowoli w prawo niemieckie a całkowicie go nie wyczerpuje.

Pozostaje nam jeszcze podnieść w książce p. Hubego ogromną wartość rozdziału X-go zawierającego rzecz o procesie, czyli jak go autor trafnie nazywa, o przewodzie sądowym. Rzecz dziwna. Niema w całej dziedzinie dawnego prawa polskiego działu, którymbyśmy mogli się tak słusznie poszczycić, jak nasz proces. Kiedy w Niemczech już w XVI wieku rozwój procesu na zupełnie błędne i fałszywe wszedł tory; kiedy zasada inkwizycyi i pisemności zwyciężyła bezwzględnie i dziś jeszcze wymogom umiejętności się skutecznie opiera: w Polsce zdrowe zasady skargowości, jawności i ustności postępowania, nietylko nigdy się nie zachwiały, ale owszem coraz to silniej, coraz to wszechstronniej uwydatniały się w późniejszym rozwoju procesu. Pomimo to jednak niema rzeczy, któreby w dziedzinie umiejętności naszej prawniczej tak dalece leżała odłogiem, jak właśnie dawny polski proces. Nieskończenie téż wdzięczni jesteśmy autorowi, że nas zarysem procesu pol-

skiego z XIII-go wieku obdarzył. Autor przechodzi go naturalnym porządkiem, w którym sprawa się rozwijała. Dowiadujemy się o skardze i o pozwie, dalej o czterech rokach (terminach) sądowych, ich znaczeniu i skutkach; o przypozwaniu i wsteczcy, następnie o środkach dowodowych, dokumentach, świadkach, przysięgach, przyznaniu się i oględzinach sądowych: wreszcie o wyroku i egzekucyi. Osobno uwydatniony jest proces karny, a w nim rozwinięta instytucya ordaliów czyli sądów Bożych.

Gdybyśmy rozdziałowi temu chcieli coś koniecznie zarzucić, musielibyśmy uskarżyć się, że autor poprzestał tylko na zestawieniu wzmianek znalezionych w źródłach. Tam gdzie wzmianki te są szczupłe i o całości nie dają wyobrażenia, uważamy za słuszne, że autor do podania faktów się ogranicza. Ale wiadomości o procesie są dość obfite i szczegółowe, tak że do umiejętnego opracowania i przedstawienia przedmiotu dają dostateczną podstawę. Należało więc zdaniem naszym wydobyć ogólne zasady ówczesnego procesu, przez co proces ten byłby się stał zrozumialszym, a wartość jego wewnętrzna byłaby się uwydatniła. Szukaliśmy też napróżno rozbioru najważniejszej kwestyi w każdym procesie, t. j. tak zwanego *prawa* lub *ciężaru* dowodu. Materiału do obrobienia téj kwestyi nie brakło, bo gdzie tylko mowa jest o środkach dowodowych, tam zarazem jest powiedzianém, która ze stron je przedstawiała.

Dzieło swe zamyka pan Hube dodatkiem, w którym objaśnia historycznie często już wspomnianą „Księgę prawa zwyczajowego z XIII wieku,” opisuje jej odkrycie, jej treść, system i pochodzenie. W tym ostatnim względzie odstępuje autor od całkiem ogólnego zdania Helcla, że księgę tę spisał Niemiec na prawie niemieckiem się rozumiejący, a przechylając się do zdania *Volkmanna* stara się dowieść, że powstała w Prusiech, a służyła jako podręcznik dla Krzyżaków, którzy o prawie polskiem w dzielnicy ich w wielu osadach obowiązującym, pragnęli mieć dokładną wiadomość. Kwestya ta, jak autor przyznaje, tylko odkryciem nowych źródeł da się ostatecznie rozstrzygnąć. Tymczasem nader pożyteczną byłoby rzeczą, gdyby ktoś zestawił przepisy owéj księgi z przepisami choćby tylko „Zwierciadła saskiego,” bo podobieństwo przepisów w wielu razach, jak z pobieżnego przeglądu można łatwo rozpoznać, idzie daleko. Stosunek wzajemny obu praw niezmiernieby się przez pracę tego rodzaju rozświecił.

Rzecz pana Hubego o księdze prawa zwyczajowego dopełniamy wzmianką o artykule Henryka Brunnera, jednego z najznakomitszych dzisiejszych profesorów prawa niemieckiego, umieszczonym w *Kritische Vierteljahresschrift für Gesetzgebung und Rechtswissenschaft von Pözl und Windscheid XII Bd. München 1870*, w którym Brunner stara się dokładniej czas powstania księgi prawa zwyczajowego oznaczyć; księga ta, powiada autor artykułu, zestawia stanowisko sędziów polskich ze stanowiskiem margrabiów i niektórych książąt niemieckich. Musiała więc powstać po Zwierciadle prawa saskiego, które

w księdze III, 68, § 1 i III, 64 § 7 tylko margrabiom pod własną powagą sądzić pozwala, a przed Zwierciadłem szwabskiem, bo w czasie napisania Zwierciadła szwabskiego, udzielanie kaźni królewskiej (banni regalis) sędziom, istniało tylko w terytoryach duchownych (Lassberg Art. 92, 115 cf. 141). Témsamém księga prawa zwyczajowego musiała powstać między rokiem 1230 a 1270.

Przeszliśmy całe „Prawo polskie w wieku XIII-ym“ podnosząc w grubych zarysach jego zalety i braki. Poprawiamy ostatnie wyrażenie, gdyby je ktoś chciał brać w znaczeniu błędów. Błędów oczywistych zasadniczych w dziele pana Hubego niema, a przynajmniej myśmy ich nie umieli wynaleźć. Dostrzegliśmy tylko w niektórych punktach luki, które należy zapełnić; zwróciliśmy uwagę, że niektóre ustępy dadzą się na podstawie materiału przez pana Hubego zestawionego dokładniej i wyraziściej przedstawić. Wyrażając więc raz jeszcze autorowi naszą prawdziwą i głęboką, a sądzymy powszechną wdzięczność za obdarzenie nas tak cenném dziełem, wypowiadamy przekonanie nasze, że o ile dzieła Helcla rzuciły pierwszą podstawę do rozpoznania źródeł prawa polskiego, o tyle praca pana Hubego jest niezaprzeczenie pierwszą, która nam podała obraz prawa polskiego z jednego wieku, w sposób umiejętny, w całym tego słowa znaczeniu.

Michał Bobrzyński.

PAMIĘTNIK Z POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Krystynę Narbuttównę.

(Dokończenie).

VII.

Dnia 25 kwietnia. Kongres coraz czynniejszy, znalazło się wiele kwestyi jeszcze nierozstrzygniętych a ważnych, które na gwałt domagają się stanowczej decyzji. Ogólne jest niezadowolnienie z wykażu budżetu finansowego; zatrważający niedobór w skarbie państwa, zmusza obie izby do ciągłych debatów nad zaprowadzeniem coraz nowych a niezupełnie pożądaných zkađinad oszczędności. Ze wszystkich biur rządowych usunięto połowę klerków; więc wyrzekanie tych co bez miejsc pozostali. Armię liczącą dotąd tylko dwadzieścia siedem tysięcy, zmniejszono na siedmnaście, a jednak rozległe granice Stanów Zjednoczonych i potrzeba utrzymania w szachu niepokojących ciągle plemion indyjskich i meksykańskich rabusiów, na to zmniejszenie i tak już zbyt matęj siły zbrojnej, niezupełnie pozwala. Flota jak

się okazało w takim jest stanie, że funkcyonować nie może; od lat dziesięciu, to jest od ostatniej wojny nic nie zrobiono dla jej utrzymania i summy na ten cel asygnowane ze skarbu, zwykłym trybem szły w ręce prywatne. Kwestya floty codziennie znaczną część szpalt dziennikarskich zajmuje i słuszne a ogólne wywołuje nieukontentowanie, tém bardziej, że świeżo tak niedołążnie załatwioną została kwestya z Hiszpanią. Kwestya ta w skutek osłabienia tego państwa przez terażniejszą wojnę domową, mogłaby Stanom Zjednoczonym sprowadzić nieobliczone korzyści, gdyby nie to, że z powodu iż Stany w obecnej chwili flotą swoją rozporządzać nie mogą, musiano opuścić tak dobrą zręczność, a zatargi zakończono w sposób nawet dla honoru Stanów ujemny. Wszystko to niepokoi prawdziwych patryotów, a ciągłe prywatne bankructwa i stagnacya w handlu niepokoją ogół; wszyscy z upragnieniem oczekują przesilenia finansowego: bodajby prędzej nastąpiło, bo taki stan może doprowadzić do jakiegoś wzburzenia; fabryki codzień upadają i w samym New-Yorku już więcej podobno nad sześćdziesiąt tysięcy ludzi jest bez roboty: procent to jednak zbyt wielki, nawet na milionową ludność. Wszystkie te palące kwestye ściągają tłumy publiczności na galerye obu izb, wszyscy wyczekują jakiejś radykalnej rady, ale o środek zaradczy na razie nie tak łatwo, jeżeli od tak dawna na to zło składało się tyle rzeczy. Patryoci tutejsi na dobitkę złego, ponieśli dotkliwą stratę w śmierci senatora Sumnera, który kilka tygodni temu zmarł nagle; istotnie był to jeden z coraz już rzadszych tutaj ludzi oddanych całą duszą sprawom publicznym; bezinteresowny a rozumny, znakomite swemu krajowi oddawał posługi: być może iż on jeden pojmował jasno i zdrowo potrzeby swego społeczeństwa i jego niewłaściwy kierunek, z którego usiłował całemi siłami je zwrócić. Jeden z ambasadorów europejskich powiedział mi bardzo trafnie o nim niedawno: *C'est un Americain, qui est le moins Americain*. A kiedy miałam zręczność osobiście poznać go bliżej, przekonałam się że rzeczywiście zdawał się w wyobrazeniach i dążeniach, jako też we względzie wiedzy i postępu o wiele wyprzedzać swoją społeczność. Karol Sumner umarł w pięćdziesiątym szóstym roku swego życia, ciało jego odwieziono w asystencyi senatorów do Bostonu, gdzie został pochowany dnia 15 kwietnia 1874 roku.

Przez dwadzieścia dwa lat reprezentował w senacie stan Massachusetts. Jak wspomnieliśmy, onto się głównie przyczynił do zniesienia niewoli Murzynów, a przez cały czas zasiadania jego w senacie, w tysiącnych okolicznościach dawał dowody prawości i szczerzej pracy dla dobra ogólnego.

Pomimo wszakże tych wszystkich niepowodzeń, agituje się ciągle projekt wystawy powszechniej. Jest to przedsięwzięcie prywatne przemysłowców Filadelfii, ci domagają się u kongresu kilku milionowego forsusu na ten cel ze skarbu; ale członkowie w żaden sposób przy dzisiejszym stanie finansów zgodzić się na ten bill nie chcą i jak się zdaje zupełnie słusznie robią. Prezydent Grant, który trochę przed-

wcześnie rozesłał do państw Europy zaproszenie do współdziałania w wystawie, całą siłą popiera bill przedsiębiorców, ale to wszystko na próżno i kilka dni temu izba reprezentantów stanowczo go odrzuciła. Pomimo to jednak przedsiębiorcy nie zdają się upadać na duchu; bill odłożony zostanie do przyszłego kongresu, a przez te kilka miesięcy w Stanach Zjednoczonych wiele rzeczy niepodobnych podobnemi uczynić można: może też i członkowie kongresu zmiękną w swoim oporze a wystawa przyjdzie do skutku.

Tymczasem wiosna już nie w rozwiciu, ale w całej pełni swojej: drzewa zielone, przepyszne kwiaty coraz nowe a coraz piękniejsze okolo domów napełniają tarasy; gęste, wijące się a kwiciste rośliny z rodzaju lijanów okrywają dachy pnąc się po ścianach; skwery przepelnione tak bujną, bogatą a nieznaną u nas roślinnością, że każdy krzew z osobna podziwienie wzbudza. Te gatunki, które u nas tylko w cieplarniach wegetować mogą, tutaj krzewiaste, okryte olbrzymim kwiatem, magnolie i rododendrony tak rozrosłe a wielkie, że jeździec na koniu ukryłby się w nich łatwo; rozmaite gatunki bukszpanów u nas takie drobne, mogące tylko służyć do obsadzenia klombów z kwiatami, tutaj to krzewy ogromne na piętnaście stóp wyrosłe. Lecz mogąż ja wliczyć wszystkie pysznej roślinności tutejszej bogactwa, które co chwila wpadają w oko i podziwiać się każą?

Z nadejściem lata i całe miasto wypiękniało, poweselało; w godzinach popołudniowych na tarasach przed domami, szczebioczą z sąsiadkami i mężką młodzieżą strojne dziewczęta, na ławkach siedzą mężczyźni, czytają dzienniki, albo schodzą się i gawędzą to o wypadkach codziennych to o debatach kongresu; na trotuarach tłumy dzieci co hałaśliwie cieszą się po swojemu, że z powrotem lata wróciła im znowu nie krępowana swoboda: młodzież obojęj płci w małych jednokonnych powozikach (bogy) przesuwa się szybko po ulicach spiesząc gdzieś za miasto na spacer, na wycieczkę w okolicę, a tyle wszędzie i ruchu i życia, że i mnie nawet weselęj się jakoś na sercu zrobiło i tęsknota nie tyle doskwiera.

Kobięty tutejsze przepadają za zabawami i rozrywkami różnego rodzaju, nie wyczerpane są w pomysłach do organizowania rozmaitych wycieczek tłumnych i samotnych. Tęj potrzebie publiczności wnet posługują spekulanci, więc na przeciwnym brzegu Potomaku urządzone są ogrody, a w nich restauracje, karuzele i t. p.; komunikacja urządzona wygodnie a statki parowe przewożą codziennie tłumy wesołych par na drugi brzeg, gdzie uorganizowane pikniki dają możność ubawienia się dowoli. Nie powiem ażeby te wszystkie zabawy były podług naszych wyobrażeń bardzo przyzwoite, ale że wesołe i swobodne to pewno, głównie też tu o to chodzi. Ulubioną tu jeszcze zabawą młodzieży jest rybołówstwo; dwoje młodych ludzi jedzie czasem o kilka mil w okolicę ponad rzeczkę, gdzie po całych dniach łowią ryby na wędkę: zabawa taka przeciąga się czasem i kilka dni, czasem też i liczniejsze towarzystwo zbiera się na taką wycieczkę.

Washington ma kilka skwerów nie wielkich wprawdzie, ale przy tutejszej takiej pięknej roślinności bardzo ponętnych; nie są one wszakże tak uczęszczane jak u nas bywają miejskie ogrody: obaczysz tam tylko dzieci z niańkami i ludzi starszych wiekiem, młodzież ruchliwa nie lubi takich konwencyonalnych przechadzek i szuka jak to pisałam, innych swobodniejszych rozrywek.

Najstaranniej utrzymanym jest Lafayette-skwer, ozdobiony dosyć okazałym pomnikiem generała Jacksona spiżowym, wyobrażającym Jacksona na spinającym się koniu pośród czterech armat naturalnej wielkości. Pomnik umieszczony jest w perspektywie naprzeciw „białego domu“. Tak zwaną jest rezydencya prezydenta Stanów Zjednoczonych, bardzo skromna a nawet zaszczupła na tłumne publiczne recepcye, jakie co rok w czasie trwającego kongresu każdego piątku bywają. Na recepcye takie wolno wejść każdemu czysto ubranemu, bez żadnych wstępnych a zwykłych gdzieindziej formalności. Wchodząc do sali gdzie się znajduje prezydent, potrzeba wyznaczonemu do tego urzędnikowi powiedzieć swoje nazwisko; ten przedstawia prezydentowi, który podaje rękę na powitanie, dodając kilka słów nic nie znaczących, poczem przechodzi się do innych sal, gdzie wśród tłumu i ścisłu przy odgłosie muzyki goście przechadzają się nie kępując się żadnymi formami etykiety. Dla tualety nie ma żadnych prawideł, niektóre z kobiet ubrane są jak na bal, inne zaś jak na ulicę, co daje zebraniu pozór oryginalny. Recepcya trwa od godziny szóstej do dziesiątej wieczorem.

W ogóle całe otoczenie prezydenta Stanów Zjednoczonych jest bardzo skromne i zupełnie prywatne, bez honorowej warty i bez żadnej asystencyi. Niekiedy jeszcze bywają „w białym domu“ recepcye, na których przyjęte bywają tylko osoby należące do wyższych sfer i wchodzące w skład rządu krajowego, jako też rodziny ambasadorów obcych państw; na tych zachowana jest więcej forma etykietalna, ale to są tak zwane recepcye prywatne, i niczem też po za obręb prywatnych nie wychodzą.

Cała administracya kraju ma charakter czysto-cywilny, nigdzie munduru, nigdzie wojska, nigdzie sztyldwachu nie widać; straż około bezpieczeństwa publicznego utrzymuje jedynie policya ani dosyć liczna ani czujna, bo w jej oczach prawie codziennie trafiają się śmiałe morderstwa i kradzieże. Policya też jedna ma ubranie w rodzaju uniform, po którym odróżnić ją można w razie potrzeby; każdy z policjemenów uzbrojony jest tylko w casse-tête z drzewa, które także należy do osobliwości Ameryki Północnej: twarde jest tak prawie jak żelazo a uderzenie nim nawet lekkie jest zabójczem. W razie jeżeli który z policjemenów potrzebuje zaalarmować kolegów, uderza o cobądź twardego swoim casse-tête, to wydaje dźwięk jakiś odrębny, metaliczny, dziwnie donośny, a zwłaszcza w nocy o wiele donioślejszy niż zwykła gwizdawka.

Nie wielki oddział wojska, który utrzymywany jest w Waszingtonie, stoi w koszarach o kilka mil ang. od miasta i nie pełni żadnej służby w stolicy, umundurowany jest na sposób francuzki a mianowicie kawalerya i żuawy.

W Stanach Zjednoczonych nie ma przymusowej służby wojskowej i cała armia tworzona jest z dobrowolnie najmujących się ochotników, z których każdy bierze umundurowanie i sto dolarów miesięcznie. Tak dobra płaca ściąga w szeregi ludzi różnych klas i sprawia, że na ochotnikach nigdy nie zbywa. Oprócz tego małego oddziału wojska, co więcej dla parady jak z potrzeby utrzymywane jest przy stolicy, reszta nie licznej siły zbrojnej, rozmieszczoną jest po fortach rozrzuconych zrzadka po kraju, a mianowicie w miejscowościach więcej narażonych na napady Indian i białych rabusiów.

Bandy białych łotrów są prawdziwą plagą tutejszego kraju i często gorsze jeszcze i okrutniejsze wyrządzają zniszczenie aniżeli Indianie; bandy te uorganizowane bardzo porządnie, prowadzą ciągłą podjazdową wojnę, a bezludne i niezmierzone obszary Południowych Stanów, dostarczają im kryjówek bezpiecznych a często i obronnych, ku czemu dzika miejscowa natura dopomaga. Rabusie tacy mają zwykle swoich agentów i współdziałają biorących pomiędzy osiadłymi kolonistami, co im ułatwia napady i rabunek, a trudniejszym czyni wszelkie prześladowanie ich ze strony rządu. Niepodobna byłoby opisać tych strasznych okrucieństw, jakich bandy takie dopuszczają się napadając na spokojnych plantatorów; najczęściej w czasie takich napadów wybierają się po indyjsku i umalowani udają które z sąsiednich plemion czerwonych, ażeby na nich zrzucić posądzenie. Linia zachodnia kolei żelaznej idąca z New-Yorku do San-Francisco przerzyna całe Stany Zjednoczone, łącząc Ocean Atlantycki ze Spokojnym; aby przestrzeń tę przebyć, potrzeba nieustającej jazdy dziewięć dni i dziewięć nocy: linia ta przebiega takie pustynie, że miejscami oprócz dwóch stacyi na dobę, gdzie pociąg zatrzymuje się na chwilę, nie napotyka się ludzkiej siedziby. Otóż bandy rabusiów korzystając z tego, bardzo często na pewnej przestrzeni wrywają relsy, robią zasadzkę na mający nadejść pociąg i napadają na niego w chwili, kiedy nadbiegłszy niespodzianie na miejsce zrujnowanej kolei przewraca się i druzgoce. Administracya państwa utrzymującego tak małą siłę zbrojną w stosunku do niezmiernych obszarów, nie jest w stanie powstrzymać tych nadużyć i przeszkodzić kłeskom tém bardziej, że od strony Meksyku także czujną być musi, bo burzliwy, namiętny a chciwy charakter Meksykanów, nie bardzo spokojném ich sąsiedztwo czyni.

Sledząc wszechstronnie bieg życia społeczności tutejszej, przyznać potrzeba, że i towarzyszące okoliczności jakby się zmawiały niekiedy na to, ażeby ją popychać na bezdroże.

Pomiędzy innemi, odkrycie przed laty dwudziestu niewyczerpanych jak się zdawało kopalni złota w Kalifornii, przyczyniło się niepomalu do rozbudzenia chciwości a przez nią do różnorodnej demora-

lizacy dało pochop. Kiedy wieść o odkryciu tych niezmiernych skarbów jak iskra elektryczna obiegła kraj cały, wszystko co żyło zawrzało. Rząd państwa podług praw konstytucyi nie może mieć żadnej własności, odkryte kopalnie były więc własnością całego narodu i wolno było każdemu obywatelowi eksploatować je na własną osobistą korzyść. Namiętne pragnienie z bogacenia się opanowało wszystkich i tłumy całe pijane chciwością, pognały na zachód po złoto, po szczęście. Dreszcze przejmują słuchając opowiadania, co w tamte czasy działo się w całym kraju; rodzice na ulicy rzucali dzieci, mężowie żony, ojcowie całe rodziny bez najmniejszego środka do życia pozostawiali, ludzie dostatni pewne już stanowiska opuszczali; wszystko to jakby w obłędzie miotane nieprzewycięzoną namiętnością, wyrzekało się wszystkiego co ich dotąd wiązało, ażeby podążyć do tego upragnionego celu—złota. Szał to był tak ogólny, tak niepohamowany, że wiele biur zamknąć było potrzeba, a prawie wszystkie fabryki stanęły, bo nie było komu pracować. Ktokolwiek był zdolny unieść oskarżenie przedem Kalifornię, pozbawioną wszelkich warunków do utrzymania potrzebnych. Jakie okropności działy się wtedy, opisać niepodobna byłoby; tu całe rodziny opuszczone umierały z nędzy, tam znowu ginął marnie tłum szaleńców, co konał z głodu, z żółtej febry, lub mordował się wzajemnie za garść złotego piasku.

Pomiędzy innemi opowiadano mi, jak pewien lekarz znany powszechnie i liczną mający praktykę, miotany jak inni śnieprzepartem pragnieniem bogactwa, wśród nocy uciekł z domu opuszczając żonę i pięcioro dzieci. W kilka miesięcy potem, żona w najzupełniejszej pozostała nędzy, sprzedawszy wszystko co miała na utrzymanie życia; wszystkie pięcioro dzieci z kolei pomarły z nędzy i głodu, matka poszła za niemi. A on, natrafił wprawdzie na żyłę złota, ale gdy przez nieostrożność wydał się z tém, zamordowany został przez towarzyszków, co jego miejsce zajęli.

Biędni szaleńcy kuli twardą skałę, szukali złota z nieustannem narażeniem swego życia a wszystko to dla tych co im dowozili nędzne pożywienie, które dosłownie na wagę złota nabywać musieli. Wielu stérawszy siły i zdrowie wracali z téj złotodajnej krainy jeszcze ubożsi niż przedtém byli; niektórym udało się coś tam trochę zachować, lecz całe zyski ich pracy pozostały w ręku albo oszustów, co mieli tysiączne sposoby wyzyskiwania biédaków, albo w ręku spekulantów, co umieli korzystać z tak niezwykłego położenia rzeczy.

Dziś kopalnie się wyczerpały, ludzie popowracali na dawne swoje miejsca, albo rozeszli się po kraju szukać nowego szczęścia; ale przez długi czas żyjąc ciągle pod wpływem téj gorączkowej chęci z bogacenia się, chciwość namiętną przyswoili sobie i weszła ona już w życie społeczne, a podsycana ciągle duchem emigracyi napływającej nieustannie w celu dorobku, stała się cechą charakteru ogólnego.

Obecnie w kopalniach Kalifornijskich, złota bardzo mało się znajduje; dalszą eksploatacyę kompania przemysłowców wzięła na siebie płacąc robotnikom dziennie; już i warunki utrzymania tam stały się łatwe, złoto znikło, a z tém wszystko powróciło do porządku i spokoju. Temi czasy złoto téż znikło i z horyzontu finansowego Stanów Zjednoczonych, w obiegu niema go wcale; przez cały czas mego pobytu tutaj, dotąd ani jedna sztuka złotej monety nie wpadła mi w ręce, a jedyny tylko złoty dolar widziałam na breloku od zegarka; srebra téż niema w kursie zupełnie, a pieniądze papierowe nawet kilku i kilkunastu centowe kursują. Po ostatniej wojnie domowej był czas, że złoto doszło do ceny pięćdziesięciu procentów, w tym roku dla przykrócenia trochę nadużyć finansistów, spekulantów, ustanowiono stałą cenę złota dwanaście na sto.

VIII.

Dnia 18 maja. Blisko dwóch tygodni byłam obłożnie chora, wezwany lekarz powiedział mi że tą chorobą moją płacę tylko zwykły haracz, jakim każdy przybywający do Ameryki Europejczyk okupić musi pierwsze przepędzone tutaj lato, i za szczęśliwą uważać siebie powinienam, jeżeli na tém się tylko skończy. Bez silnego jakiegoś wstrząśnienia w organizmie, nie można przejść z naszego umiarkowanego klimatu do gorącej, burzliwej a zmiennej atmosfery tutejszej. Ludzie zmuszeni narażać się więcej na palące promienie słońca, najczęściej przebywają to przejście zapaleniem mózgu, połączonem z maligną, albo téż chwilowem pomieszanem zmysłów.

Lekarz Palmer ostrzegał mię żebym była ostrożną, bo widzi we mnie wielką skłonność do zapalenia mózgu. Wyznać muszę że mnie to niepomału zafrasowało. Chorować tutaj wcalebym sobie nie życzyła, mniej jeszcze niż gdziekolwiek. Do medycyny tutejszej niemam zaufania, a i dziwnie niedbale obchodzą się tu z choremi; przez czas terażniejszej choroby pozostawioną byłam zupełnie samej sobie i pozbawiona najkonieczniejszej opieki, pomocy i wygody.

Choroba moja ustąpiła prędko zawdzięczając silnym merkuryalnym środkom, których pospolicie używają lekarze tutejsi w razach nawet wcale nie naglących; mnie na nieprzywykły do nich organizm, lekarstwa myster Palmera dzielnie posłużyły i postawiły odrazu na drodze rekonwalescencyi. opanowawszy zapalenie, wszakże niepewną jestem czy drugą razą nie byłoby za zbyt silne. Merkuryusz i opium są tutaj tak upowszechnione, że wszyscy nawet bez recepty doktora w niektórych wypadkach dowolnie się niemi posługują; dzieci są tém od najpierwszych chwil życia przefadowane, opium szczególnie powszechnie jest używane.

Kiedy matka niemająca służącej chce wyjść z domu na wieczór, daje każdemu z dzieci pewną dozę opium, dzieci śpią, a matka spokojnie się bawi, pewna że się aż rano dopiero pobudzą. Być może że to,

a może i inne jeszcze powody na to się składają, że śmiertelność dzieci jest bardzo wielka; dopiero po latach czterech dziecię zaczyna się rozrastać i sił nabierać, ale do tego wieku tak jest nędzne, mizerne i bez żadnego życia, że litość bierze patrzeć na nie. W znacznej części przypisać to należy niewłaściwemu pokarmowi, jakim się dzieci tutaj utrzymują. Od samego urodzenia rzadko które zna pokarm naturalny, po większej części do dwóch lat życia karmione jest mlekiem skoncentrowanem: jest to jakaś mieszanina mleka i cukru, sprzedawana w puszkach blaszanych; łyżeczka téj mieszaniny rozpuszczona w szklance gorącej wody z bułką, stanowi cały posiłek biedactwa, które prawie zawsze głodne sił nabrać nie może. Przypięt jest tu jeszcze wcale nie dobry ze względu zdrowia, system ubierania dziecka zupełnie nie właściwy w tak gorącym klimacie: ubierają je kosztownie i świeżo po wierzchu, ale pod spodem takiem mnóstwem pieluch i tak ciasno jest obwinęte, że dziecię nieustannie złane jest potem co je wycieńcza ostatecznie; wszystkie choroby dzieciinne, tak jak koklusz, odra, szkarlatyna i t. p., które u nas ogólnie dosyć lekko dzieci przebywają, tutaj je dziesiątkują. Suchotom, i dzieci i starsi bardzo często podlegają; dla osób słabych na piersi klimat tutejszy jest zabójczy. Kobięty w ogóle bardzo wątłego są zdrowia, i tu wiele rzeczy do tego się przyczynia, a niepomału téż ubranie w zimie zbyt lekkie, w czasie upałów letnich zaciśnięte i niewygodne. Od dwunastego roku życia, dziewczynki chodzą zakute w gorset niezrzucając go ani na chwilę od rana do nocy, pomimo nieznośnego skwaru, którym i tak już każdy jakby dławionym się czuje.

Według pojęć tutejszych, kobięta ażeby była piękną powinna być jak najszczuplejszą, więc młode miss w obawie ażeby nie utyły, jedzą rzeczy co najmniej pożywne, a przeważnie żyją herbata, owocami i słodyczami; wprawdzie cel pożądaný zwykle osiągnięty bywa, bo pół yarda wystarcza na pasek obejmujący wysmukłą figurę, ale wycieńczone siły nie na długo wystarczają, i pospolicie młode kobiety wpadają w rozmaite chroniczne choroby, które resztę cierpieniem zatruwają; tu znowu przyczyniają się zapewne wiele środki gwałtowne merkuryalne, i bardzo silne roślinne, których kobiety tutejsze w pewnych razach używają.

Od tygodnia nagle rozpoczęły się upały tak silne, że prawdziwie są do nie wytrzymania, tém dotkliwiej dające się uczuć, że nawet w nocy powietrze się nie ochładza, a że wszelki wiatr ustaje, więc jeszcze parniejsze się robi; o tak wysoko podniesionej temperaturze jaka tu bywa, u nas nawet wyobrażenia mieć trudno, wszystko co jest wewnątrz mieszkania tak staje się ogrzanem, że w dotknięciu ciepło daje się uczuć. Dziś rano wróciwszy ze śniadania, chodząc po pokoju wypadkiem dotknęłam się ręką do żelaznego piecyka; tak był ciepły, że sądziłam iż Sara, posługująca mnie murzynka, przez szczególne jakieś roztargnienie rozpałała w nim ogień; ale pokazało się że ani iskierki w nim nie było: do tego stopnia nagrzała go tylko podniesiona tempe-

ratura powietrza. Co to będzie dalej nie wiem, bo mówią że w lipcu i sierpniu jest jeszcze gorzej; a jednak w tych kilku dniach było już kilka wypadków nagłej śmierci. Palące promienie słońca zabijają ludzi na ulicy w jednym mgnieniu oka prawie, człowiek dotknięty tęp, doznaje najwyższego osłabienia i pada martwy. Jeżeli śmierć nie nastąpi odrazu, to jako jedyny w takich razach ratunek używane są o ile można najwięcej rozpalające środki, więc co najmocniejsza wódka rozmięszana z tłuczoną gorczycą i inne temu podobne.

Tą potrzebą klimatu, tłumaczyć też poniekąd można pociąg Amerykanów do wszelkich alkoholicznych trunków; nałóg pijaństwa jest tu tak powszechny, że mało kto mu nie ulega i to od najmłodszych lat życia; nie rzadko kobiety nawet poddają się tej wadzie. Wina bardzo mało Amerykanie używają, ale zato napojów spirytusowych w takiej ilości, że istotnie potrzeba się dziwić jak im wewnątrzności na węgiel nie spala. Każde miasto ma niezliczoną ilość szynkowni *bar-room*, do których najporządniejsi ludzie nie wahają się wchodzić; każda z tych szynkowni wybornie stoi i pochłania ogromne pieniądze.

Rząd chcąc przykrócić ten panujący nałóg, od czasu do czasu wznawia prawo wstrzemięźliwości, według którego do pewnej tylko godziny *bar-room* może być otwarte, a w dniu świąteczne bezwarunkowo przez cały dzień zamknięte, ale to rozporządzenie bardzo słabo jest wykonywane i ludzie piją na potęgę.

W tym roku pojawiło się nowe stowarzyszenie kobiet pod nazwaniem *tempereklerek*, które ma na celu wszelkimi siłami powstrzymać pijaństwo; zbierają się tłumnie i idą pochodem od szynkowni do szynkowni, zatrzymują się przed każdą i dopoty kłęcząc przed drzwiami śpiewają psalmy i modlą się, dopóki gospodarz znużony nie zamknie drzwi szynkowni. Modlitwa ta jest niby na tę intencję ażeby Bóg zesłał upamiętanie pijakom; niewiele to jednak pomaga, i chociaż niema dnia żeby partya *tempereklerek* nie przesuwiała się ulicą, szynkownie na chwile zamknięte znowu się otwierają zaraz po ich odejściu, a biedne kobiéciny nieraz nasłuchawszy się jeszcze hulackich piosnek, które im goście szynkowni śpiewają nawzajem, z niczém odchodzą. Niedawno właśnie siedząc na ławce w Lafayette-skwer zdaleka byłam widzem takiego przejścia. W najparadniejszym Washingtonskim hotelu *Arlington-hôtel*, będącym naprzeciw skweru, zebrała się tłumnie jak zawsze młodzież do *bar-room*; tam też nadciągnęły niebawem i *tempereklerki*, uszykowały się przed oknami i chórem zwykłe swoje śpiewy rozpoczęły; w oknach ukazało się mnóstwo mężczyzn i także śpiewać zaczęli, ale już z innego tonu i wcale znać nie pobożne i nie budujące śpiewki; kobiety chcąc ich zagłuszyć, podniosły głos, ale i mężczyźni też coraz *crescendo* śpiewali: wynikł z tego straszny dysonans i prawdziwe *charivary*, bo każda strona chciała drugą prześpiewać; tłumy ludzi się zeszło, z tych mężczyźni się śmieli, kobiety były oburzone, trwało to dość długo, aż nakoniec *tempereklerki* zmęczone i rozżalone pierwsze z placu ustąpiły, przy którym z wielką chlubą

pijaca młodzież się utrzymała; gospodarz bar-room najlepiej wyszedł, bo zwyczajstwo uczczono pijac whisky podwójnemi dozami.

Pomimo że winogrona rosna tu dziko, nawet w Wirginii, która nie należy jeszcze do południowej części kraju; win krajowych bardzo jest mało i dostarcza je jedynie południowa Kalifornia. Wina kalifornijskie podobne są zupełnie do win krymskich, mianowicie gatunek jeden musującego, zupełnie tamto przypomina. Według tego jak mi mówiono, zdaje się, że jeżeli Stany-Zjednoczone niemają wyborowych win własnych, to tylko dlatego że ta gałąź przemysłu jest jeszcze zaniedbaną, gdyż znajdują się tutaj wszystkie potrzebne do tego warunki.

Pomiędzy innymi niezmiernie pożytecznymi roślinami, w które obfituje Ameryka Północna, jest jeszcze pewien gatunek drzewa klonowego; z soku jego wyrabia się cukier przydatny do podrzędnego użytku, sok wydobywa się na wiosnę znanym i u nas sposobem, którym zwykle lud prosty sok ten z brzozy dobywa. Cukier klonowy smak ma przyjemny i czysty, bez żadnego odrębnego odoru, kolor tylko ciemny, lecz sądzę że i temu przy starannej fabrykacyi łatwo możnaby zaradzić; podług zdania znających się na tém, drzewo to i w naszym klimacie z łatwością przyswoićby się dało; rośnie szybko jak wszystkie rodzaje klonów.

Cukier pospolity jest tu mniej więcej w tój samój cenie jak u nas, ale w daleko gorszym gatunku; widocznie że fabrykacya nie staranna; cukier w głowach w bardzo małej ilości się znajduje i wszyscy posługują się tylko mączką, a ta tak jest niedobrze oczyszczoną, że kolor ma żółtawy i w smaku czuć melasę. Cukier wyrabiają tylko z trzciny, buraków nie uprawiają wcale.

Amerykanie herbaty piją wiele, ale jój przyrządzać nie umieją i gotują jak ziółka; powszechnie używaną jest tu herbata japońska, gatunek żółtej, dobra jest i aromatyczna, nie tyle wszakże jak chińska żółta.

Stany-Zjednoczone utrzymują z Japonią bardzo częste stosunki handlowe. Niema miasta ażeby niebyło w nim kilka magazynów z samemi japońskimi produktami. Przed rokiem przyjeżdżała do Washingtonu delegacya z Japonii w celu zawarcia ścisłego sojuszu z rządem tutejszym; delegowani usiłowali bardzo szczegółowo poznać cały ustrój administracyi i przemysłu Stanów-Zjednoczonych. Muncypalności miasta Washingtonu złożyli podarki, które widziałam w muzeum tutejszém: są to przepyszne okazy tamecznej porcelany i bogate materye jedwabne przetykane złotem.

Muzeum tutejsze jest dosyć ciekawe, wiele w niem jest rzeczy godnych widzenia; już sam dział zoologiczny, bogaty i bardzo kompletny, prawdziwie zając uwagę może. Są tam okazy wszystkich zwierząt, ptaków i wielu płazów jakie się w Ameryce północnej i południowej znajdują. Ptaków szczególniej bogaty jest zbiór, wśród którego rozliczne gatunki przeslicznych kolibrów niepoślednie miejsce zajmu-

ją. Muzeum oprócz zoologicznego, posiada jeszcze działy mineralogiczny i archeologiczny.

Mineralogiczny nie ogranicza się tylko na przedmiotach krajowych, są tu i niektóre okazy obce; przede wszystkim zajął mnie tu ogromny, cztery stopy średnicy mający aerolit z samych prawie miedzianych pierwiastków składający się, a spadły przed dawnymi laty około „Wielkich jezior.” Indianie uważali jego spadnięcie jako nadprzyrodzone zjawisko, nazywali go świętym kamieniem i niezwykłą cześć mu okazywali. Jedna z natchnionych wyroczni indyjskich wyrzekła o nim niegdyś prorocstwo, że kiedy kamień święty dostanie się w ręce białych ludzi, ród czerwonych wojowników zaginie. W skutek tej przepowiedni Indianie do ostatnich czasów przechowywali aerolit w lochach i w największej tajemnicy strzegąc, ażeby wieść o nim do Jankesów nie doszła; pomimo to wszakże jakimś wypadkiem dowiedziano się o tém. Czy Amerykanom chodziło o ten okaz ciekawy, więc z pobudek naukowych pragnęli go zdobyć, czy może także jakimś przesądem powodowani byli i uwierzyli wyroczni, dosyć, że aż siłą zbrojną wydarł aerolit Indianom, którzy bronili go rozpaczliwie. Dziś święty kamień zdobi muzeum białych zdobywców, naród czerwonych wojowników z każdym dniem niszczeje, a niedługo jak się zdaje, do szczytu wyginie i prorocstwo powoli się spełnia.

W sali zbioru archeologicznego jest wiele rzeczy ciekawych odnoszących się do historii Ameryki północnej. Znajduje się tam liczny zbiór broni indyjskiej z rozmaitych czasów, broń pierwszych zdobywców Hiszpanów, bardzo wiele pamiątek pierwotnych ludów tutejszych, nawet zabalsamowane ciała ich wodzów, ciekawe zabytki Normandów, którzy najpierwsi z narodów europejskich wstąpili na brzegi Nowego Świata: słowem muzeum to, ma istotną wartość naukową a dla badaczy przeszłości tego kraju wielce ciekawą.

Z porządku rzeczy wypada mi wspomnieć jeszcze o muzeum sztuk pięknych, które właśnie świeżo zostało otwarte. Jestto dar prywatny jednego bogatego obywatela nazwiskiem Corcoran, ale oprócz kilkunastu obrazów kopii do szkoły francuskiej należących i kilku małej wartości dzieł sztuki snycerskiej, muzeum nic jeszcze więcej nie posiada; z czasem wszakże może się wzbogaci, a poczucie piękna dotąd jeszcze w zaniedbaniu, rozwijać się kiedyś będzie; może to pierwsze ziarno rzucone przez zacnego obywatela, chociaż powoli kiełkować z czasem zacznie, a jeżeli nie zagłuszą go złe chwasty krzewiące się w około, to i zakwitnie i plon wyda. Dziś jednak sztuki piękne bardzo tu nisko stoją, muzyka nawet która zwykle w każdym narodzie najpierw się doskonalą i rozwija, w pierwotnym prawie jest jeszcze stanie: takie koncerty jakie tu miejsce miewają, bardzo źle świadczą o smaku publiczności. Można z czasem rokować że i to się z czasem rozwinie, bo Amerykanie z natury mają wiele zdolności do śpiewu, a głos czysty i silny często posłyszec można. Publiczność tutejsza szczególnie ma upodobanie we wszelkich widowiskach, ztąd też i dyrekcye wszystkich

teatrów bardzo dobrze stoją i podkupują się wzajemnie, płacąc baje-
czne summy lepszym artystom, a mianowicie śpiewakom i komi-
kom, część zaś dramatyczna słabo przedstawiana. New-York jest
ogniskiem sztuki dramatycznej, ogromna ludność tameczna złożona
w wielkiej części z przybyszów europejskich, potrzebuje rozrywek
i więc w tym względzie wymaga. Znajduje się tam wiele większych
i mniejszych teatrów, których dyrekcye robią ze swoją trupą wycieczki
w rozmaite miejscowości kraju; takimto sposobem słyszeliśmy tej zimy
i sławną Nilson w Washingtonie. Washington ma swój własny
teatr stały, ale wcale nieszczęśliwy; w czasie zimowych miesięcy dy-
rekcya daje dwa przedstawienia dziennie, jedno w południe a drugie
wieczorem; od czasu do czasu jeszcze występuje z południowemi przed-
stawieniami wyłącznie dla dzieci. Chcąc wiedzieć czem tu dzieci ba-
wią, zaproponowałam pewnej znajomój mi pani rodem z Francyi, ma-
jącej kilkoletnią córkę i poszliśmy razem na przedstawienie, znané tu
powszechnie a bardzo popularnej komedyjki. Dostyc to oryginalnie
było widzieć cały teatr zapełniony samemi dziećmi, w krzesłach sie-
dzieli same chłopcy, w łozach dziewczynki pod opieką nianiek murzy-
nek. Kiedyśmy zajęły naszą łóżę, podniosła się właśnie kortyna; pa-
trzyliśmy uważnie i na spektatorów i na aktorów, obie byłyśmy obu-
rzone niemoralnością treści przedstawianej komedyi. Bohatérem był
łobuz uliczny, który karyerę swoją rozpoczyna od tego, że na ulicy
przechodniom bardzo zręcznie wyciąga chustki z kieszeni, przekup-
niom wykrada łakocie, a policmenowi który usiłuje go złapać, pła-
ta ciągle figle. Mali spektatorowie nieszczędzili mu za to rzęsistych oklasków,
śmiejąc się do rozpuku z tych wszystkich dowcipów łotra, który przecho-
dząc rozmaite koleje, zawsze w tej saméj roli urwisa, w trzecim akcie na
zakonczenie, bohater już młodzieńcem ukazuje się na scenie w całym po-
uętym biasku bogactwa, bo wjeżdza w ładnym małym powoziku, ma
własne koniki, piękny zaprząg, murzynka służącego w błyszczącej li-
beryi: słowem wszystko co mogło zachwycić spektatorów. W powozie
obok szczęśliwego bohatera, siedziała młoda i ładna miss, do której
jeszcze w pierwszym akcie umizgać się zaczynał. I tak treść całego
przedstawienia dziwnie nie moralna i rzucająca się w oczy, a dodać trzeba
jeszcze do tego pomiędzy aktami wystąpienie poliszynela, bez którego
tutaj żadne mniejsze a często i większe przedstawienie obejść się nie
może, przepelnione takimi niesmacznemi a nawet nieprzyzwoitemi
konceptami, że wstręt wzbudzały. Obie z panią S. która także nieda-
wno bawi w tym kraju, nie mogliśmy wyjść z podziwienia i z pewnym
rodzajem osłupienia patrzyliśmy tylko na siebie, nie mogąc na razie
zdać sobie sprawy, z téj dziwnéj, jakby umyślnéj tendencyi sztuki, wy-
łącznie wszakże dla dzieci przeznaczonéj.

Otóż nowy wynik téj zgubnéj prawodawstwa kraju zasady, że
każdy sam nad sobą i swoim bezpieczeństwem czuwać powinien;
z niéj wychodząc administracya nie wgląda w to, co dyrekcya teatru
zechce dać na przedstawienie przeznaczone dzieciom i czy nie szko-

dłwie wrażenie pozostawi ono na młodocianych umysłach: rząd potakując zupełnym swobodom, czuwać nad kierunkiem młodego pokolenia nie może, a matki nie chcą.

Amerycanie oprócz widowisk teatralnych, namiętnie lubią także wszelkie inne widowiska, a menażerye i cyrki tresowanych zwierząt mają tu szalone powodzenie; do tego stopnia szalu to upodobanie dochodzi, że prawo wdać się tu musiało i jest postanowionóm, przez ile dni, może tylko przedsiębiorca okazywać w jedném mieście swoje przedstawienie, inaczej paraliżowałyby to wszelką pracę. W tych dniach właśnie mieszkańcy Washingtonu mieli taką uciechę: przez trzy dni bawiła tu jakaś bardzo świetna menażerya, posiadająca wiele zwierząt a wszystkie, o radości! były tresowane: więc i słonie i girafy i nosorożec nawet popisywały się ze swoim rozumem i wysokimi umiejętnościami, małpy zaś grały rolę poliszynełów. Naprawdę ciekawém było do widzenia jaki szal ogarnął wszystko co żyło, każdy chciał te osobliwości widzieć koniecznie; antreprenier miał tylko na trzy dni pozwolenie, więc po trzy razy na dzień dawał przedstawienie, a każdą razą takie były tłumy spektatorów, że wśród ścisku, kalectwa i śmierci było kilka wypadków.

Już na dwa tygodnie przed przybyciem menażeryi olbrzymie afisze, na których wymalowane prawie w naturalnej wielkości mające przybyć zwierzęta, zwiastowały miastu tak bardzo pożądaną rozrywkę. W dzień wjazdu cała menażerya odprawiła wjazd tryumfalny i wszystkie klatki obwiezione zostały po ulicach miasta okryte, znieodstępnym poliszynelem, który w jaskrawém ubraniu, stojąc na wysokim wozie, głosił sławę rozumu i umiejętności wiezionych zwierząt. Co się wtedy działo na ulicach, opisać niepodobna: najstarsi i najmłodsi towarzyszyli pochodowi, wszystko co żyło wybiegało z domów rzucając je otwarte na łup złodziejom; ale wtedy i złodzieje kraść czasu nie mieli, tak cała publiczność bez wyjątku była pod témże wrażeniem.

Widowiska takie nieraz się kończą straszliwą katastrofą, bo przy tutejszém lekceważeniu bezpieczeństwa publicznego, zdarza się często, że ladajako zbudowana baryera areny, niedosyć przedziela ludzi od zwierząt, a któryś z dzikich aktorów znajduje się wśród spektatorów i kalectwo, a nie rzadko i śmierć wśród nich rozniesie, jak to niedawno miało miejsce w jedném z miast południowych.

Ludzie do wyższych sfer należący urządzają często wyścigi konne, naktóre stawiają ogromne zakładowe summy. Konie kursowe dochodzą tu do bajecznej wartości; widziałam konia zapłaconego 25,000 dolarów, prezydent Grant otrzymał go niedawno w darze. Sam prezydent jest jednym z najbardziej zapalonych sportsmenów tutejszych, należy do wszystkich zakładów i współzawodniczy z innemi na kursach, w których nie tylko konie wierzchowe, ale częścić nawet jeszcze zaprzężne w zawody chodzą. A cudownie tóż piękne są konie tutejsze, zabytek to dawniej andaluzyjskiej rassy przez Hiszpanów zaprowadzonej; rassa

ta wszakże zaaklimatyzowana tutaj, różni się wiele od znanych w Europie. Konie to napozór delikatne, każdy zarys ich form nadzwyczaj kształtny i lekki, ale w użyciu dziwnie są praktyczne; siłę i sprężyłość muszkułów mają zadziwiająca, odznaczają się tą spokojną energią w poruszeniach, które w tém zwierzęciu znamionuje wytrwałość. Koń tutejszy niezbyt rosły, tok ma równy, niezbyt długi, głowę suchą, małą, przypominającą wszystkie cechy araba; oko bystre, na wierzchu, chrapa rozdęta, nogę dziwnie muszkułarną a lekką. Biegłe są nadzwyczaj i nieraz patrząc na w zaprzęgu przebiegającego ulicą, aż w oczach się miga, takim kłusem mknie, że niepodobna schwyćć okiem kół obrotu, a jednak pomimo tak szybkiego biegu, nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć konia spienionego; okrywa się tylko tą siatką żyłek, która jest znamieniem szlachetnej rassy.

IX.

Dnia 10 czerwca. W żadnym pewnie kraju na kuli ziemskiej tylu ludzi nie ginie nagłą śmiercią co tutaj. Co chwila jakiś wypadek sprowadza śmierć już nie jednej osoby ale kilkudziesięciu, a często i kilkuset razem. Zwykle najwięcej takich wypadków następuje w skutek zadziwiającej nieostrożności na kolejach, i przy stawianiu domów, które budowane na tandetę, z pośpiechem, często tak mają źle obracowane fundamenta, wiązania lub belki, że wala się jak z kart domki dziecinne, zanim jeszcze ukończone zostaną. Oprócz tego bywa jeszcze tysiące innych wydarzeń, gdzie ludzie jak muchy, giną niespodzianie. Oto i teraz świeżo znowu dwie straszne katastrofy niezliczoną liczbą ofiar pochłoneły i okropne nieszczęścia spowodowały. Jedna z nich wydarzyła się w Masachuset.

Znajdujący się na znacznej wyniosłości gór rezerwoar wodociągowy, który zaopatrywał w wodę trzy miasteczka dość ludne, na stoku góry leżące, pewnej nocy przerwał się nagle, a cała ogromna masa wody spadając po pochyłości, zniosła do szczytu wszystkie trzy miasteczka z taką siłą i tak nagle, że tylko bardzo mała liczba mieszkańców uratować życie zdołała, reszty zaś nawet szczątki, woda gdzieś z sobą w przepaść bez śladu uniosła.

W jednym z ilustrowanych pism tutejszych widziałam trzy rysunki, z których jeden przedstawiał tę okolicę i miasta przed wypadkiem, drugi samą chwilę nieszczęścia, a trzeci też samą okolicę po strasznej powodzi. Ze wszystkich trzech miasteczek przedtém pięknych, w dziwnie malowniczej i wesołej okolicy położonych, tylko gdzieś niegdzie złom muru lub sterczący komin pozostał. Cały ten straszny wypadek spowodowany był tém, że kompanija przedsiębiorców tych wodociągów, mając do odstąpienia ten interes, nie chciała przedsięwziąć robot około naprawy ochronnego muru który otaczał rezerwoar. Piśszą że już od przeszłego roku woda w jednym miejscu sączyła się potrochu, z początku nieznacznie, ale ciągle ostabiając zapórę; aż nareszcie przyszła fatalna chwila, że małego jakiegoś nacisku wystarczyło

ażeby wyłom się zrobił, a potężna massa nagromadzonej wody w jednej chwili dokonała zniszczenia.

Drugą straszną klęskę sprawiła rzeka Missisipi, która nagle, i nie bywałam dotąd sposobem wezbrała; okropna powódź zalała do szczytu wielką część Luizjany, niszcząc najbogatsze plantacje, znosząc całe kolonie, farmy i zalewając całe pola zasiewów. Gubernator Luizjany już dwa razy telegrafował do kongresu, prosząc o jakąś natychmiastową pomoc; donosi że około stu tysięcy ludzi pozostaje w najbardziej rozpaczliwym położeniu, bez dachu, chleba i nadziei nawet powstania z tej strasznój klęski, bo zasiewy zupełnie zniszczone, zapowiadają okropny głód i na rok następny. Od dwóch tygodni woda prawie nie opada, a w niektórych miejscach ci, co ratując życie uciekli na dachy domów, których powódź nie zniosła, oczekują ratunku w katuszach głodu. Czytając tego nieszczęścia opisy, których każdego dnia pełne są dzienniki, groza przejmuje. Kongres dla obmyślenia jakichś środków zaradczych zebrał się umyślnie na nadzwyczajną sesję wieczorną, ale przy dzisiejszym stanie finansów skarbu, o radę istotnie pomocną nie tak łatwo, i dziesięć tysięcy dolarów tylko, ze skarbu na ten cel zasągnowano, jakoteż z magazynów, które na nadzwyczajny wypadek wojny lub tym podobne, są zaopatrzone, pozwolono wydać pewną ilość zapasowego zboża. Cała ta pomoc jednak niedostateczną jest dla zapobieżenia tak strasznój klęsce, rząd w tym razie okazał się zupełnie bezsilnym; dla prywatnego miłosierdzia więc pozostawiono szerokie pole: oby zdołało choć w części ulgę nieszczęśliwym przynieść! Kongres ma się ku końcowi i tylko parę tygodni jeszcze trwać będzie, a z ogólnym niezadowoleniem w najbardziej palących kwestjach dotąd nic stanowczego nie postanowił. Wszyscy powszechnie wyrzekają na członków kongresu, obwiniając ich o niezaradność, ale w gruncie nie wiele też zrobić można, w takim stanie rzeczy jak dziś są. Kilka tygodni temu wniesiono na kongresie projekt ażebym dla przetrzymania krytycznego przesilenia finansowego, wypuścić na pewną summę więcej papierów jak są zabezpieczone funduszami skarbu; z początku projekt ten narobił wiele hałasu i popłochu, boć papiery te byłyby zawsze fałszywemi, a kredyt kraju podkopany fatalnie. Prezydent Grant bardzo stanowczo opierał się przeprowadzeniu tego planu i na ten wniosek położył swoje *veto*; ale propagatorowie wniosku systematycznie wytrzymali pierwsze starcie się zdań, złagodzona trochę pozór rzeczy, a istotę jej utrzymano, i pod zmienioną trochę formą, ale w gruncie zawsze ten sam projekt wydania papierów niezabezpieczonych utrzymał się ostatecznie. Pomimo tak krytycznego w obecnym czasie stanu finansów skarbu, kraj tutejszy ma pieniędzy wiele, a ileż jeszcze niewyczerpanych źródeł do wzbogacenia się jeszcze bardziej; tylko że wszystkie kapitały pozostają wyłącznie w ręku prywatnych; skarb państwa zaś, jak to widzimy, przez nie zwykły ustrój ekonomii pozbawiony jest funduszy na najkonieczniejsze potrzeby administracji niezbędnych. Cały ten stan rzeczy tak już bardzo jest natężony, że wpatrzy-

wszy się w niego, koniecznie rokować trzeba, że musi tu nakoniec nastąpić jakaś reakcja, która cały dotychczasowy porządek wywróci: taki nienaturalny kierunek, w jakim obecnie tu dąży społeczność, musi doprowadzić ją wreszcie do zupełnej anarchii, a anarchia do zupełnego przewrotu.

Przez dwa ostatnie miesiące, nowym a obfitym pokarmem zasilając prasę całego kraju wojna domowa w stanie Arkanzas. Wojna ta była spowodowana współzawodnictwem dwóch kandydatów na gubernatorstwo tego Stanu, stronnictwa wiodły z sobą bój zażarty. Jednym z kandydatów wojujących był niejaki Brock a drugim Bakster; oba moiżni i bogaci obywatele Arkanzas: każdy z nich pragnął się utrzymać przy urzędzie gubernatora, a że mieli równą prawie liczbę głosów za sobą, obie strony swoje współzawodnictwo rozstrzygały z bronią w ręku i przez miesiące kwiecień i maj wojna trwała, a stronnictwa wyrzynały się wzajemnie bez pardonu. Ale że tutaj niedosyć jest mieć stronników i utrzymywać ich na własnym koszcie, ale i tygodniową pensyę płacić im ze swojej własnej szkatuły potrzeba; wojna więc trwała dopóty, dopóki Bakster nie zbankrutował. Zapóśrednictwem dokładnych sprawozdań dziennikarskich wszyscy z interesem śledzili bieg tej walki i ciekawi byli który ze współzawodników otrzyma plac boju, nie na żarty krwiąż zlanym.

Wybryki takie bardzo często się tu trafiają, a rząd centralny washingtonski powodując się przepisami konstytucyi, trzyma się w takich razach neutralnie, pozostawiając zupełną swobodę każdemu ze Stanów, załatwiania swoich spraw i rozstrzygania kwestyi swoich według ich własnego widzenia rzeczy.

Ustrój rządów Stanów-Zjednoczonych jest taki, że w Washingtonie skupia się wprawdzie rząd całego kraju, ale władza jego jest niezmiernie ograniczona; gdyż odnosi się tylko do ogólnych spraw państwowych. Wszystkie Stany wysyłają wybieranych co cztery lata z pomiędzy swoich obywateli reprezentantów do obu izb na kongres doroczny, gdzie roztrząsają się kwestye i załatwiają sprawy dotyczące ogólnego interesu, przyczem kongres zarządza budżetem krajowego skarbu i we wszystkich dotyczących go kwestyach stanowi; tam też załatwiają się sprawy polityki wewnętrznej i zewnętrznej państwa; ale każdy ze Stanów ma swoje prawa osobne, któremi się rządzi samodzielnie przez swój własny areopag pod prezydencyą gubernatora. Tak jak każdy stan wysyła do Washingtonu swoich reprezentantów dla stanowienia w sprawach całości państwa, tak znowu z każdego Stanu, dystrykty wysyłają swoich przedstawicieli do głównego swego miasta, dla obradowania w interesie wewnętrznej administracyi swojej prowincyi, ku czemu każda z nich ma swoją władzę wykonawczą.

Organizacya podobna, aczkolwiek w teoryi swojej zdaje się być bardzo dogodną, wprowadzona w życie, okazuje się często niedostateczną i daje powód do wielu nieporządków. Niektórzy z głębiej my-

ślących obywateli zamyślają o wielkich reformach i rozszerzeniu władzy rządu washingtonskiego; wielu już czuje naciskającą potrzebę ujęcia trochę silniej samowolę prywaty, która częstokroć do ekscesów dochodzi.

Stronnictwo pragnących reformy pod nazwaniem republikanów, od ostatniej wojny coraz się wzmacnia, pomimo silnej opozycji przeciwnej partyi demokratów. Być może, że obecne nieprawidłowe zupełnie położenie rzeczy tutejszego kraju, to wyteżenie już ostateczne do jakiego ogólnie dochodzi, przeważają szalę stronnictw, a większość uzna konieczną potrzebę zreformowania zupełnego organizacyi państwa. Widząc prawie fanatyczne przywiązanie obywateli tutejszych do form konstytucyi Washingtona, jako też uporczywe utrzymywanie się ich przy wszelkich dawnych przywilejach, łatwo przewidzieć, że obostrzenie ich nie obejdzie się bez krwi rozlewu; będzie to zapewne zła godzina do przebycia, ale pierwsza reforma może inne za sobą pociągnąć, i społeczność całą na lepszą drogę wprowadzić.

Dnia 28 czerwca. Interes spadku po ś. p. generale Kościuszcze bierze obrót taki, że w żadnym razie w tym roku ukończyć się nie da. Na ziemi nadanej naszemu dziadowi, rozłożyło się miasto Chylicoty, które w skutek przeprowadzonej tamtędy kolei żelaznej linii zachodniej, jako też przystani nad spławną rzeką Czerwoną, która handel z południem ułatwia, stało się bardzo ważnym punktem handlowym i jednym z największych miast Stanu Ohjo. Obecni posiadacze tej ziemi aczkolwiek nieprawnie ją nabyli, zrobili to w dobrej wierze, a rzecz się tak miała: że około 1830 roku niejaki Klimkiewicz wychodziec polski, przybywszy do Stanów Zjednoczonych i zasłyszawszy o nadanej ziemi generałowi Kościuszcze, jako też o dość znacznej summie ulokowanej na pewnym banku tutejszym (prywatna własność ś. p. Kościuszki); powziął myśl wyzyskania tego wszystkiego na własną korzyść: sfałszował więc testament generała Kościuszki, na którym jako świadków podpisał generałów Chłopickiego i Skrzyneckiego, a testament ten był tego brzmienia: że Kościuszko tegoż Klimkiewicza robi swoim spadkobiercą wszelkiego ruchomego i nieruchomego majątku, jaki znajdować się może w Ameryce. Klimkiewicz rachował, że odległość naszego kraju ułatwi mu to całe fałszerstwo, a władze Stanów Zjednoczonych łatwo podejść się dadzą i uznają go za rzeczywistego spadkobiercę; miał zupełną nadzieję, że cała ta sprawa nie dojdzie nawet do Polski i rodziny generała Kościuszki. Ale wtedy już zaczęła się licznie rozchodzić po świecie emigracya polska a więc i w Ameryce się znalazła, a pomiędzy wychodźcami byli i tacy co znali dobrze stosunki rodzinne Kościuszki; zrozumiano szalbierstwo Klimkiewicza, tém bardziej że znaleźli się tacy co na swoich świadectwach wojskowych mieli autografy generałów Chłopickiego i Skrzyneckiego. Takim to sposobem nawet i na drugiej półkuli fałszerstwo Klimkiewicza łatwo się wykryło, a gdy prawni spadkobiercy ostrzeżeni nadesłali swoje dowody, a z Solury nadszedł prawdziwy testament generała Kościuszki

za prawomocny uznany; Klimkiewicz przekonany o fałszerstwo został skazany na więzienie, gdzie też umarł nie długo. Ale jeszcze przedtém, zanim mu wytoczono proces kryminalny, miał czas udać się do Ohio i tam na mocy sfałszowanego testamentu zdołał na ewikcyję ziemi nadanej Kościuszce, zaciągnąć dług w pewnym domu handlowym. Kiedy dom ten powziął zawiadomienie, że Klimkiewicz o fałszerstwo oskarżonym został, widząc się być oszukany, usiłował odzyskać swoją własność i na mocy zapewnienia jakie wziął od Klimkiewicza, za dług, jego ziemię, na której tenże dług był oparty, sprzedał obywatelom tegoż dystryktu, którzy zupełnie w dobrej wierze ją nabyli, niewiedząc zupełnie o tém, że Klimkiewicz a tém samym i firma wzmiankowanego domu, nie mieli najmniejszego prawa do tej posiadłości. Dziś więc wynika potrzeba układów dobrowolnych z posiadaczami ziemi należącej spadkobiercom ś. p. Kościuszki, gdyż droga procesu długa i utrudniona, bo obywatele ci są bogaci i wpływowi, co tutaj stanowi niezłomną potęgę. Układów zaś samęj zawierać mi niepodobna bez porozumienia się dokładnego z rodzinę moją, postanowiłam więc pozostawić tu umocowanego do czuwania nad interesem, zanim nadejdzie dalsze rozporządzenie spadkobierców, a sama powrócić do kraju.

Ci którym dano żyć we własnym kraju, których nigdy los przymusowo nie wyrwał z pomiędzy swoich, nie skazywał na tęsknotę za ukochanemi, za swoją ziemią rodzinną, za wszystkim co swoje, ten nie pojmie ile to rozkosznego uroku mieści się w tém słowie: „powrócić do kraju;” powrócić do kraju, to znaczy powrócić napowrót w to koło, którego się jest wypadkowo zerwanem ogniwem, to na nowo zacząć żyć życiem własnem, prawdziwem, to odetchnąć pełną piersią powietrzem, którem się od dziecka oddychać przywykło. Serce mi bije rozkoszą na myśl tej szczęśliwej chwili, kiedy poczuję pod stopą tę moją, moją własną ziemię rodzinną, kiedy posłyszę w około siebie dźwięk mowy ojczyźstęj, kiedy obaczę tych naszych ludzi, wyraz ich twarzy spokojny a szczery. Przez ten rok ileż ja rzeczy takich nowych, takich ciekawych widziałam, iluż ludzi spotkałam, wieleż wrażeń doznałam; dla czegoż to wszystko po myśli tylko przesuwa się zlekką, a nie nie odbiło się w sercu: to co dziś mnie obchodzić się zdaje, jutro już zupełnie obojętnem będzie? bo rozum tylko na obczyznę mi towarzyszy, uczucia zaś i serce moje to własność mojego kraju; oderwać ich ztamtąd nie mogę, życie tu moje tylko połowiczne, czuję że żyć pełnem życiem mogę tylko w swoim kraju.

Z przyjemnością rzucam Amerykę nie dlatego wszakże, ażeby mnie tu spotkać miały jakieś przykrości; owszem dla mnie osobiście pobyt mój tutaj był i zajmujący i nawet nie bez pewnych przyjemności. Pamięć generała Kościuszki dość żywo jeszcze przechowaną została, a mianowicie u starszych wiekiem i powagą obywateli; ci okazywali mi szczerą przychylność a nawet niektórzy dość żywo interesowali się mną i sprawą naszą: pomiędzy takimi był senator Sumner, który mi powiedział, że uważa sobie nawet za obowiązek usłużyć w czém

tylko może rodzinie generała Kościuszki, względem którego obywatele Stanów Zjednoczonych obowiązek wdzięczności zaciągnęli. Mtrs Durand były gubernator Luiziany, a dziś jeden z członków najwyższego trybunału (*suprême court*), najznakomitszy prawnik w kraju, któremu powierzonym jest obecnie przez stronnictwo republikańskie napisanie projektu do nowych ustaw, więc człowiek znakomite miejsce w hierarchii rządu krajowego zajmujący, zajął się sam tém ażeby sprawę naszą wprowadzić na kongres (co wszakże nie doszło do skutku) z powodu że rozpatrzywszy się dokładniej okazało się, że prowadzić jęj tą drogą nie można. Na kongresie rozstrzygać się mogą te tylko kwestye, które już jako zupełnie upadłe, drogę łaski jedynie mają przed sobą, sprawy zaś jak nasza, mające szanse procesu, iść muszą zwykłym trybem legislatury.

Cały proces spadkobierców ś. p. Kościuszki zrobił tu w swoim czasie pewien rozgłos i zajmował przez długi czas miejsce w szpaltach dziennikarstwa krajowego, znany więc jest powszechnie, a mianowicie takim, co już i wtedy mieli jakieś znaczenie; przybywszy więc tutaj nie potrzebowałam się przed nikim legitymować, pomimo bardzo usprawiedliwionego niedowierzania, z jakim poważniejsi obywatele patrzą na nowych przybyszów z Europy, często awanturników: mnie przyjmowano chętnie i z zupełną wiarą w tożsamość mojej osoby. Słowem znajdując się w warunkach wyjątkowych i niejako pochlebnych, nie mam powodu do jakiegokolwiek zażalenia się osobistego, a przeciwnie w wielu razach nawet przyjemne a nie zatarte wynoszę wrażenie, bo podwójnie jako Polce i wnuczce, jakże mi miło było widzieć na tej obcej a dalekiej ziemi, pamięć Tadeusza Kościuszki uczczoną i mieszczącą się na pierwszych kartach historii tego nowego narodu; miło mi było widzieć w Kapitolu popiersie Kościuszki obok Washingtona, Franklina i innych patryarchów narodu; pomnik postawiony przed laty w West-Point świadczy także jasno, że Amerykanie pamiętają o tém, że instytucye swojej szkoły wojskowej jemu winni.

Wszystko to pochlebiało dumie mojej, a biorąc po wierzchu wystarczyłoby może do pobłażliwego zapatrywania się na ustrój społeczności tutejszej. Ale że ktokolwiek chce jakąbądź kwestyę widzieć jasno i roztrząsać ją sprawiedliwie, musi odsunąć jak najdalej od swoich poglądów osobistość swoją, i ja więc niezależnie od tego co moja osobistość tu mogło dotykać, usiłowałam badać życie społeczności tu tejszej, jęj kierunek i cele. Wynikiem tych badań uważanych jest dziwny niesmak, tém dotkliwszy i przykre sprawiający uczucie, że widzimy wyraźnie jak społeczność ta znalazłszy się na pochyłości materjalizmu, stacza się po nięj z gwałtowną szybkością, a w niepowstrzymanym pędzie swoim pociąga za sobą inne, szercząc w około zarazę rozkładającego się pozytywizmu, którego jest rdzeniem. Smutny jest widok tej społeczności; żyje ona, lecz napróżno szukałbyś tu życia duchowego: materya pochłonęła już tu wszystko co z ducha pochodzi, duch martwy o nic się nie dopomina; materya tu panią wszechwładną, ona

dźwignią tutejszego życia, ona celem usilnych dążeń: dla niej praca, dla niej całe wyteżenie. Aż zimno czasem się robi wśród tych ludzi, którzy swoje człowieczeństwo zaprzepaścili w grubym materializmie; pusto; bo nigdzie nie ujrzyś w około siebie tej bratniej miłości, tej wspólności dążeń i uczuć, co gdzieindziej ludzi z ludźmi wiąże: tutaj każdy sam w sobie zamknięty, dla siebie żyje, dla siebie jednego pracuje; nie ma tu węzłów ani przyjaznych ani rodzinnych: ludzie tutejsi rządząc się zimnym racjonalizmem wszystko podeptali. Pozytywizm europejski z całym swoim cynizmem jest o tyle wyższym, że uwierzył w potęgę rozumu, tutejszy zdobył się tylko na wiarę w potęgę dolara.

Dokąd to społeczeństwo zajdzie i jak długo tém sztuczném życiem żyć zdoła, to wielka kwestya? Amerykanie nie czują sami swego moralnego upadku, odcięci całą przestrzenią oceanu od reszty cywilizowanego świata nie widzą nicości swojej w porównaniu do innych zdrowo dojrziałych narodów. Nie rozumieją że emigracya która tu tłumami napływa składa się przeważnie z szumowin lub najniższych warstw swoich społeczeństw; lecz widząc te masy wychodźców różnych narodowości, domagające się o prawa obywatelstwa w Stanach-Zjednoczonych, Amerykanie są przekonani, że kraj ich bez świata całego obejść się może, a za wzór mu służy; więc nie widzą potrzeby powodować się cudzemi wskazówkami i kształcić się szukając wzoru u innych. Zarozumiałość Amerykanów jest charakterystyczna i zasługuje na uwagę badacza, bo służyć może za dowód, że naród ten nie jest jeszcze na drodze postępu. Amerykanie w zaślepieniu swoim przy każdej zrzeczności, przy każdej publicznej przemowie, bezprześcannie wołają: „Naród nasz ma świetną przyszłość przed sobą!“ Patrząc wszakże z bliska na to zepsucie obyczajów, na gorzący nad wszystkim interes prywatny, sprzedajność, brak honoru i uszanowania w człowieku jego wartości osobistej, a co najważniejsza, rozprzężenie zupełne prywatnego życia, które jest główną podstawą społecznego ustroju, trudno dobrze rokować.

Niepodobna nie przewidywać upadku narodu wśród którego nie ma usiłowania, ażeby członkowie jego od dziecka kształcili się na prawych obywateli, gdzie dziecię wzrasta bez zasad, bez steru żadnego, a matka nie czuwa nad rozwojem uczuć i myśli przyszłego człowieka.

X.

Dnia 10 lipca. Za dwa dni wyjeżdżam do New-Yorku a ztamtąd do Europy. Pożegnałam już moich znajomych, a dzisiaj o szóstéj rano, korzystając z rzeświejszego jeszcze powietrza, obeszłam skwery ażeby napatrzeć się raz jeszcze na cudną roślinność tutejszą, jakiej zapewne już nigdy w życiu więcej nie zobaczę. Było już w pół do ósméj, słońce takim żarem paliło, że oddychać było trudno, a mnie się odejść nie chciało z muzeum-parku; nie mogłam oczu oderwać od tych krze-

wów kwiecistych, od tych drzew fantastycznych kształtów a ciemnym olbrzymim liściem okrytych, aż nakoniec dojmujący ból głowy przypomniał mi, że narażać się dłużej na śmiercią grożący upał byłoby szaleństwem; z żalem więc obejrzałam się raz jeszcze, a wyszedłszy z parku, wsiadłam do nadjeżdżającego omnibusu i wróciłam do domu. Gorąco zdaje się jeszcze z każdym dniem powiększać, jeżeli jeszcze powiększyć się może; wypadki śmiertelności coraz częstsze, w nocy sypiać niepodobna, tak parne jest powietrze, a w dodatku jeszcze komarów taka moc straszna, że bez kotary przy łóżku na jedną chwilę spocząć niemożna; nad ranem rzeźwieje wprawdzie trochę powietrze, ale tak na krótko. Przy tém wszystkiem często jeszcze dmie wiatr w rodzaju afrykańskiego sirocco, tak gorący i duszny że oddech zabija, a niosąc wzdłuż ulic tumany piasku, zmusza do zamykania szczelnie drzwi i okien. Lód nieustannie rozwożą po ulicach; jest to lód sztuczny, fabrykacya jego dokonywa się na wielką skalę: czysty jest bardzo i trwały, sprzedaje się na funty i w stosunku do cen tutejszych dosyć tanio. Za funt płaci się dwa centy, co wynosi wprawdzie naszych pięć groszy; ale że tutaj nie bez ogromnych zysków się nie sprzedaje i robotnik niezmiernie drogi, sądzićby więc należało że u nas taka produkcya mogłaby o wiele mniej kosztować; a zdaje mi się że i w naszym kraju, pomimo że w zimie mrozy miewamy często mocne, lód sztuczny jednakże przydałby się nieraz.

Dziś już rozumiem dobrze dlaczego mieszkańcy krajów gorących tak mało w pokarmach swoich używają mięsa, gdyż sama od niejakiego czasu oprócz jarzyn i owoców nie w usta wiaść nie mogłam, a osłabioną się czuję do niewypowiedzenia. Do New-Yorku jadę nocnym pociągiem, tym sposobem choć w części uniknę upału.

Dnia 20 lipca. Od tygodnia już bawię w New-Yorku i jeszcze kilka dni pozostać tu muszę; wstrzymał mnie telegram z Washingtonu: okazała się potrzeba dopełnienia jeszcze jednej formalności urzędowej przed moim wyjazdem z Ameryki.

Podróż moją z Washingtonu odbyłam szczęśliwie, bez żadnego wypadku, ani nawet godnego uwagi wydarzenia; większą część drogi przejechałam w nocy, w wagonie nocnym *sleepincar*, pomimo bardzo wygodnego siedzenia w fotelu rozkładającym się na łóżko, nie spałam wcale, bo sypiać w drodze w ogólności nie mogę, a tą razą usnąć mi jeszcze nie dawała myśl że już wracam. Cisza była zupełna w wagonie, wszyscy inni pasażerowie spali wybornie, a ja patrzyłam przez okno i snułam sobie w myśli z jakim to szczęściem znowu się znajdę nie długo pomiędzy swemi, a tak byłam tą myślą zajęta, że wspomnienie na podróż po oceanie jaka mnie czeka, nie bardzo mi się nasuwało. Jakkolwiek było ciemno, to jednak widok przez okno miał jeszcze w sobie dziwnie urocze piękno, bo cała okolica jaśniała miryadami wielkich muszek fosforycznych, co unosiły się po nad ziemią niżej i wyżej, a taka ich moc niezliczona, że aż rozświecały widnokrąg: sprawia to widok tak cudnie piękny a nowy, że już sam byłby w stanie najcieńszy sen od-

pedzić z moich powiek. W połowie drogi pomiędzy Baltimore a Filadelfią rozwidniało i już dalej jechaliśmy po dniu; cudne muszki zgasty, zato piękny krajobraz rozestał się przed memi oczami, a coraz nowy, coraz rozmaitszy, coraz ludniejszy, więcej zamieszkały, bo im bliżej New-Yorku, ogniska przemysłowego ruchu, tém ludzi więcej. O dziewiątej rano stanęliśmy w New-Jersey, zkąd udałam się prosto do Hoboken, do moich pocziwych Francuzów. Pani Bertrand przyjęła mię po swojemu gościnnie, i postarała się zaraz ażebym mogła odpocząć po całonocnej podróży. I oto od kilku dni nabieram sił do nowych trudów, a jedzenie przyrządzone w sposób europejski, więc smaczne i zdrowe, smakuje mi bardzo i odżywia siły po kilkumiesięcznej prywacy, jakiej poddać się musiałam w Washingtonie.

Odwiedziłam i pożegnałam zarazem wszystkich tych z którymi podczas pierwszej bytności mojej tutaj zabrałam znajomość. Pułkownika Celtnera znalazłam zmienionego, przez te kilka miesięcy podstarzał się znacznie; ten krótki przeciąg czasu ludziom młodym przemknął jedną chwilą, starym nowy ciężar na gnące się ku ziemi barki narzucił. Pułkownik Celtner czuje się słaby, prawie nie wychodzi z domu, a wczoraj kiedym go żegnała już zupełnie, żegnał mnie smutno i westchnął tęskno zazdroszcząc mi że jadę do Europy: znać czuje i cierpi, że dla niego nie ma już nadziei ażeby ujrzał swój kraj rodzinny, wie że kości swoje położy na obcej ziemi. Ze szczerem współczuciem patrzyłam na ten ból starca, a razem w sercu radość poczułam i rzewną wdzięczność Bogu, że mnie na takiz los nie skazał. Pilno mi już puścić się w podróż, chciałabym jednej chwili być na pokładzie okrętu. Za trzy dni odpływa okręt hamburgskiej kompanii Westphalia, na który mam bilet kupiony; dnie żółwim krokiem zdają się pełznąć, gorąco z mieszkania wychodzić nie pozwala, co bardziej jeszcze nudę zwiększa. Wczoraj poszłam na Broadway, gdzie są najbogaciej zaopatrzone magazyny, chcąc kupić kilka pamiątek z podróży mojej, takich któreby nosiły na sobie jakąś wybitną cechę amerykańskiego kraju; lecz czy uwierzy mi czytelnik, że dosłownie nic nie znalazłam takiego, coby było jakimś oryginalnym a wartym przywiezienia do Europy. Mówiono mi, że przed kilku laty był przy ulicy Broadway bardzo piękny magazyn samych wyrobów indyjskich, więc różne wyroby drewniane, z kory wyszywane w piękne wzory trawą kolorową, ozdobne graciki z konch i t. p.: ale magazyn ten nie miał powodzenia i zwinętym został: wyroby te istotnie zadziwiają delikatnością i gustem, widziałam ich kilka u mojej gospodyni pani Bertrand. Pocziwą Francuzkę zastałam mocno stroskaną, stagnacya ogólna i im uczuć się daje: najlepszy jej lokatorowie powyjeżdżali napowrot do Europy. Bankructwa nieustanne sprawiają, że mnóstwo biór i fabryk zamknięto, a pełno ludzi pozostało bez zajęcia.

W New-Yorku ruch się znacznie zmniejszył, z powodu gorąca mnóstwo osób ucieka na wieś w góry, zamożniejsze rodziny wszystkie

powyjeżdżają z miasta, ci zaś co w żaden sposób nie mogą się wydalić, urządzają ciągłe wycieczki w górę rzeki Hudsonu, a tacy którym i na to niestaje, nie żyją ale wegetują jak mogą doczekując chłodniejszej pory. Cieszę się nadzieją rychłego opuszczenia Ameryki, a jednak któż wie czy podróż po Oceanie nie przyniesie mi jeszcze większej przykrości, a gdybyż przykrość tylko! Pakując rzeczy pamiętnik mój kładę na wierzchu, zapewne na okręcie coś jeszcze do niego przybędzie a pisząc i niejaką rozrywkę będę miała.

Dnia 25 lipca, na pokładzie Westphalii. Wczoraj wypłynęliśmy z portu. Pasażerów jest o wiele mniej tą razą na okręcie, jak było kiedy płynęłam do Ameryki, wygodniej więc i obszerniej. W przeddzień odjazdu udało mi się do okrętu, stojącego na kotwicy przy samych dokach i porozumiałam się z gospodynią klasy, o miejsce, które sobie wybrałam; najlepszy to jest sposób uniknięcia przy rozlokowaniu się wszelkich kłopotów; rzeczy także odesłałam z wieczora, a w dzień wyjazdu poszłam sobie spokojnie, bez pośpiechu. I tą razą także towarzystwo podróżne nie nazbyt zajmujące, a oprócz dwóch rodzin amerykańskich z Bostonu jadących na kurację do Europy, znać do wyższej towarzyskiej sfery należących, zresztą nie ma zupełnie nikogo, z kimby kilka słów przyjemniejszych zamienić można było i zaczyna być znowu porządnie nudno; możeby się okrętu pisać nie bardzo można, wzięłam więc dzisiaj kilka książek z biblioteki i zabieram się do czytania. Pogoda dotąd piękna a morze spokojne, o ile wszakże ocean spokojnym być może; dałby Bóg gdyby i dalej tak było. Całe towarzystwo przesiaduje ciągle na pokładzie, mnie nuży do niewypowiedzenia ten monotony ruch przelewających się bałwanów w wiecznych z sobą zapasach, i zawsze jeden widok nieba i wody, które zdają się z sobą łączyć i jedno z drugiego pochodzić. Czas na okręcie schodzi jednostajnie, a każdy rad że doczekał wieczora i jednym dniem zbliża się do kresu podróży. Z rana o ósmej dzwonek wzywa pasażerów do sali na śniadanie, po którym wszyscy wychodzą na pokład, gdzie jak kto może czas spędza do południa; tu znowu obiad trochę czasu zajmie, o czwartej kawa albo czekolada, a o szóstej kolacja gromadzi znowu całe towarzystwo do sali. Pomiedzy zaś jedzeniem, które prawie większą część dnia zajmuje, każdy jak może radzi sobie, ażeby jakąś rozrywkę sobie wynaleźć, a rozrywki te bardzo ograniczone; mężczyźni najczęściej grają w karty lub szachy, kobietom trudniej o zajęcie: już samo nieustanne kołysanie okrętu działa w sposób irytujący na nerwy, i niczem długo zająć się nie da, czytanie nawet niedostateczne jest i więcej męczy jak rozrywa.

Z tém wszystkiém, pomimo mniej więcej silnego cierpienia morskiej choroby, któremu prawie każdy z podróżnych ulega, powietrze morskie dziwnie jest zdrowe i wzmacniające, a mianowicie dla chorych na piersi. Jędzie z nami jakiś młody Amerykanin chory na

suchoty i to widocznie w wysokim stopniu; już po raz piąty przepływa przestrzeń oceanu do Europy i napowrót, i mówi że kiedy jest na morzu, czuje się z każdym dniem lepiej. W czasie podróży po oceanie nie wiele spać można, a w dzień ciągle się czuje sennym.

Dnia 3 sierpnia. Przebyliśmy straszną burzę: przez cztery dni okręt wytrzymywać musiał orkan wściekły, który nim miotał na wszystkie strony. Dzięki Bogu, że się obeszło bez nieszczęścia, ale w niemaléj trwodze byliśmy. Jak zwykle w takim razie choroba morska grasować zaczęła, a całą siłą trzeba się było trzymać łózka ażeby nie wylecieć. W dzień było jeszcze raźniej, ale w nocy wrażenie okropne; ciemność podnosiła jeszcze bardziej grozę burzy: każdy w kajucie leżał na swoim łózku trzymając się oburącz poręczy i słucał tylko jak wichur wył wściekle, jak bałwany z głuchym szumem tłukły o boki okrętu: chwilami słycać było jak fala z szalonym łoskotem przelewała się przez wierzch pokładu a stuk upadającego jakiegoś przedmiotu znaczył, że wściekły bałwan urwał co mógł pasażerom: wtedy przechodziło przez myśl, że może ocean okrętowi jakiś szwank zadał i wydarł nam jedyną deskę zbawienia. Od czasu do czasu okręt drgnął gwałtownie, podniósł się na chwilę a potem opadł jakby już w jaką bezdenną głębię się pogrążył. Niebezpieczeństwo było jawne, a nikt nieśmiał o nim mówić; wszyscyśmy go czuli, a każdy wyczekiwał ażeby ktoś słowo otuchy wrzucił do serca i myśl nim rozjaśnił: czuliśmy że jedno nie, jedno nie wielkie nadrujnowanie okrętu pogrąży nas na dno oceanu, widzieliśmy że życie nasze wisi na włosku. Wtedyto dopięro zrozumiałam dlaczego marynarze wszyscy są tacy pobożni, dlaczego między nimi nie ma ateistów.... Przez cały czas burzy i okręt i kapitan dzielnie się okazali; w okręcie nic się nie popsuło, wytrzymał burzę wytrwale: kapitan przez cztery dni i trzy nocy ani na chwilę prawie nie zszedł z pokładu, i nadzwyczaj wiele okazał przytomności i energii.

Zawczoraj pod wieczór burza zupełnie i nagle ucichła a noc mieliśmy spokojną; na drugi dzień wszyscy zeszli się na pokładzie, wszyscy po tak długich katuszach niepokoju poczuli się jakby odrodzeni; dziękowano kapitanowi, a w dowód wdzięczności ofiarowano mu piękny zegarek kupiony za składkowe pieniądze u kogoś z pasażerów; na tę składkę złożyliśmy się wszyscy naprędce. Było to przed samym obiadem, przy obiedzie podano wino szampańskie; kapitan wniósł toast na powinszowanie minionego niebezpieczeństwa: odpowiedziano huczynym toastem na cześć kapitana okrętu; wesołość była ogólna: pod wieczór kapitan kazał dać wódki i piwa majtkom, którzy rozochoceni przy muzyce katarynki tańczyli i śpiewali do godziny ósméj, o ósméj zaś na dany znak wszystko wróciło do porządku, a wszyscyśmy po raz pierwszy od kilku dni zasnęli snem spokojnym.

Obiecowałam sobie przez czas żeglugi pisać wiele w pamiętniku moim, ale nie obrachowałam, że ciągły i silny ruch okrętu na przeszkodzie mi w tém stanie; wreszcie pod wpływem ciągłego rozdrażnienia, myśl, niepewnością o własne bezpieczeństwo miotana, nie bardzo w karby porządku ująć się daje; każdy z pasażerów nudzi się śmiertelnie, a jednak niczem zająć się nie może: wszyscy siedzą na pokładzie i z pewnym rodzajem jakiegoś martwego osłupienia, wpatrują się zawsze w ten sam ruch piętrzących bałwanów, w tę przestrzeń niezmierną, której ani końca, ani początku dopatrzeć nie można, a z myśli swojej zdać sprawy, ani jój wątku uchwyć niepodobna. Przebyliśmy trwogę burzy, a teraz ocean jakby się przysiągł na to, ażeby nam dawać ciągle uczuwać nasze niedołęztwo, trzyma nas w nowym niepokoju. Już przez dwie nocy mamy mgłę tak gęstą, że o kroków dziesięć latarni na pokładzie nie widać; mgła taka jest równie prawie jak burza niebezpieczną dla okrętu, bo statek płynie na oślep i bardzo często bywają z tego powodu wypadki, a mianowicie co bardzo często się zdarza, gdy dwa okręty napłyną na siebie, zwykle oba natychmiast idą wtedy na duo. W czasie takiej mgły, co chwila na pokładzie daje się słyszeć ryk tuby z powodu ścięsnionego powietrza przytłumiony i dziwnie ponury; to głos ostrzeżenia dla mogących się znajdować w bliskości innych okrętów. Szczęściem że jesteśmy jeszcze na pełnym oceanie i daleko od brzegów; wieczór się zbliża, wszyscy z niepokojem spoglądają na horyzont ażali się nie rozjaśni: oby Bóg dał, aby noc dzisiejsza nie była tak mglista.

Dnia 8 sierpnia. Wracam z pokładu, serce bije mi gwałtownie, łaża do oka się ciśnie: nie mogę opanować mego wzruszenia.

Przed chwilą na własne oczy ujrzałam szarzejące w dali na widnokręgu brzegi Europy. Od rana już oficerowie zapowiedzieli nam, że dziś pod wieczór obaczmy ziemię, w nocy dopłyniemy do Plymouth, w południe zatrzymamy się na chwilę w Cherbourgu dla zdania poczty i wysadzenia kilku pasażerów, a ztamtąd już prosto udamy się do Hamburga.

Na tę tyle upragnioną wieść, wszyscy jakby nowém życiem ożywieni zostali; wszystkie twarze rozpromieniły się i weselęj na pokładzie się zrobiło; pomimo że wiedziano iż ziemia dopiero wieczorem nam się ukaże, nikt już, oprócz dla jedzenia na dół zejść nie chciał; po południu czas zaczynał się wydawać coraz dłuższy: wszystkich oczy były skierowane w jedną stronę. Od rana już coraz to częściej ukazywały się żeglowne okręta i parę parowców ominęliśmy; jakoś już ochotniej i lżej na sercu było, bośmy się czuli bliżej ziemi. Około piątej wieczorem właśnie zeszłam na chwilę do sali, kiedy naraz głośne okrzyki dały się słyszeć na pokładzie i oznajmiły mi że nareszcie nadeszła z takim upragnieniem oczekiwana chwila: wybiegłam coprę-

dzędź na górę. Przed nami ku lewój stronie, w dali na widnokręgu szarzało coś, co tylko dla oka marynarzy wyraźném było: były to brzegi Anglii.

O! witajże mi, witaj Europo! coś wypiastowała ludzkość dojrzałą, krwią ofiary; potem ciężkiej pracy zlna ziemia twoja, ale plon jej obfity po wiek wieków na świat cały wystarczy, o ile w miłości zasiany. Niech nowy świat ludzi łatwowiernych nęcąc ich zdala przewrótuemi doktrynami zapewniającemi swobodę nawet niecnoty; niech rzuca w świat teorye materyalizmu co zwalnia człowieka od odpowiedzialności w obec Boga i bliźniego. Ty zawsze prawem wytrwałej zasługi, stać będziesz na czele i przewodniczyć całej ludzkości, o ile pomna zasad odwiecznej prawdy, zachowasz w nich ducha i miłość tej ludzkości.

OBRAZY ZE WSPÓŁCZESNÉJ LITERATURY NIEMIECKIÉJ.

PRZEZ

Feliksa Jezierskiego.

Chwilowy zastój.—Dogmat teutoński.—Lingg.—Spach, jego dramaty: „Wazer.“
—Próby pojednania.—Poczya efektu.—Odrodzenie się w sagach i klassycyzmie (Hartmann—Simrok).—Dramata Hellmutha.—Tragedya Dahn'a.—Hammerling i jego Ahaswer.
„Le présent est gros de l'avenir.—Leibnic.“

Do rzędu chorobliwych deklamacyi obecnej chwili należy: głoszona natrętnie po dziełach i prassie peryodycznej (szczególniej w Niemczech), zapowiedź o bliskim „przewrocie w teoryach naukowych, w sztuce, filozofii“ i t. p. Dosadną odpowiedzią na te naiwne wróżby, jest przytoczone na wstępie hasło filozoficzne najpotężniejszego umysłu w XVII stóleciu. Czyliż w wiekuistém pasmie zjawisk przypuszczalną jest taka doba, którą mielibyśmy prawo uważać, nie za stacyą powszechnéj ciągłości? nie za przeddzień przesilenia mniej lub więcéj głośnego?

Podszepty do podobnej hipotezy w obrębie sztuki, a szczególniej poczyi, mogła podać dziwna posucha, jaką przyniosło za sobą ubiegłe dziesięciolecie. Nie ulega wątpliwości, iż powaga wyższej literatury nadobnej, na pewien czas zachwiana została. Ale to zachwianie, to upodrzednienie piękną wśród sprężyn społecznych, nigdy nie do-

wodziło jego upadku. Jak w filozofii natury np. kierunek idealistyczny zwęza się widocznie, zostawiając szerszy gościniec realistycznemu; tak w dziedzinie twórczości artystycznej, farba i dźwięk wypierają słowo: są to ruchy metod, form, lub punktów wyjścia, zmieniające się kolejną czasu. Ale filozofia, ale sztuka, zostają niewyparte, bo to typy rodzajowe, a typy zaginać nie mogą.

Jeżeli po wielkich wysileniach, przycichną na chwilę głosy namaszczenia, takie zatajenie się siły twórczej należy także uważać za stacyą, a po za ciszą i ustaniem tętna na zewnątrz, domyślać się trwania głównego prądu bez przerwy. I w naszym piśmiennictwie, Wielka Plejada miała przed sobą i po sobie podobne przystanki.

Tak więc okresy zastoju i bezwładności, przy głębszém wparzeniu się w tok dziejowy, uzyskać muszą pewną dodatnią wagę: sam spoczynek musi być uznanym „za moment ruchu;“ będzie to, jakby pole rozpędu do przyszłej działalności.

Panująca w Niemczech od lat kilkunastu bezpłodność na niwie poezyi, wzbudziła nie w jednym z jój wyznawców pokusę do zerwania na zawsze z tym światem „majestatycznych nicości.“

Poezya tedy, wyraźny głos Boga do ludów jego, chylić się począła ku zachodowi; i umysły najwydatniej przeznaczone na organa sztuki, począły wierzyć, że czasy już się spełniły i wyrocznie mówić przestają.

A przecież wśród téj posuchy poezya żyła obiektywnie, zatrzymała się tylko jój objawy; spoczynek, powtarzamy, był fazą ruchu, rozpędem. Krótką chwilę namaszczenia się gladyatora, wzięto za bezwarunkowe uspienie. Tak było i we Francyi za owych czasów, które Lamartin (*destinées de la poésie*) nazywa epoką algebry i sceptycyzmu, przeciw której protestował sam tylko Szatobriand. Tak było w Niemczech w ciągu kilkunastu lat, poprzedzających chwilę obecną. Przebiegając po kolumnach prassy, zaledwie można było doszukać się tego złotego runa wśród artykułów poświęconych ekonomii politycznej, przyrodoznictwu, historii, filologii i t. p. Niestęchanie ciekawe odkrycia etnograficzne, imponujące wywody z filozofii natury, zdobycze archeologiczne, porywały umysł, pragnąc niejako poetyczną śmiałością poglądów zastąpić nieobecną kapłankę. Czyliż rzeczywiście była nieobecną? Czyliż same wysilenia przez filozofów natury, zmierzające do zbudowania świata z atomu, lub siły, nie zdradzały właśnie owego zatajonego pierwiastku poezyi?

Tak więc obiektywna ciągłość w losach poezyi, tém chwilowém ngórowaniem przerwana nie została. Gdyż „teraźniejszość jest zawsze brzemiennea przyszłością.“ I dziś może doniosłój, niż kiedykolwiek poezya wygłasza w Niemczech uroczyste: „*e pur si muove.*“

Przyjrawszy się główniejszym uosobieniom ruchu w poetycznym piśmiennictwie Niemiec, przekonamy się, że to ukrywanie się głównej nici, ma podwójną cechę. Najprzód: trafiamy tu na wypo-
czynek owéj rodzajnej siły, która wydała Szyllera i Getego i na

osadzenie się w życiu, tych zarodków, które mistrzowie posieli w formie idealnej: powtórnie, na wyrobienie realnego gruntu do przyszłej twórczości. Rozwinięcie pierwszej cechy nie wchodzi w nasze zadanie. Wspomnimy tylko, że idealne ziarna nie zeszyły tu w takim duchu, w jakim były posiane. Ten, który przychodzi nocą i rzuca kąkol w pośród ziarna świętego, i tu odegrał swoją mroczną rolę. Z ideałami Fausta obchodzono się z taką samą praktyczną rubasznoscą, jak z allegoryami Pisma; brano je w dosłowności zmysłowej. Wiemy, co sprowadził *Faust*, lub *Zbójcy* w życiu praktycznym. Niebotyczni poeci, odłoniwszy w całej nagości majestat słońca, zapomnieli ostrzedz ludzi, że oczów do niego blisko przysuwać się nie godzi.

Nierównie bliżej dotyczy nas druga cecha: przysposobienie dziejowej i społecznej materji dla sztuki; kiedy muza nie pracowała, pracowano dla muzy. Była to doba jakiegoś bezwiednego załęgania się kształtów. W samej nawet filozofii z pod zacierających się głosów *spekulacji*, poczęło się przebijać niesłyszane dotąd godło „filozofia czynu.“ Po dobrém wsłuchaniu się w chaos walk teoretycznych, coraz donośniej potraçały ucho zwiastowania o postannictwie plemienia germanów, „o jego powszechném zadaniu dziejowém, o bliskim postawieniu go na świeczniku w obec narodów ziemi.“

Z pochodnią takiej wiary w postanniczość plemienia, już i poeci poczynają zapuszczać się w dziejowe podziemia przeszłości. Nieokreślona dotąd na w pół-teoretyczna hipoteza o tój roli, jaką odegrać mieli germanowie w odnowieniu społeczeństwa, ukazuje się teraz w postaci odrobionego przekonania politycznego: Lingg, twórca znakomitej epeji „Wędrowka narodów“¹⁾ skreślił mistrzowsko obraz Rzymu, konającego w przesycie zbytków i zbrodni. Widok gruzów, zasypujących całe przestworze świata starożytnego, napełnia go posepném uczuciem. Dusza stęsknionego poety zdobywa się chwilowo na tę panteistyczną pociechę, że członki giną, ale całość zostaje, ale typ jest nieśmiertelnym.

„Prawda! prawda—mówi on—już i mój dzień pochyła się i coraz bliżej nadbiega chwila południa. Młodość, która oplatała różami dni moje, zatacza się ku mrokom; to co miałem za wiekuiste, to zbyt szybko poblakło, a marzenie zbyt późno odstępuje. Jedna tylko pociecha: pociecha odradzania się duchowo i rozwijania w całości nieśmiertelnie. Kwiat po kilku tygodniach przedzięga się w owoc, z biegiem lat z owocu powstaje drzewo. Choć dzień ostatni przemoże wszystko, wszystko przecież żyje we wszystkim utysiąckrotnionc.“

Atoli wśród tój panteistycznej otuchy połyskuje świat germański, poeta, posługując się mieczem Atylli, w wywróceniu starego świata, kończy nawołaniem Północy:

¹⁾ Die Voelkerwanderung. Epische Dichtung v. Hermann Lingg (w trzech księgach). 1866.

„Wystąpcie, wystąpcie, wy dzielni zwycięzcy, zwiastunowie sądu bożego. Powstań, jasnowłosy Alaryku; powstańcie Markomani, Swewowie i ty mroczny Genzerychu! Straćcie do trupów ten gród świata, boć miarka jego spełniła się, pobladły jego skronie. Napłyńcie z ciosami, a za waszym krwawym gościńcem niech zstąpi zbawienie i nowój ery błogostawieństwo!“

Dwulecie upłynęło od epopei do komentarza.

Ale mamy nierównie wydatniejsze ślady wskazujące, jak tu i owdzie błąkały się w atmosferze materyału przyszłego cyklu.

Oto obraz z poematu „Król Syonu.“ Przed świeżo wybranym prorokiem Anabaptystów ukazują się ci i owi, ofiarując mu swoje usługi. Z kolei występuje *Tylan*, jedna z owych tytanicznych postaci, o których pisze Tacyt: „*in immensa corpora crescebant.*“

Oko olbrzyma utkwione w proroka; w prawicy dźwiga on miecz ogromny, dziwnego kształtu i niestychanie dawny. „Słuchaj, proroku—mówi Tylan—leżałem niedawno na kamiennych grobach olbrzymów i w sen zapadłem, a oto we śnie słyszę głos: „powstań i miecz wyostrz“ i miecz wyjąłem ze skalnej pieczary. Wspaniale uzbrojony w siłę, rozum, odwagę i piękność, powstanie bohater teutoński... nie od cięcia, nie od razów, lecz od samego połysku stali, pierzchną jego wrogci. I tak wytopiając z korzeniem zło i fałsz po ziemi, on przejdzie przez krainy i rozwijając świętą chorągiew giermanów zjednoczy w jedną rzeszę plemiona teutońskie; strąci mocarzy z tronów, a potem na tronach Bizancyum, Persyi i Indyi osadzać będzie królów, swoich wiernych sojuszników.“

Tak śpiewał autor „Proroka“ wówczas kiedy pierwsza rdza spadała z miecza olbrzymów, aksjomat estetyczny odwrócił się biegunowo: „co miało stać się w rzeczywistości, to piérwój ocknęło się w pieśni.“

Główną osiǳ ducha poezyi niemieckiej w obecném dziesięcioleciu, jest dogmat germański; dodać możemy, iż ogólny prąd piśmienniczy zwrócił się w tym kierunku—kto wie, czy nie z szkodą dla samej treści. Nawet o mniej szczęśliwych utworach krytyka odzywa się pobłażliwie, jeżeli nad ich nagłówkiem powiewa sztandar teutoński. Tak np. w roku bieżącym ukazał się w Strasburgu dosyć podrzędny utwór dramatyczny Ludwika Spacha „Henryk Wazer ¹⁾ dramat w pięciu aktach.“ Autor pochodzenia alzackiego, dyrektor archiwum strasburskiego, piszący w swoim czasie poprawnie po francuzku, więcej jest znanym, jako historyk, szczególniej w zakresie dziejów Alzacyi. Za panowania Ludwika Filipa pisał powieści francuzkie. Następnie pod przybraném nazwiskiem *Lavatera* wystąpił z utworami lirycznymi nie wielkiej doniosłości. Ostatni jego utwór

¹⁾ Heinrich Waser. Ein Drama in fünf Aufzügen von L. Spach. Strasburg 1875 r.

(Wazer), doczekał się, jak widzimy, czasów niemieckich. Przedmiot jego jest raczej powieściowy, aniżeli dramatyczny; idea, a raczej pseudoidca, poświęcenie się dla prawdy naukowej, tragiczne poświęcenie się, w którym jednak większą połowę wagi, stanowi miłość. Głównym bohaterem jest tu pastor zurychski, Wazer, który za swoje obrażenia pozbawionym został piastowanej godności i zmuszonym opuścić Zurych. Przenosi się więc do Strasburga i tam spotyka się ze znakomitością swojego wieku, Szlecerem. Jednocześnie ze Szlecerem przybyła tam jego córka Dora, dziewczica pełna wdzięku i sławy, (otrzymała bowiem honorowy stopień doktora). Wkrótce otwiera się przed nim pole do zasłużenia się Szlecerowi. Dla zaokrąglenia swojej pracy, Szlecer potrzebuje dotrzeć do pewnych źródeł, a mianowicie do archiwum w Zurychu. Jako mąż prawdy a przytém zakochany, Wazer ofiaruje mu swoje usługi; wraca do Zurychu, dostaje się do archiwum i czerpie. Niestety gorliwość naukowo-miłosna popchnęła go zbyt daleko. Heideger, burmistrz Zurychu, śmiertelny wróg Wazera, oskarża go o złamanie tajemnicy państwa i zdradę stanu. Wazer zostaje skazanym na śmierć. Dorą umiera z rozpaczy.

Zdrada państwa dla miłości! czyn jak widzimy, *a priori* nie mogący ustać w obec dogmatu wysokiej sprawiedliwości. Wolelibyśmy, w imię absolutu moralnego, widzieć to zadanie postawionem odwrotnie. Wplątanie oblubienica w intrygę kontrabandy literackiej, gdybyż to tylko literackiej! ze strony bohaterki również do szczęśliwych i estetycznie godziwych obrotów zaliczyć się nie da. Pytanie więc, kto tu będzie płakał nad bohaterem? chyba tylko Dora, jeżeli ma sumienie i to dlatego, że idącego na rusztowanie Wazera, ani rzeczywiście ocalić, ani moralnie rehabilitować nie może. Tyle o idei dramatu. W konstrukcyi samęj nie wiele talentu dramatycznego; w rozmowach ten sam chłód racjonalistyczny, jaki więcej z idei głównej, sam nawet język zacina z alzacka.

A jednak krytyka nie szczędzi pochwał starszowskiemu (Spach ma blisko lat 80), głównie za to, że stał „na kresach świata teutońskiego,” Spach zaliczonym został w poczet dramaturgów pierwszego rzędu. Tak to, niestety i w najpotężniejszych głowach prawda obiektywna, obsuwać się musi, na korzyść prawdy postawionej *ad hoc*.

Przy dogmacie teutońskim w obecnem piśmiennictwie a szczególniej poezyi, zawsze domyślać się przychodzi nieodczepnego epitetu nie transteutoński, co znów oznacza: nie galski. *Skrystalizowany śmieszek*, stojący dziś na czele brukowej humorystyki, swoją nienawiść rasową niegdyś pokrywał płaszczykiem satyry na trójkę zaimkową: *On, Ona i Ono*. Aliści od chwili starcia, ów obrońca woli powszechniej, apostoł praw i współ-istotowości wielkiej rodziny człowieka, naraz występuje z niezmordowaną zajadłością przeciw *la g-r-r-ande nation*. Zresztą jego dowcip powierzchnowy, często rubaszny, wierzący się ociężałe na sprężynie, najmniej przypadającej do natury ję-

zyka, na grze wyrazów, wyśmiewa, a przynajmniej stara się wyśmiewać z jednym i tym samym smakiem wszystkie barwy, nawet i najświętsze, *byle tylko szedł handel*.

Od pewnego czasu prasa niemiecka wywiesiła sztandar pojednania się na polu piśmiennictwa. I życzyć go należy w imię interesów sztuki i światła. Dźwignią moralną w stosunkach piśmienniczych jest miłość prawdy i absolutnego piękna, i oboje powinny być „droższymi od Platona.“ Niechęć zaciemnia poglądy, fałszuje historię i przytępia ducha estetycznego.

Nadmieniliśmy, że kilkunasto-lecie, poprzedzające obecną chwilę, nie było urodzajnym dla literatury nadobnej; staraliśmy się przytępnym podciągnąć pomieniony fakt pod wyjaśniającą go zasadę. Stan odłogowy przemija, obok wspaniałych zadatków nowego okresu, stopniowo wysychają chwasty, w których posiewaniu obliczano na efekt polityczny. Oto są ich próbki.

„Runy i rymy (Fritza Pichlera“ *Runen und Reimen*, w Hamburgu 1875); jestto szereg stakilkudziesięciu ballad, sięgających po wieńiec homerowski, ale nie dorównujących nawet w połowie, serdecznym obrazkom Longfellow'a w jego „*Book of Songs*.“

„Junkrowie i duchowni“ (Junker und Pfaffen) wierszydła tendencyjne, w przemytniczy sposób wprowadzające do świątyni poezyi owe drażliwe zapytania, o których rym i średniówka nigdy wyrokować nie będzie. Dziwnie zaiste rażą nas poemata rzymskie i staro-greckie wygłaszające pewne zasady z filozofii natury, ale stokroć dziwniejszym jest widok Parnassu, zamienionego na kancelaryę. Czytelnikowi aniby przyszło do głowy, że ci panowie rokują sobie na piękne *nieśmiertelność*. A przecież tak jest:

„Kto wie, odzywa się jeden z wieszczów epoki przednowkowej, może zjedną mi nieśmiertelność te pieśni, wyśpiewane z głębi duszy wśród najgłębszych boleści, wśród wilgotnych murów; może te krzyki brzmieć będą wiecznie, wiecznie!“ (Wesoła i poważna poezya: *Ernste und heitere Poesie*, bezimiennego. Wiedeń 1875 r).

Nieco sympatyczniejszemi są dwie nowelle „*Nad morzem Tyrreńskim*“ i „*Na wybrzeżu Norwegii*“ pięknym i malowniczym piórem kreślące widok fal tyrreńskich i szum golfstremu.

Odradzająca się myśl artystyczna zwróciła się obecnie do dwóch źródeł, które po wszystkie wieki prowadzić ją zwykły, ilekroć poczuje potrzebę odetchnięcia. Temi dwoma źródłami są: świat klasyczny i podania ludowe, natura w sztuce i sztuka w naturze. Rzadko się zdarza, ażeby te dwa czynniki puszczane były w ruch tak jednocześnie i z tak równym zamachem, jak w obecnej chwili. Podania rodzinne, pieśni ludu, powieści cudowne, zgoła, natura nie poparta wykończonemi formami i porządkującą zasadą klasycyzmu, wyradzając się zwykły na wodnistą sentymentalność albo stepową swobodę. Klasycyzm znowu, nie pokrzepiona rosą i świeżym powiewem mitu

rodzinne, nad oschłą formalność i pedanterię nie wydać się zdoła. Wprawdzie nie od dzisiaj krzątają się Niemcy około zebrania podań, legend i pieśni, ale dziś dopiero wchodzą one w soki poezji, jednolicie z klassycznością. Do rzędu najważniejszych prac na polu literatury podaniowej należy „Biedny Henryk“¹⁾ pieśń Minnezengera wieku XIII, Hartmanna, w przekładzie ślicznym wierszem na język współczesny, dokonany przez Simroka. Jednym z najpiękniejszych obrazków tej sagi jest дума o królu Robercie i Swanhildzie. Mamy tu przed oczyma nieszczęśliwą, aż do rozpaczy kochającą kobietę, której mąż otrzymał ranę śmiertelną. Podczas nocnego przystanku Swanhilda wysysa jad z rany ukochanego małżonka, niepomna, raczej obojętna na to, iż sama poświęcenie się swoje opłacić musi niechybną śmiercią. Ranny wojownik tak się odzywa:

Z nami, z nami dziś niebianie
 Stratowali pierś przemocy,
 Nie wspominaj więc o ranie,
 Lecz o czynach zbiegłej nocy.
 Nicchże z piersi moich wnętrza,
 W krwi się pławi hełm i zbroja;
 Anglio! nie wróconaż twoja,
 Wolność twoja przenajświętsza?
 Wiara! w pogoń, nim zażegnie
 Świt pochodnię—graj, dwusieczny!
 Graj, aż wróg ostatni legnie,
 I zagaśnie srom przedwieczny.

Spółeczne ramy wieków Grecji i Rzymu, na pozór zbyt szczerpłeni się zdają dla pomieszczenia w sobie wszystkich cieniowań ducha nowożytnego. Ale z drugiej strony przychodzi tu w pomoc dziwna elastyczność typu starożytności, wyobraża on bowiem *całość* natury ludzkiej; mały świat (mikrokosmos) ciężący wszystkimi żywiołami do wielkiego świata (makrokosmos).

Tym sposobem tłumaczy się możliwość nieustannego odnawiania się treści klassycznej pod piórem mistrza. Dla dokonania zamiaru dosyć jest dla niego tylko rozszerzyć typ, i bohater powstaje przed naszymi oczyma, w pełni dzisiejszego ducha. Nasze bowiem pojęcia leżą tam wirtualnie. Co innego jest kwestya *formy* i w tym względzie artyści niemieccy nie pozwolą sobie na anachronizm Rasyna, ledwie że nie malującego Achillesa z bagnetami i szmigownicą.

Na chlubną wzmiankę zasługują dwa poematy dramatyczne „Śmierć Patrokla“ i „Dziewice z Koryntu.“ (Dramatische Dichtungen von Hellmuth Maassen. Berlin 1875). Szczególnie pięknymi są jego „Dziewice z Koryntu.“ Zdaje się jakoby autor, tworząc swój poemat, czuł się pod padającym zdaleka cieniem Bajrona, i rzeczywiście

¹⁾ Der arme Heinrich des Hartmann von der Aue, übersetzt von K. Simrock mit verwandten Sagen. Heilbronn 1875. Hartmann był jednym z najwdzięczniejszych śpiewaków z okresu Minnesengerów: żył w wieku XIII.

jest coś w ogólnej intonacji, przypominającego „Obleżenie Koryntu.” Ten sam zapach, ta sama miłość murów ojczystych, choć oddzielona kilkunastu wiekami. Rzecz dzieje się na półtora wieku przed Chrystusem. Mucius oblega Korynt. Zawija się krwawa bitwa, jeden z najdzielniejszych bohaterów greckich, godny przodek Kumurdźych, pada z ręki żołnierza rzymskiego. Siostra poległego, Dyone, naraz uniesiona podwójną rozpaczą, zgonem brata i upadkiem grodu ojczystego, rzuca się na jednego z wojowników rzymskich, zadaje mu cios śmiertelny na stopniach świątyni Pozeidona. Otaczający nieprzyjaciele pochwycili Dyone i oddają w ręce zwyciężkiego konsula. Nieszczęśliwa, szlachetna Koryntyanka, pochodząca z najświetniejszego rodu, zostaje niewolnicą Centuryona. Tymczasem u brzegów morza stoją okręty rzymskie, napełnione obrazami, posągami, krociami bogactw i gotowe ponieść do stolicy Kwiryntów ten bezcenny ładunek cywilizacji greckiej. Dyone zbliża się do okrętów, wstępuje na jeden z nich i z pokładu rzuca się w odmęty. Umarła więc wolną obywatelką zburzonego Koryntu, którego zwłokami Mucyusz ozdobił Rzym, wróciwszy z wyprawy.

Przedmiot jak widzimy, godny koturnu: plan nakreślony wybornie, charaktery posuwają się bez zachwiania od początku do końca, *ictus* dramatyczny panuje wskrós całej budowy; styl nieposzlakowany.

Z losami współczesnej sceny niemieckiej związane są trzy wielkie imiona, uwieńczone laurami i na polu epopei: Dahn, Lingg, i Jordan.

Zakres obecnego sprawozdania nie pozwala nam mówić o każdym szczegółowo; ograniczamy się więc na pierwszym z nich. Feliks Dahn jest dramaturgiem historycznym, owego *środku* w sztuce, który z jednej strony specjalizuje powszechną naturę ludzką (naprzeciw Szekspirowi), z drugiej strony ujmuje on barw zbyt jaskrawym tendencyjnym obecną chwilę, naprzeciw Hammerlingowi (w jego „Królu Syonu”). Jeżeli Szekspir jest poetą więcej, niż narodowym, bo poetą ludzkości; jeżeli dramaturgowie niemieccy, współcześni, są zbyt może narodowcami, to w dramacie Dahn'a dziwnie równoważą się oba momenta, *Got* nie pochłania człowieka. Mówimy tu o jego tragedji „Król Roderyk,” utworze prawdziwie klasycznym, tak w ogólnej architektonice, i poruszaniu się głównych sprężyn, jak w misternym odrobieniu scen, żywej charakterystyce osób, i wydatnej odrębności typów, od demonicznej postaci Syndreda, aż do pięknej, nieszczęśliwej królowy Gotów, noszącej sztandar królewski, różami i liściem dębowym uwieńczony. Środkowym punktem całego mechanizmu jest, od początku do końca bohater główny, ostatni król zachodnio-gocki w Hiszpanii. Rzecz dzieje się w 711 roku po Chrystusie. Odległość epoki, pożądana w epopei posłużyła i tragedji, ochraniając ją poczęści od pokus dogmatu.

Po śmierci Witika, króla westgockiego, dostojnicy państwa w przeważnej liczbie duchowni, zamyślają o obiorze nowego władcy. Roderyk, z rodu Baltów, znany z waleczności, jest pierwszym kandy-

datem, ku niemu zwracają się oczy wszystkich wybórców, tylko Eugeniusz, z ziemi Basków, biskup pampeluski, popiera Juliana, hrabiego Ceuty, miasta gockiego w Afryce. Roderyk, to tarcza Hiszpanii i postrach jój wrogów; lecz dumny mocarz, i wątpliwy filar wiary: Julian pobożny lecz słabego charakteru. Prymas państwa, Syndred przyrzeka Roderykowi koronę pod warunkiem, że zaprzysięże wierność, poszanowanie świętych przywilejów, nadanych przed wiekami przez króla Nekareda, i że nie pierwój weźmie koronę z rąk prymasa, aż po spełnieniu przyrzecze: Roderyk przyrzeka.

Lecz w dzień wyznaczony na obiór w wielkiej bazylice, w Toledo, otoczonej ludem, wśród dostojników, Roderyk własną ręką chwytając koronę, każe przemocą roztworzyć podwoje i odwołując się do ludu, wpuszczonego w podwoje, ogłasza się królem.

Gotowie przyjmują z zapamiętaniem zamach stanu; dostojnicy, z Syndredem na czele, protestują. Oto pierwszy, a na owe wieki potężny, zadzierny dramatu. Roderyk, ogłoszony królem, rozpoczyna mozolną walkę domową z przeciwnikami. Julian i Tulga, ojciec Donny Cavy popierają Syndreda. Niegdyś, będąc jeńcem w Afryce, Roderyk został ocalonym przez nieznaną dziewczę. Obraz zbawczyni wraził się w jego serce na zawsze, kochał tajemniczą. Kiedy teraz wypadkiem ujrzał Donnę Cavę, serce w nim zadrżało, w niej bowiem poznał dawną zbawczynię. Syndred z całą chciwością chwytając nową nitkę machinacji: za zgodą ojca, który Donnę Cavę, jeszcze w jój dzieciństwie przeznaczył za żonę Julianowi, osadza ją u leukadyanek. Roderyk wyzwała oblubienicę, ogłasza królową Gotów i mieczem rozcina przywilej Nekareda. Julian, mszcząc się na podwójnym współzawodniku: korony i serca, podburza Basków, wchodzi w układy z Maurami, wydaje w ich ręce dwie twierdze gockie w Afryce, nareszcie zdradziecko sprowadza ich do Hiszpanii. Następuje walna bitwa pod Xeres de la frontera; lud dotąd chwycący się odstępuje Roderyka; lecz kolos wytrwał do końca, wśród zgiełku ostatniej, rozpaczliwej walki, Roderyk otrzymuje ranę śmiertelną; wprowadza go garstka wiernych, spartego na zbroi, obok niosą chorągiew i hełm królewski.

— O! królu, zawołał Gundemar, biada nam: wszystko stracone!

— Tak, odpowiada Donna Cava, ale nie stracona jest miłość, wiara i sława.

— Tylko jeden mąż stracony, wyjąknął Roderyk, brońcie się, brońcie....

Roderyk zaklina przyjaciół, aby mu przysięgli, że poniosą w góry asturyjskie sztandar Gotów i berło, które on przekazuje najwjerniejszemu z nich, Pelayowi.

— Cofajcie się natychmiast!

PELAYO. Kędyż, powiedz Roderyku; czyliż do Toledo?

RODERYK. Nie! nie do Toledo; tam czatuje na wasz gwałt lub zdrada. Na północ do Asturyi, do gąszczy jodeł, skał i łodników; tam skryjcie w parowach szczątki ludu Gotów, dokąd nie dosięgnie stepowy rumak Maurytanina. Nie składajcie orę-

za, niech ta chorągiew nie uchyli się przed wrogiem; to ostatnie moje słowo królewskie: mój testament. Gotowie moi przysięgnijcie!

PELAYO. (*Padając na kolana*). Przysięgamy, iż poddania się nie będzie, (*podnosząc sztandar*) ani sztandar twój nie uchyli się półksiężycowi.

RODERYK. Teraz król Gotów może skonać spokojnie, i państwo Gotów żyć będzie. Lecz ty, o biedna Donno Cava! Jakież będzie twój los?

CAVA. O! nie będzie to los wdowy: powój, który się owinął w około dębu nie przeżyje upadku bohatera swojego. Oto wybiegam przed tobą... a ty, pójdź za mną, pójdź, biały sokole, w błękitne przestworza nieba (*przebija się sztyletem Roderyka*).

RODERYK. Idę za tobą! żegnajcie mi, wierni przyjaciele; gasnę ja tylko, ale nie gwiazda twoja, ludu mój gocki (*umiera*).

Tak zginął ostatni król Gotów zachodnich i Donna Cava, ostatnia ich królowa; idealny związek przyszłego cyklu poezyi rycerskiej na półwyspie.

Zwrot klasycznie podaniowy prowadzi nas do jednego z najpopularniejszych poetów: Hammerlinga.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD KRYTYCZNY

DZIEJÓW SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE (1818—1873).

SKREŚLIL

Wł. Łuszczkiewicz.

(Dokończenie).

II.

Zwiniętą posadę profesora rysunku wyższego w szkole sztuk pięknych połączonej z techniką zastąpił prof. rzeźbiarstwa. Reskrypcją senatu b. Rzeczypospolitej Krakowskiej, z d. 3 września 1839 r. polecono rozpisać konkurs na tę posadę wedle statutu wewnętrznego z r. 1833; ksiądz Stachowski kan. kat. był wtedy komisarzem rządowym przy instytucjach naukowych. Jakoż zgłosiło się trzech kandy-

datów: Aleksander Wawrzecki były uczeń szkoły, który po r. 1832 zastępczo pełnił czas krótki obowiązki profesora rzeźby, Paweł Filippi ornamentalista, Włoch, którego sprowadził do Krakowa znany architekt Lanzi, i Karol Ceptowski rzeźbiarz, rodem z Poznania. Snać nie wielkich wówczas wymagano kwalifikacji od profesora oprócz pewnej technicznej wprawy w modelowaniu, skoro wszystkich trzech kandydatów przypuszczono do konkursu. Wawrzecki podobno nigdy krokiem za Kraków nie ruszył, w skromności ducha poprzestawał na tej małej wiedzy, jaką w szkole Szmelzera nabył. Paweł Filippi wykazał się zaledwie świadectwem, iż uczył się rysunku i ornamentyki, geometrii i mechaniki, w *Studio publico delli arte presso San Salvatore in Lauro w Rzymie* i był tylko samoucznym zresztą rzeźbiarzem. Jedynie Karolowi Ceptowskiemu daném było bliskie zapoznanie się ze sztuką w stolicach jej, Rzymie i Monachium. Urodził się on w Poznaniu z ojca Michała w r. 1801 na półwsiu w parafii Św. Marcina za murami, ojca jego zatytułowano w metryce „artista.” Szkoły ukończył w Pakości, a wysłany do Warszawy, uczył się tutaj rzeźbiarstwa pod professorem Malińskim przez lat pięć. Znałazszy się następnie w Wrocławiu, rysował tamże pod professorem Königem. Widzimy go następnie jako ucznia akademii sztuk pięknych Monachijskiej. Kornelius wydaje mu świadectwo r. 1829, jako odznaczającemu się talentowi. Użył go też sławny Klenze przy budowie pałacu królewskiego do robienia kapiteli korynckich.

Pobyt w Monachium przedłużył się do lat dwóch, poczem wyjeżdża do Rzymu. W pracowni Tordwaldsena pracował lat 4 odkuwając w marmurze posągi jego, szczególniej płaskorzeźba *noc* wysłała całkowicie z pod dłuta Ceptowskiego. W roku 1834 pracował pod okiem Schinkla przy kościele Św. Mikołaja w Podsdamie pod Berlinem, w r. 1836 przy rezydencji królewskiej w Brunszwiku, a wydaje mu chlubne świadectwa za rzeźby figur i ozdób, radzca budowniczy Ottmar. W r. 1839 zdobił kaplicę w Oporowie w Poznańskim. Wiadomo również że pracował w Paryżu u Pradiera. Znalazł się w Krakowie w przejeździe do Rossyi, gdzie zamierzał osiaść.

Wedle statutu wewnętrznego szkoły sztuk pięknych, dowodem uzdolnienia na profesora miało być wykonanie płaskorzeźby; rozprawę artystyczną i program nauki należało przytem napisać.

Temat wziętym był z § 29 Genezy, t. j. widzenie się Jakóba z Rachelą; wielkość rzeźby 2 łokcie, 1½ łok. przeznaczono do wykonania dziesięć dni.

Rezultat łatwy był do przewidzenia, sąd złożony z profesorów Uniwersytetu filologa Kajetana Trojańskiego i bibliotekarza Józefa Muczkowskiego, Jana Bizańskiego i Głowackiego, pod przewodnictwem wizytatora szkół ks. Stachowskiego orzekł, że zacytujemy tu słowa owego aktu, który z taką pretensjonalnością znawstwa wyraża.

„W wykonanej przez p. Ceptowskiego płaskorzeźbie znaleźć można śmiałość pierwszych zarysów, właściwe attituda osób, wyraz

twarży, znajomość anatomii, o ile takowy muszkularność ciała i skład szkieletu wymaga, piękny układ i grupowanie w harmonii będące z okrasą przydatkowych ozdób, znajomość i pomocniczych nauk optyki (sic) i historii naturalnej wymagających, trudny w rzeźbie przedmiot draperyi, wierne nakoniec oddanie myśli obok ścisłego zachowania charakteru osób narodu i klimatu, oto są zalety pracy p. Ceptowskiego. Pomijam sposób, pisze dalej ks. Stachowski, wypisania się, bo w tém żaden z uczniów Fidyasza nie celował, ale przyznać mu za to można łatwość tłumaczenia się i pełność niepospolitych krytycznych uwag“.....

Owe wypisanie się odnosi się do rozprawy konkursowój i pytania postawione do odpowiedzi na piśmie, przynoszą téż na owe czasy zaszczyt komisji delegowanój; z tego powodu powtarzamy je tutaj: „Co to jest pięknota? i wieloraka? Jakie ma być usposobienie naukowe rzeźbiarza a jakie moralne? Wykazać prawdą inwencji, układu rzeźby i krytyki. O stanie rzeźby w obecnym czasie we Włoszech, Francji i Niemczech z wyliczeniem najznakomitszych dzieł. Z anatomii opisać kształty barku i szyi; z architektury o profilach gotyckich i ornamentacyi od XII do XV wieku.“ Pytania takowe mogłoby dziś służyć do poznania odpowiedniego wykształcenia naukowego rzeźbiarza. Program jednakowoż nauki, jaki skreślił na piśmie Ceptowski przechowany w aktach Uniwersytetu Jagiellońskiego pokazuje, że nie umiał on dalej sięgnąć okiem po za rękodzieło. Wymaga on w nim od ucznia skończonych lat 10-ciu życia, znajomości jedynie czytania i pisania, a tych ma wykształcić na formatorów, ornamentalistów, złotników i rzeźbiarzy w pomoc przemysłowi idących. Jakże to trafiało do wyobrażeń dyrektora Kosickiego o sztuce. Senat rzeczypospolitej mianował w d. 27 marca 1840 r. Karola Ceptowskiego z. profesora z pensją 2000 złp., w rok potem mianował go rzeczywistym professorem z pensją 3000 złpol.

Nowo mianowany professor należał do ludzi natury prostój, uczciwój a zdrowój jak i olbrzymie jego ciało. Z obcowania z wielkimi mistrzami przyszedł do odrobiny rzeczywistego światła artyzmu, czuł i kochał sztukę, a kochał ją w pracy. Zajęty całe życie dłutem w pracowniach drugih rzeźbiarzy, podwładny ciągle, szczęśliwym był że mu się udało w małym miasteczku rodzinnej ziemi, stanąć za mistrza samodzielnego i że mógł kierować drugimi. Rad popisywał się ze swoją wiedzą przed uczniami, a szeregiem wyrażen niby artystycznych zapewniał w nauce rzeczywistą nieświadomość wyższych celów rzeźby. Nie nauczył się jednak za granicą dosyć poznawać ludzi i przyszło mu tutaj płacić własnym życiem dobór towarzystwa swego. Umarł w skutek nałogu, do którego go doprowadzili fałszywi przyjaciele i koledzy w nauczycielskim zawodzie. Jako artysta nie był on panem wysokich natchnień, nie posiadał téż uczucia delikatności formy; był to jednak rzeźbiarz praktyk zdolny zawsze do zadosyć uczynienia wymogom rzeźby monumentalnej. Pomagał sobie rysun-

kami Tlexmana komponując płaskorzeźby z uczuciem proporcji ogólnych form, z pewnym poważnym nastrojem. Nierozumiał wszelako znaczenia natury w rzeźbie, bo w antykach i owych rysunkach znajdował zawsze gotowy materyał do swoich prac dość licznych, które w gipsie pozostały. Praktyka i świadomość środków wykonania, stanowiły cechę tych jego prac, które odstawał na czas, częstokroć nawet nie pod swém imieniem, jak płaskorzeźby w kościele w Krzeszowicach.

Do małej pracowni nowego profesora zbiegło się wiele młodzieży z ciekawości, więcéj jak z rzeczywistego powołania. Mała sala w „bursie philosophorum” objąć ich nie mogła; łatwość profesora w modelowaniu wystarczała mu do pomagania wszystkim, tak że przy końcu roku szkolnego wypłynął ztąd cały szereg rzeźbiarzy, których prace wystawiono na widok publiczny w roku 1842 w kolegium fizycznym.

Nic wzniolejszego jak te pojęcia sztuki, które professor Stattler czując w duszy, chciał przelać nietylko w obrazy swoje, aby wychować pokolenie artystów, stworzyć podstawy pod rzeczywistą sztukę w kraju. Obudzenie świętej iskry poezji w sercach młodzieży, mogło się tylko zdaniem profesora dokonać rozbudzeniem poszanowania dla piękności natury, ona jest źródłem wszelkich plastycznych piękności. Zdawało się profesorowi, że należy iść drogą którą wskazuje historia sztuki, że ogołoceni z tradycyi, winni wrócić do źródeła wiedzy formy, do badania przyrody. Ztąd mimo świadomości o stylu, o piękności klasycznej, poprzestawał w nauce na tych surowych materyałach, jakie daje natura pierwsza lepsza; uczył dopatrywać się w niej praw sztuki. Przeciwnik z zasady wszelkiej świadomości środków artystycznych, chciał aby każdy wy dobył własnym usiłowaniem praktykę malowania, stworzył sobie własny styl. Professor Stattler odrzucił w nauce wszelkie kopiowanie, uważając je jakoby kaligrafie, a otwierał wprost, jak mówił, pole do tworzenia obrazów, dając za wzór naturę martwą do rysowania, a następnie zaraz malowania. Na tych wzorach uczeń zdobywać miał pojęcie rysunku, światłocienia, użycia farb i kolorytu, tak że go to z łatwością przeprowadzić miało do malowania głowy i figury ludzkiej. W praktyce jednak najsmutniejsze ta teorya wydawała rezultata, bo uczeń od piérszój chwili szedł po omacku, mając do czynienia naraz z trudnościami, których stopniowo nie zwyciężał. Nudził się téż nad owemi jankami, owocami, jarzynami przez tygodnie i miesiące, kując rzecz instynktowo; chodziło więcéj o delikatność oddania szczegółów, broń *Boże o efekt ogółu i prawdę jego, bo to potępioném było. W praktyce powiadam, owa teorya dawała obrazy mgliste, rozdmuchane, o kolorycie pomarańczowym części ciała, na zielonych koniecznie tłach, typ który niezmiennie przechował się w szkole profesora Stattlera piérszój jego fazy nauczycielskiej.

Zaprzeczyć nie można, że system profesora tego miał pewne podstawy, ale po za początkowe studia pociągnąć się nie dał; rozwijał

on baczułość na wzory natury, ale nie dawał wiedzy jaką przyniosła tradycya sztuki. Nie przeczę że przy innych usposobieniach uczniów, przy pomocy drugih nauczycieli, możeby i on wydał owoce lepsze; sam professor Stattler uznał potrzebę innéj drogi w nauce, ale ta należy do epoki następnéj.

Wedle programu nauki, professor obowiązany był do dwóch godzin dziennie nauki malarstwa i godziny teorii: zbyt krótki czas zajęci byli więc uczniowie, a po za godzinami nauki zapominali tego co się nauczyli w szkole. Głowa starca, lub naga figura, stawała za wzór, uczniowie po największej części nie byli do tego jeszcze usposobieni. Cały zasób artystycznego wykształcenia leżał w duszy profesora, ale nie miał go komu udzielić, do tego zaszyły okoliczności, które rozwojowi szkoły Stattlera stanęły na przeszkodzie. Okoliczności te słyż ze strony niechętnych profesorowi a u władzy stojących. Dość powiedzieć, że od r. 1836—1841 znajdujemy w aktach ciągle napomnienia i zakazy nie używania nagiego modelu, a wrócenia do kopiowania obrazów. Zmniejszyła się téż liczba uczniów tak, że były chwile że było ich trzech lub czterech; najdłużej dotrwał Jan Zieliński pełen talentu artysta, który wyjechawszy do Rzymu, zawczasie tam umarł w r. 1847. Zdaje mi się téż że to jedyny uczeń przynoszący zaszczyt szkole z tych czasów.

Pomimo ciągłych prześladowań ze strony władzy, słusznie czy niesłusznie, trudno dziś orzekać, professor Stattler nie stracił nadziei przeprowadzenia swoich pojęć. Przygotowywał on sobie nowe pokolenie w tych kilku młodych uczniach, co z ołówkiem w ręku, skurczeni, mieścili się gdzieś w kącie po za trojnogami malujących. Czuł on potrzebę przeprowadzenia systematycznie nauki swéj na młodszym pokoleniu, i choć nie miał obowiązku tego, począł uczyć rysować. Tych kilku uczniów przetrwało burzę jaka miotala szkołę profesora Stattlera i czekała lepszej przyszłości.

W roku 1841 pożar zniszczył gmach szkoły technicznój, ocalały jednak zbiory Szkoły sztuk pięknych. Malarstwo pomieszczone w lichéj salce gmachu, drukarnią zwanym, w tyłach techniki. W roku 1842 dyrektor techniki Kosicki urządził wystawę płodów krajowych, w kolegium fizyczném; były tu reprezentowane sztuki przez prace uczniów, profesorów: Bizańskiego, Głowackiego i Ceptowskiego, kopie starannie jak naówczas wypracowane przez Wojciecha Eliasza, Piątkowskiego, Płonczyńskiego, Swierzyńskiego, Szuberta, olejno i rysunki Nogajskiego, Łęskiego, Balickiego Karola, Dębowskiego Leona, Feliksa Szynalewskiego. Rzeźby wystawili uczniowie: Faustyn Cengler, Szubert, Frankowski, Cercha, Józef Janikowski, Chojnacki, Edward Stehlik i Konstany Ceptowski. Podobna wystawa powtórzyła się w r. 1843.

Szkoła sztuk pięknych miała się wprowadzić napowrót do gmachu technicznego po wyrestaurowaniu i przerobieniu sal. Professor Stattler zyskał salę obszerną choć ze złém światłem; druga

obok sala mieściła większe posągi gipsowe i była pod dyrekcją prof. Bizańskiego, który trzecią obok salę zajmował na rysunek dla uczniów techniki; tu też uczył krajoznawców Jan Głowacki profesor gimnazjum Ś-ój Anny: jest to chwila pewnej czynności profesora tego w Szkole sztuk pięknych. Ale oto zbliża się czas, w którym nakoniec usiłowania każdego z osobna nauczyciela złączyć się z sobą mają. Jakim to sposobem dzieje się, kto dał pierwsze hasło wspólnej pracy, milczą dzieje, ale zdaje się że wyszło to od profesora Stattlera, a spowodowane było okolicznościami różnemi. Jużto odsunięcie się na stan spoczynku dyrektora Kosickiego, wejście nowego w osobie Józefa Podolskiego profesora mechaniki w technice zarówno, jak przekonanie wielu z uczniów, że częste kopiowanie wzorków nie wyprowadzi ich na artystów, sprawiło przeniesienie się całego zastępu uczniów od profesora Głowackiego i Bizańskiego do nowo wyrestaurowanej sali profesora Stattlera. Prawdopodobnym jest, że ze strony uczniów owoych wyszło przekonanie, że on jeden sztuki nauczyć może, gdy tamci zabawiali ich tylko w amatorski sposób. Trudnym było zadanie profesora Stattlera wyrobić coś z tego nagromadzonego materiału, przyszli oni malować studia i tych im odmówić nie można było, a jednak pojęcie ich rysunku i formy stały sztorcem względnie zasad Stattlera. Trzeba im było wiele zapomnieć a więcej nauczyć się samemu przez wpatrywanie się, nie zamącone przepisem, w naturę, tak mówił professor i zniechęcił wielu, co się jak Tadeusz Łęski już pewną sławą portrecisty aquarellą szczylic. Z całego też szeregu uczniów pozostało na rok następny 1845 kilku wytrwałych, a z owoych, których professor przeprowadził od początku w zasadach swoich, wraz z niemi utworzyła się rzeczywista szkoła profesora Stattlera, w której urzeczywistnić miał nakoniec myśli swoje odrodzenia sztuki w kraju.

Rysunek „Aktu” to jest człowieka nagiego, żywego, ułożonego w pewnej postawie, w ograniczonej liczbie godzin dwunastu dokonywany, jest podstawą nauki w każdej szkole sztuk pięknych. Uczeń, który lat kilka rysował wedle aktu, musi nabrać pojęcia form ciała ludzkiego i zapamiętać kształty te tak, że z łatwością przychodzi do rzucenia figury na płótno, choćby z pamięci. Dopóki człowiek nie przestanie być wzorem najwyższej doskonałości, a główną treścią obrazu lub posągu, dotąd bez znajomości doskonałej kształtów tych, artysta obejść się nie może. Akt taki służy zarówno dla wszystkich chcących dojść na wyżyny sztuki. Tego dotychczas brakło szkole i to było powodem naprzód rozdwojenia się sił nauczycielskich, a następnie nieudolności uczniów; dziwna zaiste, że do téj chwili o tém nie pomyślano ze strony profesorów, skoro zarząd szkoły mógł o tém niewiedzieć. Należy się też profesorowi Stattlerowi ta zasługa, że pierwszy urządził w Krakowie rysunek akademicki i wprowadził stale modela nagie na wzór do rysunku. Od téj chwili to jest od roku 1844/5 egzystuje on bezprzerwanie w szkole krakowskiej, w zimie

przy oświeceniu lamp, w lecie w godzinach rannych przy świetle dziennym.

Następuje zaraz tak upragnione zbliżenie się profesorów ku sobie; rysunkiem aktu kierują profesorowie: Stattler, Ceptowski i Głowacki: ten ostatni sam nawet rysuje, czas też poznać go bliżej.

Jan Nepomucen Głowacki był to artysta o gorącej duszy a zapasie praktyki malarskiej, znał go cały kraj jako pierwszego i jedyne go naówczas pejzażystę. Uczeń niegdyś Brodowskiego, odznaczywszy się jako staranny kopista, przeniósł się do Wiednia, gdzie przeważnie pracował pod Steinfeldem ćwicząc się w malowaniu krajobrazów. Rzeczywiście jeszcze przed rokiem 1830 Wiedeń rzucił się z miłością ku przyrodzie północnej, do pewnego naturalizmu w tym kierunku, artyści tamtejsi pierwsi po Toepfferze poczuli majestat piękności krajobrazu alpejskiego.

Oddziaływało to na zmysł artystyczny Głowackiego, z zapałem wziął się do rysowania krajobrazów Styryi z okolic jeziora Gmunden i przeniósł też poczucie w nasze Karpaty. On pierwszy za powrotem pojechał do Tatr, gdy o tych mało kto wiedział i przedstawił w obrazach, czarowne piękności Morskiego Oka i Czarnego stawu. Od niego też pochyna się pejzaż jako rodzaj krajowego malarstwa. Sumienny w rysunku jak Niemiec, nie bez poczucia piękności linii pejzażu, był zimnym obserwatorem natury, nieumiejąc pojąć życia jój, światłocienia i kolorytu. Był on fotografistą, u którego narzędzie do zdejmowania miało szkło zabarwione ręką Steinfelda; był to artysta, który zawsze trzymać się musiał ręki przewodnika, a po swojemu kroków stawiać nie umiał.

Ztąd u Głowackiego taka obserwacja przepisów mistrza swego, nie porywała go też natura pejzaży, odmienna od tych, jakie Steinfeld malował: promienia słońca, efektu silnego kolorytu, prawdy pierwszych planów unikał Głowacki.

Niskiego wzrostu, drobnój budowy ciała, wiecznie ruchliwy, pragnął sławy wielkiego artysty i pchał się, opierając się zawsze o jakieś grubsze zagraniczne drzewo. Jeździł do Rzymu, do Paryża kosztem kraju; będąc już profesorem rysunku u św. Anny w Liceum, powziął zamiar przerzucenia się w malarza portretowego, a nawet historycznego, ale znów nie widział nikogo godniejszego w tém do naśladowania jak Amerlinga, portrecistę wiedeńskiego, naśladowcę Lawrence'a.

Udatne portreciki aquarellą w rodzaju tego ostatniego dokonywane przez Głowackiego, miały zaletę wysokiego gustu, ale w portretach swoich olejnych nie poszedł dalej nad słabe studyum modelu; wznieść się do schwycenia duszy, do oddania indywidualności nie umiał; snąc trudności wykonania zabierały mu duszę całkiem.

Kolorysta słaby ze swemi kredowemi karnacjami, gubiący kształty, sprowadzając je do pewnej konwencyonalności wiedeńskiej

szkoły, malował wiele, ale porywać nie mógł nikogo, bo brakło mu samoistności, był niewolnikiem drugich, ztąd zimnym artystą.

Jako professor w Liceum św. Anny od r. 1834, gdzie wszedł na miejsce zmarłego Józefa Sontaga, nie odznaczał się systematem nauczania. Dawał wzorki jak drudzy jego koledzy, wierzył w przepisy proporcji i *ex cathedra* je wykładał; głównie chodziło mu o gładkie cieniowanie wedle głów Julliena. Zresztą wymagać nie można było wiele w szkole, gdzie rysunek był nauką podrzędną. Lubił zajmować się uczniami pokazującymi zdolność jak: Łęskim Tadeuszem, Płonczyńskim Aleksandrem, ale czy im otwierał cały skarb swęj wiedzy, wątpić godzi się, bo Głowacki nie lubił obok siebie widzieć drugiego z wyższym talentem. Tadeusz Łęski przejął od Głowackiego manierę w malowaniu portrecików aquarellą na brystolu, o kolorycie jaskrawym i sztucznym, ale nie bez pewnej wprawy w pędzlowaniu; drugi Płonczyński Aleksander, był jedynym uczniem którego professor Głowacki poprowadził do natury, wziął z sobą do Karpat i przekazał mu swoje tony kolorytu w pejzażach. Jedyny to uczeń Głowackiego, pejzażysta.

Jako professor rysunku w Liceum miał przytém włożony obowiązek uczenia w technice malowania aquarellą krajo-widoków, głównie dlatego, iż w owym czasie pejzaż był nieodzowną częścią projektu architektonicznego. Uczyl godzin dwie tygodniowo w kursie rzecim, gdzie wykładał architekturę Radwański Feliks przeniesiony tutaj z Uniwersytetu wraz z posadą swoją. Powoli pewna liczba uczniów professora Bizańskiego i Stattlera zapisała się na naukę krajo-widoków, ztąd stosunek szkoły sztuk pięknych z tą posadą w technice; rysowali oni i malowali ze wzorów głównie litografii Schindlera wiedeńskich, które professor uważał jako alfa i omega nauki. Do natury nigdy prowadzić nie chciał i pokazywał ją jako rzecz dla ucznia w wielkiej będącą oddali. Chętnie szcząc się dawnym tytułem professora nadzwyczajnego Szkoły sztuk pięknych, rad połączył się z nią, jako prowadzący jeden z tygodni przy rysowaniu akademickiego „aktu.“

Główny kierunek tutaj wziął na siebie professor Stattler i prowadził on po swęj woli: uczniowie uważali go za jedynego przewodnika. Był też nim nakoniec i cała ta faza Szkoły sztuk pięknych między rokiem 1840 a 1850, epoki, która jest że tak powiem wstępem do dzisiejszego malarstwa krakowskiego, przynależy professorowi Stattlerowi. Malarstwo romantyczne pod okiem jego rozwijające się w Rzymie przed 1820 rokiem, puka do drzwi szkolnych z całym zasobem wiedzy, jaką tradycja daje mistrzów z tą poetycznością, jaka była cechą utworów odrodzicieli malarstwa w Willa Massimi. Pismo Święte, poeci narodowi, zamarła księga przeszłości w pomnikach i grobowcach, widna w Krakowie, gorącym słowem zostaje podaną młodemu pokoleniu artystów. Uszanowanie dla arcydzieł przeszłości sztuki, cześć dla imienia Rafaelów, Tycyanów, zaró-

wno jak teorye wyprowadzone z ich dzieł, rozbudzają się w uczniach młodych, wrażliwych, wierzących ślepo w słowo swego mistrza.

Całodzienne studjum modelu nagiego pędzlem i ołówkiem, tworzenie przy ich pomocy obrazów o kilku figurach; ciągłe próby kompozycji, a przez to wyrabianie poetycznych myśli i logiki w układzie obrazów z Pisma Świętego, narodowej poezji lub historyi; zachęcanie do badań obyczajów przeszłości: oto tytuły zajęć uczniów w szkole profesora Stattlera w tej fazie jego nauczania. Umieć zamknąć szkołę złożoną z dziesięciu uczniów w krąg zapatrywań artystycznych profesora, nieprzypuścić żadnego innego światła, wzniecić oburzenie przeciw temu, co nie mogło zmieścić się w granicach wyobrażeń jego o sztuce, mogło mieć miejsce w tym czasie tylko w Krakowie i przy takiej potęgze słowa jaką on władał. Ależ i młodzież zamiłowana w nauce, cicha i skromna umiała wywzajemnić się profesorowi i z fanatyczną zaciętością bronić przystępu obcemu żywiołowi, może nie raz ze słowem prawdy do drzwi szkolnych pukającemu. Było to rodzinne kółko, gromadka miłujących się braci, idących ślepo za rozkazami mistrza, który tworzyć chciał oazę rzeczywistych pojęć w obec upadku sztuki, jak twierdził, pragnąc odrodzenia się z ducha młodzieży, dla zyskania obrazów nieba, przeszłości kraju, oddanych czystą formą Rafałowskiich pomysłów.

Z całej tej pracy przyjęło się to, co pojętém być mogło przez ludzi, którzy nie urosli do tej potęgi rysunku i malowania, coby ich zdolnymi do tworzenia obrazów uczyniła. Byłyto młode chłopcy, którym dano pędzel zawczasem nim ręka umiała władać ołówkiem, zanim nabyła elementarnej wiedzy o kształtach i ich oddaniu pewnym. Młodej imaginacji ścieśniono pole do mglistych marzeń o arcydziełach których widzieć nie mogli, bo na to trzeba było być we Włoszech, a galeryi Kraków nie posiadał; ale zamknięto uczniom przystęp do tej galeryi jaką przedstawiał świat na ulicy, świat żywy, ruszający się. Znali oni nieco naturę w tym modelu, który im zimno w zamkniętej sali pozował, ale nie umieli go połączyć z życiem jego, jakie objawiał człowiek niepozujący. Będzie to zawsze jednak wzniosłą pamiątką pracy professorskiej, to podniesienie pojęć rzeczywistych sztuki, twórczości artystycznej, a jeżeli pokolenie to artystów musiało wyszedłszy ze szkoły uczyć się dopiero rysować i malować, to nauka profesora Stattlera nieraz staje im jako przewodnia gwiazda w nauczaniu następnych pokoleń. Dziś to można powiedzieć o profesorze Stattlerze, iż zrodzonym był na dyrektora Szkoły sztuk pięknych krajowej, ale trzeba było aby kierował z góry, a nie uczył drobnej młodzieży, która go dobrze pojmować nie mogła. Uczniami tej epoki byli: dzisiejszy profesor malarstwa w tejże szkole Wł. Łuszczkiewicz, Kazimierz Mirecki, Stanisław Nagajski, Józef Maultz, Feliks Szynalewski asystent szkoły krakowskiej, Maksymilian Cercha nauczyciel rysunków, Konrad Kogen, Józef Janikowski i Leopold Pless i t. d. Do ich rzędu należał wielce utalentowany ale zawcześ-

nie zgasył młodzieniec Joachim Steczkowski. Dodać tu muszę, że obyczajem było cały rok malować jedną pozycję nagiego modelu, do którego to studium zastosowywał każdy z uczniów inne znaczenie czyli treść. Tak np. figura siedząca z podpartą głową wydała obrazy: Adama, Bolesława Śmiałego, Archimedesa, S. Piotra w więzieniu. Innym razem model przedstawiał Chrystusa uwiązanego u słupa i t. p. Szedł to z pojęciem wzniosłym profesora o twórczości? trudno przypuścić, a jednak w prostocie ducha robiło się to i wystawiało na widok publiczny.

Ale oto mimowolnie otwierało się młodzieży szkoły krakowskiej szersze pole do nauki. Sejm Rzeczypospolitej z r. 1844 wyznaczył 2400 złp. na dwa stypendya dla malarza i rzeźbiarza celem dalszego wykształcenia się zagranicą. Notujemy wypadek ten pomyślny dla szkoły. Odtąd bowiem nieprzerwanie wyjeżdżało dwóch uczniów skończonych za granicę na lat dwa. Do pierwszych stypendystów należeli: Władysław Majeranowski malarz i Henryk Krosowski rzeźbiarz, obaj dotychczas, to jest do roku 1844 bawiący już za granicą. Majeranowski i zasłużony artysta Aleksander Lesser w Warszawie przynieśli pierwsi do kraju pojęcia rzeczywistego malarstwa historycznego, jak je pojmowała szkoła monachijska najświetniejszej epoki; na nieszczęście brakło ich obrazom gorącego związku z narodowym życiem, żeby wywołały entuzjazm, przeszły one dostatecznie nieocenione.

Po śmierci profesora Głowackiego w roku 1847 a następnie profesora Ceptowskiego, pozostał cały ciężar prowadzenia szkoły w ręku profesora Stattlera. Czas jakiś zasady swoje przekazywał i rzeźbiarzom, a Leon Szubert i Marcin Rogoziński byli więdziej jego uczniami. Pierwszy znakomity artysta zapowiadający potęgę europejską zgasł w Rzymie, drugiego zabiła bieda na miejscu urodzenia w Krakowie. Professor Stattler i w rzeźbiarstwie stawił studyum natury jaką jest, na pierwszym miejscu, a kształcił też syna swego Henryka zdala od naśladowania antyków.

Przydzielenie w r. 1846 Rzeczypospolitej do Austrii w niczem nie zmieniło stanu wewnętrznego szkoły sztuk pięknych; nowy rząd uszanował dawne fundacye stypendyów szkolnych. Wysłany z Wiednia do obejrzenia zakładów naukowych professor i radca, znakomity botanik Endlicher zgodził się na projekt ówczesnego komisarza naukowego dr. Brodowicza przerobienia spalonej bursy Jeruzalem na szkołę sztuk pięknych, ale rzecz ta do skutku nie przyszła, bo zaczęto z niej następnie budować ujeżdżalnię. Nadzieje dla szkoły urosły jeszcze bardziej, gdy Namiestnikiem Galicyi w r. 1848 został nieodżałowanej pamięci Zalewski, ów Wacław z Oleska; zwiedzał on szkołę i zadowolony z rzuconej na płótno wielkiej kompozycyi historyczno-narodowej jednego z uczniów, przyspieszył wysłanie go za granicę kosztem rządu. Śmierć przerwała dalszy szereg jego dla

szkoły dobrodziejstw. W roku 1849 spotyka szkołę ofiara prywatnej osoby, wdowy po Michale Skotnickim zmarłym w r. 1808 we Florencyi a uczczonym pomnikiem na Wawelu. Pani Skotnicka umierając zapisała zbiór obrazów, starożytnych naczyń i rycin Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, lub w razie gdyby tenże warunków testatorki nieprzyjął, hrabinie Arturowej Potockej w Krakowie. Warunkiem przyjmującego ten piękny legat było wypłacenie coroczne summy 4000 złp. dla ucznia szkoły sztuk pięknych krakowskiej kształcącego się dalej za granicą. Pięknym był cel zmarłej utworzenia w ten sposób galeryi obrazów publicznej, a zarazem przychodzenia w pomoc młodzieży zawodu artystycznego. Obrazy były powiększej części staro-włoskie zbierane przez Michała Skotnickiego w dobrej epoce we Włoszech; szczególnie piękne były podłużne znakomitej wielkości mitologiczne obrazy Luca Giordano, wyrwane zdaje się z któregoś z pałaców genueńskich: była tam i stara dobra kopia Rafaelowskiego fresku Pussiny, a przytém wiele mniejszej wartości oryginalnych dzieł. Ważniejszym był jeszcze zbiór rycin dla swoich licznych Marcantonioń, Dürerów, Rembrandtów; były tam ryciny Mantegni i całego szeregu Włochów XVI wieku, porządnie w tekach ułożone. Do tego należały całe komplety dzieł Rafaela, muzea włoskie i luźne ryciny z obrazów szkoły Bolońskiej. Zbiór waz tak zwanych Etrusków nie należał do szczególnych wprawdzie, ale wystarczyć mógłby do objaśnienia przy wykładzie historii sztuki lub archeologii.

Dziwne losy spotkały ten zbiór i zamiar fundatorki zniweczyły, przedewszystkiém zanim go spisano, zanim uniwersytet lub hrabina Potocka zdecydować się mogli co do przyjęcia warunku, pożar w r. 1850 dotknął i tę kamienicę narożną przy rynku i Wiślaniej ulicy w której galerya Skotnickich mieściła się dotąd. Jak sznaty zdjęrano obrazy z ram aby je niby ratować przed ogniem, kupy płócien takich składano pod ratuszem; ryciny w tekach łatwiej było wynieść a jednak one najwięcej ucierpiały, bo na karb ognia, uieuczciwi amatorowie wykradli z nich co najpiękniejsze i najciekawsze. Reszty takowe złożono opieczętowane w gmachu biblioteki uniwersyteckiej.

Ale wrómy do dziejów szkoły sztuk pięknych; na lat kilka, przed tą erą jaką jest pożar Krakowa, reprezentował ją prawie jedynie professor Stattler. Szkoła jego malarstwa doszła w tej chwili do tego stanowiska, iż była salą kompozycyjną, gdzie uczniowie w szupłej liczbie czterech czy pięciu wykonywali swoje obrazy. Byli to p. Feliks Szynalewski, Kazimierz Mirecki, Leopold Pless, którzy oczekiwali w szkole na stypendyum, jakie im dla wyjazdu za granicę przysługiwało. Rzeźbiarstwo zyskało w tych czasach przewodnika w osobie pana Henryka Kossowskiego, równie nieliczne grono miało uczniów; celował między niemi Leon Szubert, modelował on z natury wedle pojęć professora Stattlera posąg Ś-go Jana kazącego.

Wykłady w szkole odnosiły się tylko do kursu anatomii artystycznej jednogodzinnej.

Akademia Wiedeńska przeobrażała się wtedy za ministerstwa hrabiego Leona Thuna; od r. 1812 niezmiennie zachowała ona wspólny charakter szkoły i ciała akademickiego czyli korporacji artystycznej; owoców wiele przez ten czas nie wydała. Memoryał który wydał w r. 1850 minister hrabia Thun, szeroko zastanawiając się nad powodami téj bezpłodności, widzi ratunek w powrocie do dawnych dróg w kształceniu artystów. Akademia Wiedeńska zostaje zreorganizowana, przestała być ciałem akademickim, stała się właściwą szkołą o dwu głównych działach: o szkole przygotowawczej mającej na celu wykształcać młodzież w zasadach techniki, przez szereg kursów systematycznych rysunku i rzeźby; przez wykłady nauk pomocniczych: i o szkołach specjalnych, szkołach jak je zowią majstrów, gdzie uczniowie pod kierunkiem pewnego artysty, malują własne pomysły tworząc jego szkołę. Kiedy dopiero r. 1850 akademia wiedeńska zaprowadzała u siebie tak zwaną Meisterschule, w Krakowie wytynęła ona daleko wcześniej naturalnym biegiem pod professorem Stattlerem. Brakło tylko wtedy tego, co najważniejsze, to jest szkoły przygotowawczej; ztąd lata czekać trzeba było na przygotowanie uczniów, jakich w końcu sala malarstwa posiadała.

Pożar szkoły w r. 1850 sprowadził inny stan rzeczy i dał podwaliny rzeczywistej szkole sztuk pięknych, jaka obecnie jest w Krakowie, to jest zakładowi, przeprowadzając współcześnie uczniów przez różne stopnie nauki. Jak widzieliśmy, od samego zawiązania szkoły nieumiano przeprowadzić wspólnymi siłami professorów systematycznej nauki, koniecznej w każdej instytucji naukowej. Powody do tego leżały w osobistościach grona nauczycielskiego, w zapatrywaniach się różnorodnych, a nie umiano porozumieć się w interesie dobra szkoły. Tymczasem jeżeli gdzie zgubnym jest przesuwanie uczniów do wyższych działów nauki, zanim pojmą oni i przetrwają poprzednie wiadomości i praktyki, to niezawodnie w sztukach pięknych; prawda że dla geniuszów może się to wydać ściśnieniem ich zapędów, ależ czyż szkoła dla geniuszów ma być tylko? Podobno geniusze nieraz bez głębokich studyów obejść się mogą, cóż jednak zaszkodziłoby im mogła systematyczność w nauce?

Ażeby szkoła sztuk pięknych w Krakowie nosiła piętno naukowej instytucji, brakło jój zapełnienia koniecznych posad dla praktyki sztuki, brakło wykładów nauk pomocniczych, bez znajomości których artysta nie odchodzi od znaczenia samouka, zdradzającego na każdym kroku swoje nieświadomość rzeczy. Chodziło o to, aby szkoła osiągnąć to mogła przy pomocy rządu.

Można powiedzieć, że do roku 1848 rzeczywisty krytycyzm w utworach sztuki, drzemał w starym grodzie naszym; pochwalna czasami recenzja dzieła sztuki, zastępowała jój miejsce w pismach peryodycznych owoczesnych. Professor Stattler mógł téż swobodnie,

bez obawy zdania opinii publicznej, przeprowadzać swoje myśli w szkole. Była przytém niemała doza obojętności dla sztuki u ogółu piszących; ani Majeranowski ani Meciszewski Hilary sztuką zajmować się nieulubili, a byli to jedyni publicyści krakowscy. Pojawienie się „Listów z Krakowa“ profesora Kremera było niespodzianką na horyzoncie Krakowa; umiał on ująć w pyszne ramy kwiecistego swego stylu, zasady piękna plastycznego: szkoda że zbyt oderwanie jeszcze, dla umysłów śpiących owego czasu, wyłożył zasady estetyki. Professor Stattler czuł w obec tego całą wyższość swoich pojęć opartych na rzeczywistej wiedzy, zdobytej na studyowaniu arcydzieł sztuki, nie mógł on godzić się na mniej szczęśliwie zastosowane przykłady w dziele prof. Kremera, odnośnie do dziejów sztuki w kraju. Wywołało to w swoim czasie walkę na pióra artysty i estetyka.

Czynność sztuki na Zachodzie przestała téż od tych czasów być obcą miastu, powrót wielu do Krakowa z tych, co przed laty kilku opuścili go, zarówno jak powstanie pisma peryodycznego w warunkach dziennikarstwa zachodniego, wywołało bliższe zajęcie téj sztuki przez literatów, na których czele stanął teraz Lucyan Siemieński. Kraj pragnie sztuki, żywej, gorącej, pełnej zewnętrznego efektu; żąda obrazów przeszłości, o kolorycie błyszczącym, świetnym, francuzkiej szkoły. Kraków w swéj szkole buduje dopiero podwaliny, przyszłego, w warunkach wielkiej sztuki, narodowego malarstwa. January Suchodolski daje szereg obrazów, które doznają przyjęcia najgorętszego, maluje to dobrze chwilę, która pragnie przedmiotów narodowych, o właściwą sztukę nie dba, rozrywa téż publiczność chciwie „Kram malowniczy Piwarskiego.“

Niedziw że usiłowania krakowskiej szkoły sztuk pięknych znalazły niechętnych krytyków; na czele ich stanąć miał wkrótce w dziennikarstwie Lucyan Siemieński, nieprzeczuwający że ten niedoskonały owoc jaki dotychczas wydała szkoła, piękną w przyszłości okryje się barwą... że praca ducha wyrobi sobie odpowiednią szatę.

Gorące zamiłowanie w zbieraniu pamiątek narodowych, jakie charakteryzuje u nas początek tego stolecia, przechodzi po roku 1848 w Krakowie w zapał bliższego rozpoznania się w zasługach zabytków sztuki. Zabytki te stają się polem do studyów obyczaju przeszłości, z których wyrasta świat nowy, nowe źródło do prawdy w obrazach historycznych. Dzisiejszy professor Łepkowski brał czynny udział w tych wędrówkach młodych artystów po kościołach krakowskich, a wspólną pracą powstały dzieła jako owoc tych młodzieńczych prac. Architekci młodzi zdejmowali plany gotyckich kościołów, rysownicy zbierali nagrobki, portrety i kostiumy.

Oto element z którym w historii krakowskiej szkoły sztuk pięknych rachować się przychodzi, bo ona pierwsza z pewnością wystąpiła z prawdą stroju w obrazach historycznych.

W takich warunkach kończy się druga epoka szkoły, epoka w której związana ona jest z instytutem technicznym, i ograniczona do

szczipłej liczby uczniów i professorów, ma charakter przechodowy, towarzyszący drodze. To epoka wyłącznej professora Stattlera działalności.

Zasługę ostatniej epoki przed przyjściem dyrektora samostrojnej szkoły, jest zamknięcie jej w pewną całość, przez zaprowadzenie brakujących posad, a głównie przez pewne oddzielenie jej od techniki. Epoka ta ciągnie się od roku 1850 do roku 1873.

III.

1850—1873.

Uniwersytet Jagielloński założywszy szkołę sztuk pięknych w r. 1818, spełnił swą misję, wyprowadziwszy z cechu nauczania sztuki, dał jej to, na co go stać było, professorów i lokale: zarząd techniki który przyjął dalszą nad szkołą opiekę, po macoszemu ją wypełniał jak widzieliśmy dotąd. Zamiast przyjść w pomoc jednemu profesorowi o wyższych celach, stawianemi trudnościami zniechęcał go, znaczenia nierozumiejąc sztuk pięknych, zniwelować je chciał do podrzędnego stanowiska. Następca dyrektora Kosickiego professor Józef Podolski, obojętnością swoją przynajmniej dozwolił szkole rozwinąć nieco działalność, ale zmieniają się czasy, zmieniają ludzie. Z chwilą pogorzeli miasta Krakowa w r. 1850 objął zarząd techniki D-r Michał Łuszczkiewicz, a jako rozumiejący wymagania sztuki, otoczył szkołę tą opieką, która leżeć mogła w skromnym zakresie naczelnika instytucji, co sama wymagała organizacji i naprózno u rządu o nią dopominała się. Uniał nowy dyrektor wynaleźć środki urządzenia szkoły, zwiększyć liczbę nauczających, a uczniom dodać nowego bodźca do pracy. Doktor Michał Łuszczkiewicz jest ojcem artysty malarza professora Władysława Łuszczkiewicza. W tym trzecim okresie przychodzi szkoła do ostatecznego urządzenia wewnętrznego, a przez zwiększoną liczbę posad zaokrąglą się w całość, niezależną już zupełnie od techniki, ale tylko związaną z nią jedynie wspólnym dyrektorem. W tej epoce kształcą się w szkole tej najznakomitsze dzisiejsze talenta kraju, kształcą się Jan Matejko: wszelkie rodzaje malarstwa poczynają być uwzględniane.

Początkiem jej jest chwila, w której przenosi się szkoła malarstwa z pogorzałego gmachu techniki do najętj prywatnej lokalności; w opustoszałej części tak zwanj „drukarni” pozostaje rzeźbiarnia ze zbiorem gipsów. Związek z techniką odtąd się zrywać poczyną, professor rysunku w onym zakładzie, nie śmiał mieszać się więcej do spraw szkoły sztuk pięknych. Szkoła ta nie miała przyszłości, bo jej brakowało głównej podstawy, to jest sposobności przygotowania sobie uczniów dla dwóch jedynych posad, malarstwa i rzeźby, które są dalszym dopiero ciągiem nauki. Professor Stattler miał kilku tylko uczniów, których doprowadził do tworzenia własnych pomysłów

a chociaż czasem z dobrej woli przyjmował do swęj sali początkującego ucznia, to brakło systematycznej nauki rysunku.

Wróciwszy z Paryża dokąd był wysłany kosztem rządu dla dopełnienia artystycznego wykształcenia, były uczeń profesora Stattlera, młody artysta Władysław Łuszczkiewicz, odpowiadając życzeniu grona profesorów techniki, przyjął bezpłatnie obowiązki uczenia rysunku, i rozpoczyna naukę sztuki od rysowania odlewów antyków. Uczniowie ci słuchali wykładu anatomii profesora Stattlera, i kursu perspektywy, który bezpłatnie wykładał litograf szkoły technicznej Piotr Wroński wedle dzieła Adhemara.

Zacny ten człowiek, pracowity a nieszczęśliwy, miał tę ostatnią pociechę przed swą śmiercią zasła w 1852 roku, że młodzież uwieńczyła go za jego wynalazek linijki do prowadzenia równoodległych perspektywicznych. Pobyt szkoły malarskiej w najętym lokalu przetrwał dwa lata, w drugim roku losem szkoły zajęli się dwaj przedstawiciele rządu przybyli do Krakowa: byli niemi hr. Franciszek Thun brat ministra oświecenia a referent spraw sztuk pięknych w Austrii, i Józef Behm dyrektor mennicy i znakomity znawca. Przybyli oni do miasta naszego w celu ostatecznego postanowienia, czy rząd ma przyjąć legat Skotnickiej, a z nim obowiązek dania stypendyum szkole, czyli odstąpić od legatu. Zbiory pożarem zniszczone nie mogły tentować delegatów, ale wróciwszy do Wiednia dali dobrą opinią o szkole i pomimo nie przyjęcia legatu, przeznaczył rząd corocznie 600 fr. walutą wiedeńską na dwa stypendya dla uczniów poświęcających się malarstwu jedno, drugie dla rzeźbiarzy. Oba stypendya były dwuletnie, służyły wyłącznie dla wyjazdu za granicę do jednej z pięciu akademii niemieckich „celem dopełnienia wiedzy, której szkoła krakowska jako niezreorganizowana dać nie może.” Tak więc ministeryum nieuwzględniając usiłowań profesora Stattlera zaprowadzenia szkoły kompozycyjnej, przeznaczyło za cel szkole, przygotowanie do *meisterschule* akademii zagranicznych. Pierwszymi stypendystami z tego funduszu byli uczniowie: Feliks Szynalewski malarz i Leon Szubert rzeźbiarz. Poniżej przytoczymy dalszą ich listę.

Jeżeli która z umiejętności przyczyniła się ogromnie do rozwinięcia pojęć o sztuce, o naturze jęj rozwoju, a ztąd o drogach postępu lub upadku, to niezawodnie historia sztuki; jest ona dziś podstawą sądu o dziele, a więc konieczną dla artysty myślącego. Wykład jęj jest specjalnością, której podolać nie zawsze może professor malarstwa. Dyrektor techniki umiał przedstawić potrzeby podobnej katedry przy szkole, i ministeryum zgadzając się na projekt ten, wezwało znakomitego estetyka d-ra Józefa Kremera profesora uniwersytetu, do wykładania estetyki i historii sztuki godzin dwie tygodniowo.

Tak przy końcu 1852 roku, gdy szkoła malarstwa miała się przenieść do gmachu rządowego *kollegium minus*, korporację profesorów

szoły sztuk pięknych składało pięciu professorów, a raczjéj nau czających, bo rzeczywistym był tylko professor Stattler. Miał jesz cze przybyć szósty, to jest professor krajowidoków w technice, następ ca profesora Głowackiego, Aleksander Płonczyński, szło tylko o po mieszczenie jego uczniów.

Jeżeli wejście do szkoły nowego profesora malarstwa ma zwia sować nową jéj epokę, to ta trzecia faza szkoły, rozpoczynać się winna w końcu roku 1853, gdy po odjeździe na dłuższy czas profes sora Stattlera, objął to stanowisko professor Łuszczkiewicz i z krótką przerwą zajmuje dotąd. Przenieść szkołę do nowych sal w powyżéj wspomnianym gmachu, zaprowadzić stosowniejsze urządzenie w oświe ceniu dzienném i wieczorném, którego dotąd szkoła nie posiadała w tych warunkach, jakich koniecznie wymagała nauka, było pier wszém zadaniem dyrekcji i rzeczonoego profesora. Do nowych sal garnęła się młodzież liczniéj, od najmłodszych lat życia można było spotykać uczniów z chęcią do pracy. Dwie jeszcze sprawy należą do zasług dyrekcji techniki: przydzielenie profesora krajowidoków do korporacji profesorów szkoły sztuk pięknych, i wyjednanie szczipłégo wynagrodzenia dla profesora szkoły, mającego obowiązek wykład ać historyę powszechną. Rząd zezwolił równiez na wynagrodzenie profesora rysunku z antyków i perspektywy, ale należało rok rocznie o to upraszać. Z odjazdem profesora Stattlera, szkoła miała wiele już posad, ale ani jednego profesora rzeczywistego: korzyść dla uc zniów była główną nagrodą korporacji nauczycielskiej.

Ostateczne urządzenie szkoły nastąpiło w tym roku 1853 a za sadzało się na rozdziale pracy między profesorów. Každy z uc zniów wstępujących do szkoły téj, musiał najprzód uczęszczać na rysun ek, po roku wolno mu było dopiéro przejść do rzeźbiarstwa, jeżeli temu zawodowi chciał się poświęcić. W klasie piérszjéj rysunku, dopełniwszy swjéj wiedzy w kopiowaniu, przechodził przez rysowanie odlewów gipsowych części ciała, do głów z antyków. Zasadą przyję tą było wierne poszukiwanie prawdy linii, nabycie wiedzy dokładnéj o układaniu się cieni na rozmaitych kształtach; użycie krédki, ołów ka lub wiszora pozostawiało się uczniom do woli, szło bowiem o za sady gruntowne, podstawowe nauki, nie o różnice w środkach. Ucz niowie klasy piérszjéj uważani byli jako odbywający próbę, dlatego prócz wykładu historyi powszechnéj, innych nauk pomocniczych nie słuchali. Za to mieli obowiązek po skończonych trzech godzinach rannych studi z antyków pod przewodnictwem profesora Łuszcz kiewicza, uczęszczać jednę godzinę dziennie na rysunek krajowido ków, wraz z uczniami wyższych klass. Uczniowie którzy z postępem odpowiednim skończyli kurs 1-szy, przechodzili do kursu 2-go rysun ku figur całych z antyków wielkości naturalnéj; mieli obowiązek słu chania wykładów anatomii godzin dwie tygodniowo, też perspektywy i historyi powszechnéj, zarazem uczęszczali z obowiązku na rysunek akademicki. Poświęcający się rzeźbiarstwu, dla którego godziny po-

południowe były przeznaczone, wszystkie powyższe kursa winni byli dopełniać. Nauka w tej klasie kończyła się rysunkiem głów z natury.

Kursa malarstwa otwarte były jedynie dla tych uczniów, którzy dali dowód, że wiedza rysunkowa, znajomość anatomii i perspektywy nie jest im obcą. Poczynający, malowali najprzód głowy z antyków, następnie naturę martwą, poczem przystępowali do klasy malowania głów z natury żywej, w oznaczonym stale terminie dwutygodniowym. Zastępywano głowę za wzór daną, modelem nagim do pół figury. Próby kompozycji były ciągłe wymagane, zadawane na pewien temat przez profesora. Wyższy kurs anatomii i perspektywy, wykład historii sztuki i rysunki akademickie, dopełniały wiedzy.

W końcu pewna liczba uczniów malarstwa posuwała się do malowania własnych pomysłów przy pomocy zasobów szkolnych, a dopiero po takiej próbie, mogli starać się o stypendyum szkolne dla wyjazdu za granicę. Dodać należy że rysunek krajo widoków, jakkolwiek nie tyle obowiązkowy, gromadził pewną liczbę uczniów specjalnie temu zawodowi poświęcających się, tém więcéj, że professor Płonczyński odchodząc od zasad Głowackiego, posunął naukę do rysowania i malowania studyów w polu.

Widok arcydzieł malarstwa przeszłości rozbudza wiedzę artystu, budzi miłość do sztuki, uczy nakoniec. Ta wielka księga doświadczeń w sztuce i ich rezultatów mistrzowskich jaką jest galerya obrazów w stolicach Europy, jest dla profesora polem do czynienia wskazówek uczniom. Gołe słowo profesora o kolorycie weneckim, o światłocieniu Rembrandta, o wdzięku Corregia, o piśmie artystycznym Rafaela i Michała Anioła, może wywołać przy potędze jego wymowy, poszanowanie dla imion, ale nie daje nauki. Trzeba było w Krakowie stworzyć sławną galeryę obrazów starożytnych dla zelektryzowania młodzieży, która jęszcze nie widziała dzieł tych mistrzów o których wiele słyszała.

Professor szkoły sztuk pięknych Łuszczkiewicz urządził w roku 1854 w salach szkoły wystawę najznakomitszych obrazów (oryginałów,) włoskich przeważnie malarzy, jakie posiadały wielkie rody w Krakowie, zamknięte w swych salonach. Cel dobroczynny na wsparcie ochronek ułatwił możność dokonania tego zamiaru, którego skutki dobroczynnie oddziaływały na uczniów; na wystawie tej spotkali się oni z dziełami nowożytnych polskich malarzy, a szczególniej z Rodakowskiego portretem, matki artysty.

W interesie tak rozbudzonej z uspienia, szkoły sztuk pięknych, należało przenieść ruch sztuki w szersze koła publiczności Krakowa, nauczyć ją kochać te objawy pierwsze rodzinnéj sztuki. Drogą do tego mogło być stałe urządzenie wystaw, ale już nowoczesnych malarzy i ułatwienie w nabyciu dzieła sztuki; cel ten przedstawiały dobrze tak zwane kunstweceiny niemieckie. Zamiar utworzenia stowarzyszenia sztuk pięknych miał już dawniej p. Franciszek Trzeci-

ski obywatel galicyjski, znany ze swój ruchliwości w sprawach publicznych; teraz myśl tę podniósł dyrektor techniki, a sprosiwszy na naradę znanych miłośników malarstwa, dał początek krakowskiemu Towarzystwu przyjaciół sztuk pięknych, którego pierwszym prezesem był książę Paweł Sanguszko, a gorliwym sekretarzem Walery Wielogłowski; statut układał senator Kopf, wedle urządzenia pragskiego towarzystwa.

Warto tu zanotować, co odpowiedział znakomity artysta i mąż stanu Piotr Michałowski, gdy delegacya od zawiązanego towarzystwa prosiła go aby przyjął przewodnictwo: „winszuję panom coście zrobili, ale nie mam wiary aby jakiegokolwiek stowarzyszenie mogło wzbudzić sztukę tam, gdzie ona innych nie zna podstaw.“ Sztuka krakowska miała już wtedy podstawę w szkole swój na „Gołębiej ulicy.“ Dodam również iż hr. Franciszek Thun wielce pochwalił artykuł statutu, w którym pewną część dochodu (5%) odkłada zarząd Towarzystwa na zakupno dzieł monumentalnej treści; twierdził przytém że postęp w sztuce krajowej zyskuje się polecaniem dzieł pomnikowych celnym artystom. Po za tém, wszystkie inne czynności Towarzystwa służą dla małej sztuki obrazkowej i są rodzajem jarmarku na obrazy.

Tak stanęła nakoniec w Krakowie instytucya, która owoce usiłowań artystów wzięła w opiekę, a ma dziś wielką zasługę że pierwsza uwierzyła w przyszłość sztuki naszój, i nie zniechęcała się temi drobnymi próbami, jakie w porównaniu z dzisiejszym rozwojem, świadczyły na pierwszych wystawach. Historia szkoły nie może odłączyć się jak w parze z dziejami wystaw Towarzystwa sztuk pięknych ¹⁾.

Młode pokolenie artystów warszawskich spotkało się z usiłowaniami miejscowych artystów na wystawie w domu Larysza: odtąd znają się z sobą.

Można powiedzieć że z chwilą tą, dyrekcyja techniki zrobiła dla szkoły sztuk pięknych to co mogła, nagradzając winy dawniejszego zarządu, utworzyła słusznie korporacyą professorów i nowe bodźce dla uczniów zarówno jak szersze pole zapatrywań. *Credere in verba magistri* bezwarunkowe, skończyło się dla nich, krytyka ma otwarty przybytek sztuki, ludzie pióra już się znają na dziełach pędzla i dłuta, czego nie bywało przed laty.

Szkoła sztuk pięknych usamowolniła się z więzów techniki, ma tylko z tą ostatnią jedynie wspólną dyrekcyą, szczególnieź dla sztuk przyjazną, ojcowską. Opieka ta, nie może dać kierunku nauczania, na to chwile jeszcze czekać zanim dyrekcyą obejmie artysta téj potęgi jak Matejko, i do téj chwili profesora malarstwa uważać trzeba jako moralnego kierownika szkoły z tego prostego względu, że on

¹⁾ W roku 1873 Towarzystwo sztuk pięknych na wniosek profesora Kremiera utworzyło dla szkoły cztery nagrody corocznie na konkursu dla figury akademickiej, rysunku z antyków i perspektywy, i obiecało ufundować stypendyum do wyjazdu za granicę.

sam jeden tylko, prowadząc wszystkich uczniów przez rysunek i wykłady, osobiście nadawał charakter nauce.

Przypatrzmy się uczniom tej fazy szkoły: wchodzący do niej po raz pierwszy nie są już same dzieci Krakowa jak dotąd bywało, ale dostarcza kontyngensu młodzieży Galicya cała i inne strony kraju. Przyjęcie ucznia zależy od właściwego profesora, nie obawia się szkoła przyjmować młodych zaledwie chłopczyków, których naukowe wykształcenie nieodpowiadałoby gdzieindziej warunkom stawianym u wejścia, bo ma to przekonanie, że douczą się kiedyś, czego im brak a wychowywać ducha w kierunku artystycznym trzeba od lat młodych. Talent rzeczywisty nie zginie w młodzieńcu który go ma, choćby długo zajmując się naukami obcemi sztuce, miał dopiero jako skończony gimnazysta przejść do szkoły sztuk pięknych; będzie on tutaj wzorowym uczniem, ale uczenie poetyczne i fantazyja artystyczna ucierpić na tej zwłoce mogą. Szkoła krakowska sztuk pięknych nie wyrzekła się pojęcia profesora Stattlera, o potrzebie wychowania artystów w kierunku ducha, i umiała długo dotrwać w tych zamiarach; uczniowie malutcy wyrastali na młodzieńców wśród tchnienia sztuki.

Tak w r. 1853 pamiętnym dla szkoły, zjawilo się w niej dwóch małych chłopców; pierwszego przyprowadził ojciec zacny, powszechnie szanowany professor muzyki, polecając profesorowi nowego ucznia drobnój budowy ale o świecącym geniuszem oku: chłopcem tym był Jan Matejko; drugim z zakątka Galicyi przybyłym: Artur Grotger. W tym roku szkoła miała już 24-ch uczniów stałych, z tych wymieniamy kilku dziś znakomitych w sztuce imion jak: Izydora Jabłońskiego, Kotsisa, Gryglewskiego, Cynka, Gadomskiego rzeźbiarza, Leopolskiego, który jeden należał do starszych uczniów, bo kończył prawo w Uniwersytecie: Avit, Szubert i Zygmunt Ekielski, odznaczali się w studiach pejzażów pod professorem Płonczyńskim, Andrzej Grabowski już miał sławę portrecisty.

Liczba uczniów zwiększała się corocznie, doszła najwyższej liczby 42-ch w roku szkolnym 1870/71, z wyjątkiem roku 1866/67 stała między 30 a 40. Uwieńczeniem końca nauki ucznia było wystanie go za granicę kosztem szkoły, stawał się stypendystą; zwykle dostawało się stypendyum temu, który złożył dowody twórczości wymalowanym obrazem własnego pomysłu, lub odpowiednią rzeźbą. Jan Matejko wyjechał do Monachium po odmalowaniu „Karola Gustawa u grobu Łokietka.“

Kotsis „Pogrzebów w Tatrach,” Cynk „Zgonu św. Salomei,” Lipiński „niedzieli na wsi“ i t. p. a były chwile gdzie żał się zrobiło, iż stypendyów nie było więcej.

Oto lista stypendystów szkolnych w porządku jak następowali od roku 1852: Feliks Szynalewski, Kazimierz Mirecki, Leon Dembowski, Karol Sinnmajer (w Wiedniu), *Jan Matejko* (1859—1860), Aleksander Kotsis, Floryan Cynk, Franciszek Matzke, Leon Piccard,

Tytus Pilecki, Hipolit Lipiński, Antoni Grammatyka, Ludwik Gądłek, z malarzy: rzeźbiarze Leon Szubert (zmarły w Rzymie), Walerj Gadomski, Filippi Parys, Władysław Müller, Ludwik Otowski, Edward Jaskulski (głuchoniemy † 1874), Zygmunt Trembecki, Władysław Eljasz.

Do tych uczniów, którym należała się pomoc ta, a jednak okoliczności nie dozwoliły przyznać jej, należą: pp. Streit, Kozakiewicz, Gryglewski, Izidor Jabłoński, Walery Eljasz, Siedlecki, Karol Sagnowski, Tomasz Łosik, Józef Bogacki i wielu innych. Szkoła nie mogła być winną, gdzie dwa stypendya były całym bogactwem, że tej utalentowanej młodzieży nie mogła przyjść w pomoc.

Jako kronikarzowi szkoły przychodzi mi zanotować niektóre daty jeszcze: tak w roku 1855/6 powraca z urlopu professor Statler i obejmuje na czas krótki posadę swą malarstwa, ale już w roku 1857 przechodzi na stan spoczynku, posadę jego obejmuje znów Władysław Łuszczkiewicz. W tedy to wchodzi do szkoły jako asystent szkoły malarskiej Feliks Szynalewski, niegdyś uczeń Statlera a następnie Józefa Täbricha w Wiedniu, i staje się wielką pomocą w nauczaniu dla tej ścisłości, jaką się prace tego artysty odznaczają.

W roku 1857 umiera professor krajowidoków Aleksander Płonczyński, miejsce jego obejmuje Leon Dembowski uczeń niegdyś Głowackiego, a następnie szkół niemieckich. On pierwszy wyprowadza młodzież w pole do natury, umie rozbudzić w niej zamiłowanie do swjej specjalności w sztuce, i gromadzi około siebie znaczną liczbę uczniów, a jednak jako professor rysunku w gimnazyum św. Anny, ma dodany w naszej szkole obowiązek uczenia krajowidoków za darmo.

Pan Dembowski pracami uczniów swoich utrzymywał na wystawach szkolnych ten związek z publicznością, jakie dawały udatne kopie akwarelą pejzażów w obec surowych studyów antyków i nagiego modelu, czego publiczność rozumieć nie mogła.

W roku 1861 dnia 19 marca zastąpiony dyrektor techniki Michał Łuszczkiewicz przeniesionym zostaje na stan spoczynku po 40 latach pracy nauczycielskiej; miejsce jego zajmuje Paweł Brzeziński professor mechaniki i matematyki wyższej w Instytucie technicznym, który jest już ostatnim z dyrektorów szkoły sztuk pięknych. Zawdzięczamy mu tę swobodę w rozwoju nauki, jaką dał pozostawwszy odpowiedzialność za kierunek sumieniowi profesorów specjalnych, a przedewszystkiem dzisiejsze umieszczenie szkoły w obszernych lokalnościach.

Jeżeli przeniesiemy się myślą w tę chwilę, kiedy Uniwersytet uposażał szkołę sztuk pięknych w ubogiej krainie, mającej trochę więcej jak 20 mil kwadratowych, to przyznać musimy że fundusze naówczas szkoły, świetne w porównaniu tej trzeciej epoki nazwać się godzi; miała wtedy szkoła swój gmach obszerny, miała trzy posady professorskie z wysoką jak naówczas płacą, i fundusz znaczny na do-

roczne potrzeby szkoły. Jeżeli lokal w bursie muzycznej na szkołę malarską i rysunku zachował jeszcze jakiś pozór szkolnego gmachu, tak iż jakkolwiek jedna sala miała liczne przeznaczenia, można było urządzić klasy nauki i znalazło się miejsce na pracownię kierującego profesora, to od roku 1850 do 1871 sala rzeźbiarska świeciła pustką spalonego gmachu. Porysowane ściany groziły zawaleniem antyków, wiatr wkradał się oknami do wnętrza, i trzeba było wytrwałości uczniów i profesora ażeby tam pracować. Pensye zastępców profesorów były tak niskie jak fundusze na potrzeby szkolne, dosyć powiedzieć że szkoła malarstwa i rysunku miała roczną dotacją na modeli cztery godziny dziennie pozujących, na koszt oświecenia przy rysunku wieczornym, na potrzeby wykładów sumę 175 złr. czyli 700 złp.; posiłkowano się podobnymże funduszem szkoły rzeźbiarskiej, kiedy przychodziło coś ze sprzętów lub gipsów sprawić. Jakże smutny stan przedstawiały sprzęty szkolne!

Ażeby dać obraz płac nauczycielskich, dosyć powiedzieć że autor niniejszej pracy zajmuje dotąd (1875) pięć posad w szkole, to jest profesora malarstwa, profesora rysunku, nauczyciela anatomii, perspektywy i historii powszechniej, prowadzi przytém rysunek akademicki zajętym będąc stale codziennie godzin pięć; ma za całe wynagrodzenie około 1300 fl. wal. au. Assystent Szynalewski pobierał do niedawnej chwili 250 zł. austriackich rocznie! Professor Kremer 400 fl. za wykład historii sztuki, godny tak znakomitego imienia profesora; cóż mówić o tak niskich stypendyach dla uczniów wyjeżdżających do stolic europejskich, które zaledwie broniły od głodowej śmierci.

Nie można jednak zaprzeczyć, że pomimo stanu prowizoryczności w jakim znajdowała się szkoła, pożytek z niej dobrze znanym był rządowi; owszem znajdowała ona uznanie tak władz miejscowych jak namiestnika Galicyi świętej pamięci hr. Agenora Gołuchowskiego. Nawet akademia sztuk pięknych Wiedeńska, litując się nad losem szkoły o małych zasobach, ofiarowała mały zbiór odlewów z antyków, a niejednokrotnie spotykały ją dary w publikacjach artystycznych.

Położenie jednak szkoły i profesorów nie zmieniało się w niczem, wszelkie udawania się do rządu o organizację nie otrzymywały żadnego rezultatu, znikła nawet jej nadzieja.

Jakoś panowało długi czas to przekonanie w ministeryum oświecenia, że całe starania winny się zwracać ku akademii sztuk w stolicy Państwa, że akademia ową wystarczyć winna na potrzeby wszystkich krajów koronnych. Zakładania szkół sztuk pięknych na prowincyi nieprzeznaczono, ale kosztów utrzymania rząd ponosić nie chciał, pozostawiając to sejmom prowincjonalnym, albo nawet instytucjom prywatnym. Rząd gotów był wtędy dopomóc pewną subwencją.

Był więc szkoły był zawsze zagrożonym, pomimo tego dyrektor techniki umiał wyzyskać ową lokalność na pomieszczenie szkoły

w nowo budującym się gmachu uniwersyteckim dla chemii. Całe prawie piętro drugiego głównego korpusu, i skrzydło prawe budynku, przypadło w dziale szkole sztuk pięknych, przez co zyskała ona nie tylko stosowniej urządzone światło, ale osobne sale na zbiór antyków, salę wykładową i gabinet professorski. Jest to gmach w którym obecnie szkoła się mieści; przeniesienie się do niego z bursy muzycznej czyli kolegium minus, nastąpiło wśród zimy w końcu 1870 roku w lokal zaledwie co skończony w budowie, tak wilgotny że ściany lodem pokrywały się, a jednak spieszono się znaleźć jak najprędzej pod jednym dachem z rzeźbiarnią, która od lat wielu wyłączne miała zdala od malarstwa umieszczenie.

I oto szkoła nowy jeszcze zyskuje nabytek, jak mówiliśmy powyżej; nauczanie krajowidoków należało do obowiązków profesora rysunków w gimnazyum, a po objęciu profesora Dembowskiego posady w szkole realnej, katedra ta była opróżnioną. Rada szkolna krajowa, czuła się upoważnioną do narzucenia szkole profesora, którego gimnazyum zanominowało; wtedy ministeryum oświecenia, odłączwszy obowiązek nauczania krajowidoków, mianowało professorem krajowidoków dla szkoły sztuk pięknych Henryka Grabińskiego.

Winniśmy zakończyć historję przedostatniej epoki szkoły, wspomnieniem wystaw szkolnych, wolimy jednak wyręczyć się tu zdaniem znakomitego krytyka sztuki Lucyana Siemieńskiego, którego o stronnicze dla szkoły zapatrywania posadzać nigdy nie godziło się; pisze on zdając sprawę z wystawy szkolnej z r. 1870, utworzonej jeszcze w dawnym lokalu: „Dziwić się nieraz przychodzi, jak niektóre zakłady utrzymują się u nas, a nawet kwitną w stosunku odwrotnym do ich środków. Co mogłoby prowadzić do paradoksu, że im mniej instytucja jaka jest uposażoną, im z liczniejszymi trudnościami walczyć jęj przychodzi, tém energiczniej się rozwija.

„Być może zresztą, że wychowani w długiej szkole przeciwności umiemy tylko walczyć z niedolą, a w pomyślności zalegamy pole, lub gonimy za jaką bańką mydlaną.

„Jeżeli teorya ta trudną jest do obrobienia w wielu przypadkach a nawet niezastępującą na obronę pod względem prostej praktyki, to ze strony moralnej wzięta, zbyt często daje wymowne zaprzeczenie owęj zasadzie, że instytucje osobliwie naukowe i wychowawcze, podnoszą się tylko wielkimi uposażeniami.

„To pewna, że gdzie nie ma miłości nauki tak między nauczającymi a uczącymi się, gdzie celem jest tylko zadosyć uczynienie przepisanych formalnościom, a po dopełnieniu ich umiejętność kwalifikująca do chlebobodajnej posady w kąć idzie, jako wyzyskany środek, tam nie powiem żeby instytucja była czém więcej, jak fabryką dostarczającą tandetnego wyrobu.

„Szereg tych uwag, nie wiem trafnych lub nietrafnych, sprawiedliwych lub niesprawiedliwych nasunął mi się, gdy m poszedł zwie-

dzić wystawę Szkoły sztuk pięknych, mieszczącą się w tym samym lokalu, gdzie odbywają się wykłady i gdzie uczniowie rysują.

„Dwie szczupłe izdebki na drugim piętrze bursy muzycznej, obszerniejsza nieco sala, oto przybytek, z którego już wyszło gronko tak usposobionych artystów, że nazwiska ich przebiły się za granicą przez ciżby imponujących współzawodników.

„Okoliczność nie małej wagi, bo już tu partykularyzm nie idzie w rachubę; znaczenie jego ustaje. Usposobienie zatem jakie daje ta uboga Szkoła sztuk pięknych, musi być tej wartości, że z nią można się przebić w tym świecie artystycznym, gdzie rywalizacye, zazdrości, panujące mody, kamraderye, wreszcie duma narodowa, tworzą przeszkody nie łatwe do przewyciężenia.

„W szczupłym tym i nie zastosowanym do potrzeb lokalu, dwóch nauczycieli miewa wykłady teoretyczne i pod ich kierunkiem dwudziestu kilku uczniów rysuje i maluje to z wzorów, to z gipsowych, to z żywych modeli. Jak się tam mieszczą i wykonywać mogą roboty, do których potrzeba i dobrego światła i przestrzeni? pozostanie zagadką, w rodzaju tej, o której Wincenty Pol mówi w pieśni „O ziemi naszej,“ że ściany szczupłego domku mogą pomieścić najliczniejszych gości, bo na ich przyjęcie rozszerzają się.

„Aczkolwiek szkoła ta, mogłaby być sobie szkołą, jak tyle innych, to jest nosić tytuł lecz się o rezultat nie troszczyć; jednakowoż dość jest przejść się po tej wystawie robót jej uczniów, zapelniających od góry do dołu ściany tych dwóch pokoi i trzeciej sali, aby pomyśleć w duchu: ta młodzież darmo kaszy nie jadła, nauczyciele nie byli od parady! To mnóstwo rozwieszonych rysunków, akwarell, olejnych studyów; te znowu próby rzeźb zajmujących skromniejszy oddział: wszystko to nosi cechę skromnego wyboru, jest już owocem wprawy i umiejętności, a zatem nie są to początkowe łamanie się, niefortunne koszlawe rysy nieposłusznej ręki. Całość przedstawia taki stopień ukształcenia i usposobienia, że już ma otwartą drogę do tego punktu, gdzie namaszczenie artystyczne zaczyna się samodzielnie objawiać.

„Zdaje się że od szkoły tak skąpo uposażonej w nauczycieli, w zbiory antyków i galerye, nie mającej za co utrzymać tyle żywych modeli, aby o ile można studyować najwięcej z natury; nietylko niepodobieństwo jest wymagać większych rezultatów nad te, które daje, lecz owszem podziwiać trzeba tę energią i zamiłowaniem tak w nauczycielach jak w uczniach, jaka złożyła swoje świadectwo w tej wystawie.

Zrobiwszy jej przegląd, tu następuje wykaz prac. Poczem pisze p. Siemieński dalej. „W ogóle o tej najważniejszej części umiejętności malarskiej powiedzieć można, że jest tu przedstawioną w sposób bardzo zadawalniający. Dobry rysunek, to żywot na treść nauki.

„Na tém jedném mogłaby już poprzestać Szkoła sztuk pięknych, gdyby miłość sztuki dała się ograniczać, żądze zdobywania jej tajemnic powstrzymać. Lecz oto przed nami kilkudziesięciu przestrzeń

wszerz i w wzdłuż pokryta głowami studyów z natury, powiada nam, że malarstwo traktuje się tu w całej rozciągłości.

„Niektóre z tych głów noszą wybitny charakter i malowane są szeroko, a *la prima* z pewną werwą i śmiałością. Maniera lizana rzadko się spostrzega. Szczupłość miejsca nie dozwoliła odosobnić każdej głowy; jedna siedzi na drugiej, wszystkie bez ram, co bynajmniej nie wychodzi na ich korzyść; pomimo tych nieprzychylnych warunków, o ileż lepsze są te studia od tych portretów, które dawniej u nas malowano, a jakie często spotykają się po domach prywatnych.

„Ależ nie tylko studium człowieka stało się zadaniem téj szkoły, cały jeden pokój zapełniony studjami pejzaży. Są tam drzewa i widoki kopiowane podług dobrych wzorów, są robione z natury ołówkiem, akwarellą, olejno. Niektóre wcale udatne, mianowicie pejzaż pana Grammatyki, który w tym rodzaju zdaje się być najbardziej zaawansowany. Aczkolwiek pejzaż wymaga zupełnego oddania się temu rodzajowi, czerpiącemu główną umiejętność w studjach natury, co rzeczywiście trudnym jest do przeprowadzenia w szkole, jednakowoż i w tym kierunku spotykają się tu szacowne próby i już wskazaną jest droga, jaką dochodzi się aby umieć pędzlem tłumaczyć podpadające oku widoki i przedmioty. Kilka akwarelli wcale nie źle jest skopiowanych, w czém widać usiłowanie przyswojenia sobie tego sposobu malowania, który u nas jeszcze stoi na niskim stopniu.

„Część jedna wielkiej sali oddzielona przepierzeniem mieści nie liczny wprawdzie, ale godny uwagi zbiór rzeźb. Są tu głowy, torsy, figury naśladowane z antyku, są medaljony i figury z natury zrobione, są drobne grupy z gliny. Drobne te figury polepione z gliny, mimo że się popaczyły, mają wiele charakteru i myśli kompozytora tłumaczą.

„Bardzo cenimy ten wyborny kierunek szkoły, że nauczyciel potrafił obudzić w uczącej się młodzieży zamiłowanie do każdego rodzaju sztuki, i że ci co się uczą malarstwa nie zaniedbują ćwiczenia się w modelowaniu z gliny. Jestto dobra tradycja po starych mistrzach a i po nowszych, którzy chcieli się wznieść do wysokości dawniejszych; mieli oni bowiem zwyczaj, przed rzuceniem na płótno jakiej postaci schwyconej w wyobraźni, wprzód wymodelować z gliny, aby takowa stała im przed oczyma w pełni swych kształtów.

„Opowiedzieliśmy tu wrażenie jakie zrobiła na nas wystawa malarstwa i rzeźby w Szkole sztuk pięknych. Gdyby to były popisowe roboty, może bylibyśmy oszczędniejsi w pochwałach; lecz nie są one takimi: uważać je tu trzeba za dokumenta całorocznej pracy, w których niema pretensyi ani do efektów, ani do mistrzowskich pędzla pociągnięć, ani do jakiegóś manieri pożyczanej od kogoś; lecz jest ta usilność, aby sumiennie odpowiedzieć zadaniu i nauczyć się podstawy wszystkiego, to jest: umieć patrzeć i co się widzi, odrysować z wierną ścisłością.

„Słowa te powyższe, jak mniemam, nie zrodzą w młodych umysłach tój nieszczęśliwej, a często spotykanej zarozumiałości, która doszedłszy do pewnego punktu wprawy, przestaje na tém i sztuce robi służebnicą rzemiosła; kiedy przeciwnie prawdziwy sztukmistrz do końca życia nie przestaje się uczyć: świat sztuki jak świat myśli niema dla niego zamkniętych granic, każdy dzień przynosi mu nowe zdobycze”¹⁾).

W roku 1873 zbliżyła się długo przewidywana chwila, rozchodziły się pogłoski, że rząd zamierza szkołę powyższą znieść, zastępując ją szkołą rysunkową rzemieślniczą i chciał oddać takową Towarzystwu sztuk pięknych lub innemu stowarzyszeniu. Znane są głosy, publicznie broniące zasług tój drobnej instytucyi, znana historia powołania na dyrektora szkoły, znakomitego mistrza Matejkę i oto zbliża się chwila czwartej epoki „usamowolnienia szkoły,“ postawienia pod kierunkiem tego, którego Europa cała oznakami uznania najwyższego obdarzać nie przestaje. Rówiennica warszawskiej i wileńskiej szkoły, nie umarła jak tamte, ale powołana do nowego życia, urasta w instytucyą zapewniającą przyszłość sztuce w kraju naszym.

Dzieje tój nowój Szkoły sztuk pięknych rozpoczęły się z chwilą wejścia Matejki, a jakkolwiek oczekuje ona dopiero na potwierdzenie projektu organizacyi, którą mistrz podyktował, miejmy nadzieję że urośnie ona w wielką, a historia jój przestanie być partykularną i należyć będzie do dziejów europejskiej sztuki.

Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom drugi.

III.

W smutną nawet porę jesienną, gdy drzewa są z liści odarte, trawy wyschłe, niebo szare, a cała natura zda się mar-

¹⁾ Dziennik „Czas”, N. 169 z roku 1870.

twą i obumierającą; krajobraz około Pirny, nad brzegami Elby zachowuje swój urok majestatyczny. Rzekłbyś ruina jakiegoś starożytnego świata, prawy brzeg rzeki naprzeciw miasteczka, które po nad lewym się rozkłada, ze swemi popękanemi, szaremi, wysokimi piaskowca ścianami, poroślemi lasy i krzewami, z jodłami i sosnami czatującemi na wierzchołkach, przeglądający się w rozlanych wodach, ludzi jakoby pozorem zwalisk, jakiegoś zapomnianej budowy. Elba wije się tu od Czech płynąc, jakby chciała coraz nowe zwiedzać zakąty, jakby pragnęła się ukryć a nie mogła, dopóki na szersze nie dobywszy się równiny, nie rozleje po łąkach, zobojętniała i spoważniała wlokąc się pod mury stolicy. Pirna ze swemi murowanemi domkami poczepianemi nad nierównym brzegiem, stoi na straży rzeki.

Wąwozy, góry sąsiednie, parowy, wysoka skała na której niezdojta twierdza Königsteinu siedzi, Lilienstein piętrzący się do góry, cała okolica nadelbiańska czynią położenie warownem i dla nieprzyjaciela niedostępnem. Nie można też było lepszego znaleźć miejsca dla wojsk saskich, które zbliżone do czeskiej granicy, mogły bez przeszkody się połączyć z oddziałem austriackim generała Wied, aby stawić czoło pruskiemu wojsku Fryderyka. Nad brzegiem rzeki widać było rozbite obozy, namioty, szałas, mnóstwo ładownych wozów, stada koni i wszystko co wojsku potrzebnem być może. Gościniec od Drezna zajmowały przednie straże i wysunięte placówki.

W najpiękniejszym z murowanych domów miasteczka, który Brühl urządzić kazał na pomieszczenie króla, ostawionym strażami dokoła, August III bawił już od dni kilku, dosyć podrażniony położeniem, w którym się znalazł całe niespodzianie. Książęta Karol i Ksawery znajdowali się przy nim: Brühl był nieodstępny. Pierwszy z nich żywy, ognistego temperamentu, niecierpliwy; drugi łagodniejszy choć w nim też krew rycerska grała, byli ulubieńcami ojca i matki. August III w Karolu przypominał sobie naturę ojca, Józefina pieściła Ksawera, który był mniej śmiały i posłuszny.

Obaj królewicze również jak król znękanymi byli i upokorzeni wygnaniem ze stolicy, przymusem tym, który Brühl jako chwilowy tłumaczył i wiodący do niezawodnego tryumfu.

Król spędzał tu dnie, które mu się długimi nad miarę wydawały; pozbawionym był wszystkich swych zwykłych roz-

rywek, opery, strzelania, myśliwstwa, galerii obrazów, towarzystwa Ojca Guariniego i tego życia zegarkowego, do którego był nawykły.

Pomimo listów, które mu do podpisywania dawano, mimo wygnania tego do Pirny, August III nie wiele wiedział co się z nim i dokoła niego działo. Minister malował mu to w barwach świetnych, jako chwilową nieprzyjemność tylko, która się długo przeciągnąć nie mogła.

Dwunastego września, król po obiedzie siedział z fajką w szlafroku w izbie, na której kominie palił się ogień jasny. Jeden z jego błaznów, gdyż drugi chory w Dreźnie pozostał, siedział skulony w kątku pilnując ogniska. Przeddrzwi napwół naprędcie grubą portierą przysłonionych, widać było w sąsiednim pokoju gromadkę dworskich i wojskowych. Cisza panowała około domostwa, przed którym chodziły straże. Królewicze oba wyjechali z Rutowskim do obozu.

Blady, z twarzą zniekaną i chmurną wszedł minister, napróżno usiłując ukryć w sobie doznane świeżo wrażenie. Właśnie przez szpiega odebrał od Globiga szczegółowy opis zajęcia Dreznia, odbicia archiwum i rabunku własnego pałacu. Na licu jego nie nawykłém od dawna do gwałtownych wstrząśnień, znoszącém bez zmarszczenia powszednie życia bóle i zadraśnięcia, znać było przejście burzy, która po sobie zostawiła ślady zniszczenia. Oczy były wpadłe, usta ściśnięte, czoło przygarbione, a choć na chwilę odzyskując przytomność przymuszał twarz by wróciła do zwykłego spokoju, wnet roztargnienie i zapomnienie na siebie wykrzywiało ją gniewem i troską.

Przestępując jednak próg królewskiego pokoju, potarł dłonią po czole, jakby z niego chciał zmieść ślady smutków. Król odwrócił głowę, Brühl kłaniał się i uśmiechał.

— Brühl—odezwał się August III, wychodząc jakby z zamyslenia—Brühl powiedz ty mnie, pókiż to tego będzie?

— N. Panie!—rzekł po namyśle minister—nie można nigdy dokładnie oznaczyć trwania takiego przesilenia. Jesteśmy w chwili, która decyduje o przekształceniu Europy, o przywróceniu Saxonii jej dawniej potęgi i blasku.

To bez ofiar przejść nie może.

— Tak, tak—odezwał się król—to pewna; ale ten Fryderyk, ten Fryderyk, który sobie tak pozwala.

— Rozpacz go ogarnęła, N. Panie—odezwał się minister—potrzeba mu przebaczyć szaleństwo: to są ostatnie podrygi bezsilności.

— Dobrześ się wyraził—wtrącił król—uważałeś kiedy, gdy odyniec zabity i oszczep mu w bok pakują, jak się rzuca, jak kłapie zębami; ale to nic nie pomoże.

— Ani Fryderykowi téż jego zuchwalstwo, za które opłacić musi. Cesarzowa się postara aby go ogłoszono wywołańcem, całe Niemcy pójdą nań, Francya, Rossya, Austrya, my, Szwecya. Jakże się potrafi obronić?

— Tak, to prawda, Brühl—rzekł król—ale dlaczegóż ja muszę siedzieć w Pirnie? Patrzaj jak tu paskudnie, pfe i nudno. Ja do takiój dziury nie nawykłem.

— A! N. Panie, nikogo to tak nie boli jak mnie—zawołał minister—mnie najwierniejszego sługę W. Kr. Mości, któryby gotów wylać krew swoją aby Panu najdroższemu jedną minutę przykrości oszczędzić. Niestety! są takie wypadki.

— Słuchaj, ale w tym lesie—odezwał się król—tam na brzegu przeciwnym, tam są świnię dzikie: słowo ci daję. Gdyby można zapolować!

Brühl się zamyślił.

— Będziemy się starali polowanie urządzić.

— A co z Drezna? były tam jakie wiadomości? Nie przywieźli dla mnie moich myśliwskich przyborów?

Minister westchnął i spuścił głowę.

— N. Panie, zdaje mi się że Prusacy chwilowo zajęli Drezno.

August III fajkę rzucił o ziemię, po którą zaraz paż przybiegł, i krzyknął:

— Odważył się....

— To rozpacz go prowadzi, N. Panie.

— No, patrzaj—że! byle mi moich obrazów nie pokonfiskował. Człowiek w rozpaczy i na to gotów.

— O obrazy się nie lękam, gorzej—szepnął Brühl—żeśmy archiwum wywieźć nie mieli czasu.

Król ręką machnął.

Zdawało się go to mniej obchodzić niż obrazy.

— To szczęście—rzekł—że ja tę Magdalenę Corregia zabrałem z sobą. Wszak jest tu z nami?

— Jest N. Panie, upakowana doskonale: Heinecken kazał na nią zrobić pudełko.

Zamyślił się mocno August, i dodał cicho:

— On ciebie bardzo nie lubi—rzekł—bardzo zły na ciebie; jeżeli już weszli do Drezna, no to oni tobie szkody na robią więcej niż mnie. Biedny Brühl!

Westchnął minister.

— N. Panie, z pałacu mojego już pozostała ruina tylko. Król ręce załamał.

— To barbarzyńca! Dla niego nic świętego nie ma! To bezbożnik! A! co za szczęście żem zabrał Magdalenę Corregia, bo na majestat Rafaela, tak jak na majestat królewski porwał się nie będzie śmiał. Mówisz że ci pałac splądrowali. A galeryę?

— Bosza ją wykupił zapłaciwszy 10,000 talarów.

— Ja ci to powrócę Brühl—rzekł król wzdychając—ja wiem że ty to cierpisz dla mnie. Niech tylko tego pyszałka zgniotę...

Łzy zakręciły się w oczach króla, który powoli poszukał fotelu za sobą, siadł, podparł się na rękę i odezwał tęsknie:

— Masz słuszność; kiedy tak, to na te dzikie świnię polować nie wypada, póki Prusaków się nie pozbędziemy.

I była chwila milczenia.

— To nam tu w tój głupiej Pirnie gotowo wszystkiego zabraknąć—dodał król.

— N. Panie! mojem zdaniem—odezwał się minister—zdrowie i spokój W. Kr. Mości droższe są nad wszystko. Kraj się podźwignie po tych klęskach, byle pańskie na tém nie szwankowało szczęście i należne mu zaspokojenie potrzeb ciała i ducha. Wkrótce ma się rozpocząć sejm w Warszawie, gdyby nawet Prusacy nie byli weszli do Saxonii, zawszebyśmy byli zmuszeni wybrać się do Polski.

— Tak, tak—rzekł król—mieliśmy polować na niedźwiedzie i łosie.

— Dlaczegożbyśmy teraz zaraz nie udali się tam. Przesilenie—mówił Brühl—trwać długo nie może: N. Pan nie potrze-

bujesz tu być osobą swoją. Można by udać się do Warszawy i tam oczekiwać rychłego rozwiązania sprawy.

— Którędy?—zapytał król—hę? a gdzie ja teraz sto trzydzieści koni znajduję na przepręgi?

— Zdaje mi się że król Fryderyk, przez Szląsk i Wrocław drogi dopuści: nie będzie śmiał zatrzymywać króla polskiego.

— Masz słuszość—odparł August—jednakże, hm? jeśli by Austriacy nam w pomoc zaraz przyszli, a nasze 30,000 żołnierza połączyły się z niemi, żebyśmy tego najezdника ścisnęli i wrzucili do Elby, a mogli w przyszłym tygodniu powrócić do Drezna? Królowa musi być bardzo niespokojna, hm?

Brühl westchnął, nic nie umiając odpowiedzieć na tak zuchwale żądanie. Nie śmiał też całej prawdy oznajmić królowi zwykłym będąc do oszczędzania mu zmartwienia i ukrywania jej połowy, ażeby zarazem zmniejszyć winę swoją.

August III kazał sobie podać fajkę, palił ją i wzdychał ciężko. Niekiedy coś do siebie pomrukiwał niezrozumiałego.

Wtém w przedpokoju głośno się dało słyszeć stąpanie. Brühl przestraszony żywo podbiegł ku drzwiom, w których pokazała się chmurna twarz generała Rutowskiego.

— Generale!—szepnął mu—na miłość Bożą, nic nie mówcie królowi.

— Ale dosyć już tego!—zawołał stłumionym głosem Rutowski—Nie pora....

To mówiąc zlekka odtrącił ministra i żywym krokiem zbliżył się do Augusta III, który go witał uśmiechem. Rutowski był, mimo uszanowania jakie okazywał Augustowi, dosyć poufale z bratem.

— N. Panie!—odezwał się—hrabia musiał już choć część złych nowin z Drezna udzielić. Wiadomości są złe, są szkaradne. Prusacy zajęli Drezno, Fryderyk odbił archiwum....

— Wiem—rzekł król—wiem, i zrabowali tego nieszcześliwego Brühla, wszystkie te śliczności, z których ja byłem dumny.

— Ale co za zuchwalstwo, targnąć się na królowę!—zawołał Rutowski.

Brühl zapóźno dotknął ręki generała, aby go powstrzymać; może też nicby to nie pomogło. August za głowę, a ra-

czéj za perukę się chwycił, obejrzał dokoła i rzucił ku Rutowskiemu.

— Na królowę!—zawołał—jak to być może?

— Królowa osobą swą chciała bronić wnijsćia do archiwum. Z rozkazu Fryderyka żołnierze ją porwali i odprowadzili.... Śmieli targnąć się na majestat....

Zakrył król oczy i płakać zaczął: Brühl ukląkł przed nim.

— N. Panie! pomścimy się téj zniewagi... niech się W. Kr. Mość nie gryzie a szanuje swe zdrowie...

Rutowski niespokojny przeszedł się krokiem żołnierskim po pokoju.

— Dla wojska niema żywności!—zawołał—nie starczy nam sił, aby obsadzić przejścia wszystkie.... któż więc, co się stać jeszcze może..

Brühl przyskoczył od króla do generała.

— Na miłość Bożą, nie malujcież nam tak czarno położenia. Za dni kilka połączymy się z generałem Bourem.. Na to długiego czasu nie trzeba.

Rutowski ramionami ruszył....

August milczał zatopiony w sobie.

— Barbarzyńca!—powtórzył pocichu—dziki człowiek. Brühl, napisz do niego list... silny... ja go natychmiast podpiszę. Niech Bellegarde jedzie, albo ktokolwiekbądź.

— List! jemuby kulę nie list posłać trzeba—rzekł Rutowski—toby jedno poskutkowało.

Szczęściem jakoś nadeszła chwila podwieczorku, król ruszył milczący spełnić ten obowiązek i rozmowa się przerwała. Rutowski po kilka razy wtrącał jakieś słowo, ale August udawał że nie słyszy i nie odpowiadał.

Dosyć długo potem minister przy królu pozostał, sam na sam z nim, pocieszając go umiejętnie, tak że gdy nadeszła snu godzina, August III po wieczorném winie, zwaném „Schlaf trunkiem“ prawie uspokojony poszedł za kotarę.

Brühl ustawiwszy strażę wysunął się do sąsiedniego domu. Dano mu znać w progę, że posłaniec od żony czekał z Drezna. Był to przebrany włos Rotti, używany do posług różnych, zręczny, przebiegły, śmiały i gotów na wszystko dla hrabiny, której był ulubionym sługą. Ażeby wydobyć się z Drezna,

musiał przywdziać łachmany rybacze, w których go poznać było trudno: piękny i w sile wieku mężczyzna wydawał się prawie starym.

Brühl ze świecą musiał przystąpić blisko, aby być pewnym iż on jest nie kto inny.

Rotti miał na plecach nalepiony plaster, pod którym było pismo hrabiny. Nie listem je ale rodzajem dziennika nazwać było można. Godzina po godzinie zdawała sprawę w wyrazach krótkich, suchych, z tego co się w mieście działo. Dyaryusz ten mimo swój zwięzłości, choć nie zawierał jednego wyrazu narzekania, choć zdawał się pisany z krwią zimną protokółisty, przejmował jakąś grozą. Brühl czytając go bladł, rumienił się i wstrząsał, gryzł wargi, wreszcie rzucił go na stół i twarzą ku stojącemu obrócił.

— Mów! — rzekł.

Rotti ręce roztworzył, głowę zwiesił, ramiona podniósł.

— Przepadło wszystko — rzekł — oni tam panują! Pałac zburzyli ze szczętem, zrabowali; zabrali co zabrać było można, czego wziąć niepodobna, zniszczyli. Król sam był tam w czasie rabunku.

— To nic — przerwał Brühl zimno. — Ha! zwierciadła i porcelana kupują się za pieniądze. Co więcj?

— Archiwum — rzekł Rotti stłumionym głosem.

— To wiem — odezwał się minister — co więcj?

— Kassy zabrano wszystkie, ministrom zapowiedziano uwolnienie.

Brühl się uśmiechnął.

— Ale ich nie wypędzono?

— Nie. W. Ekszellenca mieć będzie pewnie od hr. Loss osobną wiadomość.

— Teatr i aktorowie rozpuszczeni! — dodał Rotti. Sam widziałem Hessego; wybiera się do Włoch napowrót: drudzy jeszcze nie wiedzą co zrobią z sobą.

— Powiedz im niech poczekają trochę — szepnął Brühl — gospodarstwo to nie potrwa długo; przyjdziemy z Austryakami do Drezna, i wygonim tych intruzów.

Rotti westchnął.

— Oni bo się tam rozsiadają na dobre; — rzekł — słyszałem że posłano do Magdeburga i Elbą mają sprowadzić, kto

ich wie, mówią 250 dział żelaznych, dla obsadzenia murów i wałów: znać się chyba bronić myślą.

Rozśmiał się Brühl pogardliwie.

— To plotki — rzekł — wszystko wam w oczach rośnie. Rotti zamilkł.

— Kiedy powracasz do Drezna? — zapytał po namyśle.

— Gdy mi W. Ekscellencya każe i gdy będzie podobna się dostać jakkolwiek do niego, bo teraz ani wydobyć się, ani dobić nie łatwo. To mówiąc westchnął. — Boże! — dodał — ktoby się był takich na nas losów spodziewał?

Brühl ręce złożonywszy, oczy podniósł ku niebu pobożnie.

— I my i losy nasze w rękach Bożych: modlić się trzeba, aby nam Opatrzność pomoc zesłała!

Zbudowany tem wielce pobożny Włoch westchnął także całą piersią, ale już usposobienie ministra się zmieniło; myślał snąc o czém inném, zbliżył się do Włocha i rękę położywszy mu na ramieniu, szeptać począł:

— Mój Rotti, musisz wziąć z sobą kartkę do hrabiny i do Globiga; ale pamiętaj jeśliby cię schwytano, połknij je a nie daj im w ręce: idzie o twe życie, o króla, o mnie...

— Nie bójcie się — odparł Włoch, — pisma rąk dojdą, choćbym ja miał zginąć!

IV.

W dolnej izbie sklepionej, na królewskim zamku w Dreźnie, od której jedno kraciaste okno, oddawna ręką ludzką nietknięte, z nieprzezroczystymi szybami, wychodziło na dziedzińce, o wieczornej godzinie znajdowało się osób kilka, potajemnie tu zgromadzonych. Jedna świeca paliła się na przymurku, mówiono pocichu... u drzwi stały strażę... oglądano się niespokojnie za najmniejszym szelestem. Przy świetle słabém, które rzucała woskowa świeca, w ciężkim srebrnym osadzona lichtarzu, chwilowo tu przyniesiona, trudno było twarze osób rozpoznać. Izba znać oddawna za skład niepotrzebnych sprzętów służąca, zaniedbana, brudna, ze sklepieniem okopconém, przedstawiała się jakby więzienie, smutną i opuszczoną. Stół przy ścianie, kilka prostych stołków, w kątach resztki niedo-

palonych pochodni i drągi jakieś czarne, na kamiennój posadzce ciemne wałki jakichś starych opon i płócien rudych... powiązanych sznurami... składały wszystek sprzęt tój kryjówki, o której w zamku nawet mało kto wiedział. Miała ona niegdyś różne przeznaczenia za przeszłych kurfirstów i pocichu opowiadano o niej krwawe i straszne dzieje. Od Augusta Mocnego, a szczególnie za jego syna, służyła tylko stróżom zamkowym za skład łąmu, którego wyrzucić nie chciano, a chować staranniej nie było warto. Dwoje drzwi, jedno od dziedzińca zawsze zatarasowane, drugie od wnętrza i sieni, do której wschodów kilka schodziło, dozwalały przemknąć się tu niepostrzeżenie. Dlatego może tego wieczora zebrały się tu osoby, które ani widziane ani podsłuchane być nie chciały..

W jednej z nich łatwo poznać było hrabinę Brühlową, która postawą dumną i głową podniesioną zdawała się tu dowodzić i rozkazywać. Drugim był baron Spörken... w tój chwili widocznie niespokojny, podrażniony, ciągle oczyma biegnący ku drzwiom, z nachmurzonym czołem i krwią nawisłą.

Obok niego stał drżący i blady kawaler de Simonis, zdający się tylko przymuszonym świadkiem narady, czyniącój na nim wrażenie przerażające. Tarł niekiedy ręce i perukę, przestępywał z nogi na nogę, zakładał dłonie na plecy, chował je po kieszeniach, nie wiedząc co z sobą zrobić i z niemi.

Naostatek opodal nieco widać było nieznajomą jakąś postać, z twarzą wyschłą i pomarszczoną, choć nie starą, z biegającymi oczyma, ale wyrazem zaciętości w ustach i całej fizjonomii, stojącą jakby w oczekiwaniu na rozkazy. Człowiek ten ubiorem stanu nie zdradzał, odziany był suknią widocznie dla niepoznaki włożoną, która doń nie dobrze przystawała, a na wierzch zarzucony miał płaszcz gruby podróżny.

Hrabina Brühlowa, generał Spörken i biernie tylko posługujący im Simonis, naradzali się jeszcze pocichu. Po krótkich szeptach, hrabina wystąpiła naprzód i zbliżyła się do oczekującego.

— Panie Glasau!—rzekła pocichu.

— Po co wymawiać moje nazwisko—opryskliwie prze-rwał stojący—po co? to do niczego niepotrzebne.

— Waćpan jesteś Sasem, byłeś nim przynajmniej; zachowałeś pamięć o tém: chcesz służyć królowi?

Glasau głową tylko skinął na znak zgody.

Brühlowa posunęła się kilka kroków dalej, prowadząc go za sobą w ciemny kąt izby, gdzie ani Spörken, ani Simonis słyszeć rozmowy nie mogli.

— Jesteś przy królu?

— Tak: jest nas kamerdynerów kilku.

— Ciągłe przy nim?

— A i tu i w obozie, nieodstępnie — rzekł Glasau. Uszy moje i plecy o tém świadczą...

Tu westchnął.

— Gotów waćpan jesteś na wszystko?

— Mówmy-no o warunkach — przerwał Glasau — ja duszy gubić nie mogę zadarmo. Prawda że król śmieje się i powiada iż duszy człowiek niema, ano tém bardziej ciała na męczarnie i zgubę nie myślę dawać.

— Przecież niema niebezpieczeństwa?

Glasau się uśmiechnął.

— Z nim? z nim? ale to człowiek co wszystko najgorsze zgadnie, bo sam do wszystkiego i najgorszego gotów. Cóż mi dacie? zapytał — co mi dacie?

— Co chcesz?

— Wiele chcę, wiele; a czegoż odemnie żądacie?

— Musimy wiedzieć, kiedyby go pochwycić było można. Często się z kilką ludźmi oddala i puszcza po nocach; przewodnik mógłby go wprowadzić w zasadzkę...

— Tak, zuchwały jest; to prawda — rzekł Glasau i opuścił głowę.

— Toby było najlepszym — dodała hrabina.

— A cóżby było najgorszym? — bąknął nie patrząc jęj w oczy Glasau.

— Gdyby, gdyby — szepnęła pocichu Brühlowa — waćpan rozumiesz... biały proszek... w czekoladzie...

Ostatnie słowa wymówiła prawie niedosłyszonym głosem: Glasau głową potrząsnął, ale się nie uląkł wcale.

— Prawda, że ja mu noszę rano czekoladę — rzekł — ale ją czasem wprzódy pies wypije, nim się on do niej zbierze, a toby się wydało.

Szept niedosłyszany trwał jeszcze minut kilka. Glasau się zdawał targować.

— Nie, nie—rzekł w końcu—ja go wam dam żywego w ręce, tak będzie lepiej.

I zawsze rozmawiała z nim Brühlowa, aż kazała przystąpić Simonisowi.

— Przypatrz się temu panu,—rzekła—zapamiętaj jego rysy; ani ja, ani baron nie będziemy mogli inaczej komunikować się z wami jak przez niego.

Glasau podniósł oczy.

— To licha warto — rzekł—albo ja lub ów się omylić może, oczom wierzyć niebezpiecznie. Trzeba się umówić o znaki.

To mówiąc szybko począł ukazywać ręką Simonisowi, jak go ma witać, ile z kolei palców rozłożyć.

— Jednego znaku mało—rzekł—mógłby być przypadek: trzy, ledwie starczą.

Kawaler de Simonis znajdował się biernie, nie biorąc zbyt żywego udziału w umowie. Oczy hrabiny biegały po obu.

— Tak—dodał Glasau—już my się zrozumiemy.

Brühlowa dobytek rulon z worka który miała przy sobie i wcisnęła mu go w ręce, szepcząc coś jeszcze pocichu; Glasau się skłonił i pospiesznie ku dźwięm skierował.

— Znajdziecie tam tego co was tu przyprowadził—pospiesznie biegnąc rzekł baron—ten was też na bezpieczne miejsce dostawi. Glasau już brał za klamkę, generał wywiódł go do sieni i powrócił. Brühlowa zbliżyła się do Simonisa:

— Za waćpana ręczyła mi baronówna,—rzekła z cicha—choć zdaje mi się że na was było posądzenie żeście z Berlinem korrespondowali. Znalezione listy.

— Ja się ich nie zapieram—odpowiedział Simonis—było to wprzód, nim panna Nostitz podjęła się i dokonała mojego nawrócenia.

— Ale cóż nam ręczy za jego szczerłość?

— Pani hrabino—odezwał się spuszczać oczy Simonis—moją poręką jest baronówna, a jeśli mam otwarcie wyznać, mój własny interes. Gdzież większe szczęście spotkać mnie może?

Brühlowa uśmiechnęła się szydersko i poruszyła ramionami nieznacznie.

— Waćpanu Nostitzówna rękę swoją przyrzekła?—za pytała.

Simonis uklonił się milcząco.

— Tak, tego panu powinszować można—dodała—będziesz miał wielu przyjaciół, bo baronównie na wielbicielach nie zbywa.

Rzuciwszy ten sarkazm dojmujący, Brühlowa poparła go wejrzeniem czarnych oczów, które mimo katastrof tyłu, zalotnemi i wyzywającemi być nie zapomniały.

— Baronie Spörken—rzekła, obracając się do niego z kolei—cóż mówicie o tym człowieku?

— Ja go sam nastreczyłem—odparł baron—więc inaczej jak dobrze, mówić o nim nie mogę. Jakie wrażenie uczynił na W. Ekscelency?

— Człowieka, który na wszystko gotów, ale za dobrą zapłatą; nie zaręczyłabym jednak ażeby w chwili czynu się nie uląkł i nie cofnął.

— Nie sądzę—zawołał Spörken—na nicby mu się to nie zdało... kto mówi *a*, ten musi *b* powiedzieć... Raz wzięty w rękę, nie uciecze nam... Jak tylko przyjął pieniądze... wyszedł tu...

Brühlowa potakująco skinęła głową, palec położyła na ustach.. i zdawała się przysłuchiwać krokom, które słychać było w sieniach. Spörken żywo przysunął się do drzwi, wszyscy zamilkli i czekali. Kroki i szmer powoli w oddaleniu słabły, wkrótce znowu nastąpiło milczenie.

Brühlowa narzuciła zastłonę na głowę i poprosiwszy ruchem ręki o otwarcie drzwi, wysunęła się pierwsza. Spörken został chwilę z Simonisem, z którym rozmawiał jeszcze pociachu. Wypuścił go potem, wskazując ręką wschody... a sam wzięwszy świecę z przymurku, zamyślony wyszedł ostatni powoli.

Nie bez obawy widocznej wyśliznął się Simonis z téj konferencyi tajemnej i nie zachodząc do zamku, przez jedną z bram wysunął się zęcźnie w ulicę, tu dopiero swobodnie odychając;

nie rychło jednak przysłoniętą płaszczem twarz odkryć się ośmielił.

Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy posłyszał pozdrowienie, zdziwiony że go pociemku poznano. Był to Masłowski, który wyrósł jakby z ziemi: Simonis drgnął zdziwiony nieprzyjemnie.

— Nie mogę pojąć, jakeś mnie waćpan mógł poznać po nocy—odezwał się nie kryjąc zdumienia.

— A!—rzekł śmiejąc się wesoło Masłowski—najprzód my mamy kocie oczy, to rzecz wiadoma... w nocy widzimy doskonale, osobliwie kogo nam zobaczyć potrzeba; za to we dnie często nie dojrzymy, gdy nam kto zawadza. Powtóre, waćpan wiesz, kawalerze Simonis, my jesteśmy serdecznie przyjaciela, sympatia!

— Aha!—zawołał Simonis—ale ja byłbym waćpana miął nie poznawszy.

— Sympatyi dla mnie nie masz—odezwał się Masłowski, bez ceremonii biorąc go pod rękę—No, a wolno wiedzieć zkąd? z zamku?

— Jako z zamku?

— Nic, myślałem tylko.

— Cóżbym tam robił?

— No, podejrzewam waszmości zawsze o miłość dla frejliny, a ona tam przy królowej.

— Dla mnie niedostępna.

— Dla mnie téż—westchnął z przesadą Masłowski—jedne mamy losy, jedno cierpienie, jedno uczucia; musimy być przyjaciółmi. Różni nas tylko, że waćpan kochasz Prusaka... a ja...

— Sasów?—spytał Simonis.

— A gdzie tam! ktoby mógł jakiegokolwiek Niemca kochać. Niemkę... to co innego—zaczął wesoło Masłowski—Ale powiedzże ty mi szczerze, po przyjacielsku, ja cię nie zdradzę: na czém stanęło? czy zawarłeś alians z Prusakiem, czy z Austryą i Saxonią?

Simonis pytanie w śmiech obrócił..

— Myślę że masz do Prusaka słabość—dodał Masłowski—no, no, co komu do gustu... Mnie się tak zdaleka pa-

trząc w ulicy na tego kaprała zdaje, że musi śmierdieć, a ja mam powonienie nader drażliwe.

Simonis nie chciał się zdradzić, Masłowski niemiłosiernie go męczył.

— Przyjacielu mój!—dodał—nie rozumiem jak pogodzisz miłość dla baronówny z miłością dla króla Fryderyka. Dla logiki będziesz musiał się w stariej Nostitzowej zakochać, a to podobno trudno.

Kawaler milczał, szli tak dalej ciemną ulicą, Simonis aby się uwolnić od przyjaciela, skierował się milczący ku swojej kamienicy. Masłowski go odprowadził aż do progu. Tu powiedział sobie dobranoc, Simonis wszedł szybko do domu i drzwi za sobą zamknął. Zamyślony wstępował na górę, gdy go znowu, jak niegdyś, Gertruda za rękaw pociągnęła pokazując mu drzwi baronowej. Nie spodziewając się już tu dnia tego zastać Pepity, mniej chętnie posłuchał stariej sługi i wszedł na próg powoli.

Stara baronowa w boki się wzięwszy, co u niej wielce szczęśliwe oznaczało usposobienie, chodziła po saloniku uśmiechając się do siebie. Spostrzegłszy Simonisa dygnęła mu wesoło.

— Dobrze żeś przyszedł, mam coś dla waćpana—rzekła. I zbliżywszy się mu do ucha, szepnęła:

— Major Wangenheim czeka na waćpana na dole w pałacu Moszyńskich, ma ci coś do polecenia.

Simonis drgnął i zbladł.

— A tak! tak! miszą konfidencyonalną. Ja sama nastęczyłam mu waćpana. Możesz się teraz zasłużyć i dojść daleko. Proszę iść zaraz do niego, ażeby komu innemu tego niepowierzono.

Simonis nie mogąc się poruszyć stał wryty, położenie jego stawało się niewymownie przykrém. Jakkolwiekbydz, zdrajcą teraz być musiał nie sługą. Dreszcz po nim przebiegł. Nie prędko zebrał się na słowo....

— Pani baronowo—odezwał się jękając i nieśmiało—nieskończenie jój jestem wdzięczny, ale prawdziwie mam obawę; nie jestem pewny, doświadczenia mi brak, nie wiem czy potrafię sobie dać radę.

Pani Nostitz spojrzała nań urażona niemal.

— Przecież nie co innego ci dadzą do roboty, tylko to samo z czém cię tu moja poczciwa de Camas wysłała... Być może iż wypadnie się dostać do obozu do Pirny... ale cóż to znowu tak osobliwego: powiesz że cię Brühlowa przysłała... Toż samo że się tam dostaniesz, już zaufanie obudzi. Zdasz tylko raport z tego coś widział i słyszał. Major Wangenheim czeka na waćpana! Trzeba iść, i to zaraz.

Spojrzała na twarz nieszczęśliwego Simonisa i zawahała się widząc go tak straszliwie przełękłym, że ją litość nad nim wzięła. Rozśmiała się jednak wkrótce.

— Nie wiedziałam że z waćpana takie dziecko!—zawołała—ależ to w takich właśnie trudnych i zawiłych sprawach ludzie się dorabiają. Panu Bogu powinienesz dziękować i głowy nie tracić.

Simonis powiódł ręką po czole, na które kroplisty pot występował.

— Czy waćpan chcesz się tego podjąć, czy nie, to darmo — dodała napróżno wyczekawszy odpowiedzi. Trzeba iść do majora. Rozmówicie się z nim się o tém.

Kawaler opamiętał się nareszcie: nie było środka... musiał być posłusznym. W ulicy pożegnawszy go Masłowski, gdy się drzwi zamknęły, jak gdyby go przecucie jakie zatrzymało, czy chęćka szpiegowania Simonisa, odszedł wprawdzie powoli na stronę; lecz nie bardzo potrzebując spieszyć, chwilkę między kościołem a odwachem pozostał. Oddalił się zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy wśród ciszy nocnej posłyszał skrzyp otwierających się drzwi i zwróciwszy głowę, dostrzegł przy świetle ogarka, którym stara Gertruda przyświecała wychodzącemu Simonisowi, iż ktoś wymknął się z kamienicy. Nie był wcale pewnym iż to być miał Simonis, zatrzymał się jednak przytuliwszy do węgła ganku Frauenkirche, czekając aż się zbliży idący.

O killkanaście kroków z postawy i chodu poznał przyjaciela. Nie wysuwając się ze swój kryjówki, dał mu ją pominąć, wyprzedzić się o dobry kawał drogi i ostrożnie poszedł za nim.

— Prawdziwe szczęście—rzekł w duchu. Czekaj ptaszku! wyprawa nocna jest mi mocno podejrzana. Muszę wiedzieć przecie, dokąd o tój porze się wybrałeś.

Szedł więc nie spuszczać go z oka, unikając aby go niepostrzeżono. Pałac Moszyńskich stał naówczas wśród obszernego ogrodu, niemal za miastem, z widokiem niczem nie osłoniętym na dalekie góry. Z samego kierunku drogi łatwo było odgadnąć cel do którego prowadziła. Masłowski się wcale tego nie spodziewał: zawrzało w nim. Jeżeli zdrada się okaże, jutro go jak psa zastrzelę, zawołał do siebie. Mniej jednym takim jegomością na świecie, ludzkość na tém nic nie straci. Simonis oglądał się pilnie dokoła, nim przypadł do żelaznych sztachet i bramy, która w ogród i do pałacu prowadziła. Tu stała warta i spytała go do kogo idzie, Simonis szepnął że ma polecenie stawić się u majora Wangenheima. Żołnierz służył mu za przewodnika. Masłowski pozostał zdala na czatach.

Major Wangenheim, młody i przystojny mężczyzna, pomimo spóźnionej godziny siedział jeszcze w mundurze i przy szpadzie, gdy mu przychodzącego oznajmiono.

Spojrząwszy nań, zamyślił się nieco.

— Pani baronowa Nostiz mnie przysyła—odezwał się Simonis.

— Tak—rzekł sucho major—wiem, waćpan byłeś trochę znajomym Brühlowi i jego dworowi.

— Bardzo mało...

— Mogłoby dla waćpana być ciekawém zobaczyć co się tam w obozie dzieje?

Kawaler zmilczał.

— Mógłbyś waćpan zaofiarować hrabinie przeniesienie listu od niéj do męża, ale ten musiałby być mnie wprzódy zakomunikowanym.

— Hrabina wątpię by mi zaufała—odezwał się Simonis nieśmiało.

Wangenheim popatrzał nań.

— Jedném słowem—rzekł—mój panie, masz ochotę przynieść nam wiadomość z obozu i zanieść tam do naszych znajomych pewne rozkazy?

Simonis zmilczał.

— Będę posłusznym, gdy mi to nakazaném zostanie—odezwał się—lecz nie kryję tego iż mało mam wprawy i doświadczenia, i że na własną zręczność rachować nie mogę.

Major się rozśmiał wzgardliwie nieco.

— Zbytnią to skromność — odezwał się patrząc mu w oczy i badając go — w takich sprawach mało kto nabiera wprawy: ludzie się do tego rodzą. Krótko waćpanu powiem, ludzi nam braknie, potrzeba abyś jutro się wybrał, i jak najprędzej powrócił.

Na dworze króla i Brübla jest dwóch ludzi, którym nieznacznie oddasz pan te dwa od ich żon listy. Nic w nich nie ma... nie zrozumie ich nikt, oprócz nich. Będziesz się waćpan starać widzieć jak najwięcej, dowiedzieć jak najdokładniej, powrócić jak najprędzej.

Major Wangenheim z pewną niecierpliwością, jak gdyby nie bardzo miłą dlań kończąc rozmowę, na listach które złożył na stole, rzucił rulonik dukatów, i odstąpiwszy parę kroków, głowy skinieniem pożegnał Simonisa.

To złoto tak jawnie rzucone mu w oczy, z pewnym rodzajem pogardy, wywołało rumieniec na twarz Simonisa.

— Przepraszam pana majora — rzekł odsuwając rulon — mogę i muszę podjąć się służby dla J. Kr. Mości, ale bez tego dodatku.

— Jakto? — zapytał major.

— Jeśli zasłużę na co, mogę być później wynagrodzonym; nie należę do tych, którzy się zajmują.

Major spojrział mu w oczy i ruszył ramionami, nie zdawało się go to ani dziwić ani rozczulać, jak gdyby do podobnych scen był przywykłym.

— To na koszta podróży — rzekł sucho — niepodobna byś waćpan o swoich pieniądzach ją odbywał.

I dodał — dobranoc!

Simonis wziął listy i znać nie chcąc się podać w podejrzenie, schował też rulon do kieszeni i wyszedł.

Noc była ciemna, gdy się znalazł za bramą z tak przykrém uczuciem niepewności jakiegóś, obrzydzenia, wstrętu, obawy, iż postąpiwszy kroków kilka, spytał się sam siebie, czyby nie najlepiej było zabrawszy co miał, powracać do Berna i szukać w pracy przyszłości.

Wspomnienie tylko pięknej Pepity wstrzymało go może od tego kroku. Zbliżeniem się do niej, czuł się uszlachetnio-

nym i nie chciał już wrócić na drogę tajemniczych, brudnych intryg, która mu teraz wstrętliwą była i upadającą. Ale jakże się mógł wywikłać z tej sieci, w którą wpadł poczęści z własnej winy. Zbliżał się już do miasta, gdyż pałacyk leżał naówczas za jego obrębem, gdy usłyszał półgłosem nuconą śpiewkę i z wielkiem podziwieniem a przestachem spotkał Masłowskiego. Ten udał nadzwyczaj zdziwionego.

— A to rzecz szczególna!—zawołał—że my się też nieustannie musimy z sobą spotykać? mamże uwierzyć oczom? Wszak waćpana odprowadziłem na spoczynek do domu, miałeś iść spać?? Jakimże sposobem? w tej stronie? Ktoby powiedział żeś waćpan chodził dawać dobranoc królowi pruskiemu?

— A cóż wy tu robicie?—spytał Simonis.

— Ja? ale ja nie mając nic do roboty z professyi, jestem włóczęgą—rozmiał się Masłowski—szpieguję Prusaków. Wiesz że to są jednak nie głupi ludzie. Jaki w nich rygor i ład... Ale mówże z kąd pan Bóg prowadzi?

Simonis niechcąc się zdradzić, musiał się namyślić, co powiedzieć.

— Przyznam się waćpanu,—szepnął—awanturka kobieca.

— W tej stronie? za miastem?? to chyba z dziewczką jaką od ogrodnika, bo tu nic porządniejszego nie mieszka?? Co mi mówisz, ale!....

Simonis umilkł. Wierz waćpan lub nie, jak chcesz...

— Przyjmże moją radę,—dodał Masłowski—jako lepiej oswojonego z Dreznem: nie bardzo bezpiecznie w bliskości króla mieć *rendes vous*. Fryderyk jest podejrzliwy, a rozstrzelanie u niego nic a nic nie kosztuje.

Spotkanie z Masłowskim, który go znowu przeprowadził aż do kamienicy, doreszty przybiło nieszczęśliwego Simonisa. Milczący wsunął się na swe trzecie piętro, pożegnawszy szydzącego i natrętnego Polaka. Paliły go listy które miał od Wangenheima, niepokój niewysłowiony oka mu zmrużyć nie dał. Ledwie doczekawszy poranka, zerwał się z łóżka i pobiegł do zamku. Cały dwór był jeszcze na mszy ranniej, gdy przypadł, ukrył się więc w mieszkaniu barona Spörken, oczekując na baronównę, z którą się chciał zobaczyć. Paź miał jój oznajmić iż Simonis mówić z nią potrzebował. Po pół godzinie

prawie oczekiwaniu, piękna panna zjawiła się, tak jak była ubraną do kościoła. Spojrzała na Simonisa i zmieniona twarz jego nic jój znać dobrego nie zwiastowała, gdyż niespokojnie zbliżyła się do niego.

— Co waćpanu jest?—zapytała.

— Osądzisz pani sama—odezwał się Simonis. Wczoraj za ledwie ztąd wyszedłszy udałem się do baronowej. Przywitała mnie tém, że powinienem był natychmiast udać się po rozkazy do majora Wangenheima. Późno w noc musiałem biedz do pałacu Moszyńskich, kazano mi z listami do obozu pod Pirnę, szpiegować.

Pepita słuchała z żywém zajęciem.

— Pani—zawołał Simonis—niema w téj chwili pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka! Gdyby nie pani, uciekłbym ztąd! Zważ pani położenie moje. Co mam począć? Zdradzić was nie mogę, zdradzić tamtych, to grozi śmiercią; ale mniejsza o śmierć: to grozi mi upodleniem, poniżeniem, którego od czasu jakem się zbliżył do was znieść nie potrafię. To przechodzi siły moje, brzydziłbym się sobą!

Baronówna podała mu rękę w milczeniu zarumieniona.

— Mogę wam służyć, nie winienem nic i nie mam obowiązków żadnych względem króla; lecz w ten sposób, nie! nie zdołam!

Rękami zakrył Simonis twarz.

— Co mam począć! co począć!

Baronówna stała zamyślona nie mówiąc słowa.

— Rozumiem—odezwała się głosem cichym—że są pewne granice, poza które żadne poświęcenie nie sięga. Honoru się nie poświęca...

— Powiedźże mi pani, jak się mam ratować!!

Baronówna przeszła się po pokoju....

— W istocie, rzecz to do rozwiązania trudna; ja zamało mam doświadczenia abym to potrafiła rozwiązać. Pan nam jesteś potrzebny. Gdybyś się ukrył na zamku, zamiast iść do obozu, mógłbyś się nam przydać tutaj; gdybyś do obozu się udawszy w nim pozostał, uszłoby to może za uwięzienie: król i Prusacy długo tu nie pobędą.

Z mowy niepewnej baronówny znać było że sama nie wiedziała, ani co mu ma radzić, ani co z nim począć; żywe tyl-

ko rozdrażnienie malowało się na jej twarzy. Narzędzie to na które tak rachowała, z rąk się jej wymykało.

Po namyśle pobiegła do drzwi i już biorąc za klamkę, ze spuszczoną głową, prawie nie patrząc nań—rzekła prędko:—Wybierz się pan, pożegnaj baronowę, przybądź tu, a naówczas zobaczymy co uczynić wypadnie.

Simonis nie miał czasu jej wstrzymać: zniknęła, poszedł więc i on spełnić dane rozkazy i napozór przygotować się do podróży. Domyślał się iż Pepita musiała chcieć poradzić się z królową może, a z Brühlową pewnie, gdyż hrabina była główną sprężyną, około której obracały się wszystkie przeciw Prusakom wymierzone, dotąd bezsilne intrygi.

Max jeszcze był nie powrócił na zamek, gdy po korytarzu przechadzający się, jakby dla zabawki Masłowski, czatował na baronównę. Lękając się aby to polowanie zadługo nie trwało, pan Ksawery dał lokajowi *duser*, jak się to w języku dworskim zwało i poprosił go o wywołanie frejliny: w innych czasach byłoby to niemożliwem, ale od czasu wnijsia Prusaków, działały się na dworze nigdy niesłychane rzeczy.

Baronówna wyszła natychmiast.

— Przepraszam żem panią śmiał fatygować—rzekł Masłowski—chciałem się opowiedzieć. Zdaje mi się iż chwila nadeszła, w której mojego przyjaciela Simonisa, wypada mi uczynić „nieszkodliwym.“ Wczorajszego wieczora powróciwszy ztąd, chodził w nocy do króla Fryderyka. Zdrajcą jest...

— Nie, panie mój—odpowiedziała Pepita—nie; bo ja o tém wiem: iść tam musiał. Bądź cobądź, ja panu za jego czujność dziękuję serdecznie. Jesteś szlachetnym, jesteś zacnym.

Wyciągnęła mu rękę, a pan Ksawery pochwycił ją i namiętnie po polsku całować zaczął. Nie nawykła do takich gorących pocałunków, baronówna się zarumieniła, i rękę, jak oparzoną wyrwać musiała.

— Byłbym go zadławił!—zawołał—gdyby panią śmiał pomysleć zdradzić; ale wie pani co, ja panią ubóstwiam, a jednak gdybyś mi tak jak jemu na dwóch stołkach kazała siedzieć, darujesz, tegobym i dla niej nie potrafił.

— Spodziewam się że i on tego nie uczyni—szepnęła baronówna, biorąc sługę swojego w obronę.

— Ano, przepraszam, żem chcąc usłużyć, naprózno pan-nę baronównę, niepotrzebnemi odwiedzinami memi niepokoić. Nie rozkaże mi pani nic? Zabić kogo? powiesić? udusić: dla pani gotów jestem!

Ton i wesołość z jaką Masłowski mówił, w tak dziwnej były sprzeczności z usposobieniem na zamku panującym, iż baronówna z niejaką zazdrością spojrzała na młodego chłopaka, którego te sprawy tak mało obchodziły.

— Dziękuję panu—rzekła— i admiruję obojętność jego wśród tych nieszczęść, jakie nas spotykają. Pana to nic nie obchodzi?

— Jam tu zupełnie obcy, jam spektator, pani—zawołał Masłowski—a mam ten nieszczęśliwy nasz narodowy charakter, który nawet wśród najcięższych przygód własnych, zmusza do wesołości. Tak nas Pan Bóg stworzył!

— Nie macie się skarżyć na co—westchnęła Pepita.

— Wesołość ta nie odejmuje nam przytomności—mówił Masłowski—a jęk i narzekanie na nic się nie zdały. Ma mi pani co do rozkazania?

Pepita się zawahała.

— A gdyby ważnego co było do zanieśienia do obozu? odważyłbyś się waćpan?

— W ustach zaniosę co mi pani każe, papieru nie mogę: dystrakt jestem i gubię nawet własne pieniądze.

— Chwilkę pan poczekaj.

Baronówna znikła.

Masłowski zaczął już śpiewać, bo gdy nie mówił nic, świstał lub nucił, bezczynnym nie mogąc pozostać, gdy na korytarz wybiegł baron Spörken i szukać go zaczął oczyma. Obejrzał się czy ich kto nie widzi, a potem wciągnął z sobą do pokoju.

— Możesz się pan dostać do obozu do Brühla?

— Jeżeli mnie Prusacy nie złapią.

— Ale właśnie trzeba się nie dać złapać...

— Nie mam najmniejszej ochoty do tego, bo mówią, że kogokolwiek do wojska zdanego pochwyca, natychmiast mu wdziewają mundur, a ja do pruskiej służby się nie kwalifikuję.

— Idzie o to, aby zanieść ważne wiadomości.

— Ustnie?—dodał z przyciskiem Masłowski.

— Tak jest.

— Spróbuję: proszę o nie...

— Słowo że ich nie wydasz?—spytał Spörken.

Masłowski się rozśmiał.—Prusakom? a za kogóż mnie pan masz?

— Słowo?

— Najuroczystsze!

Spörken poprowadził go pod okno.

— Fryderyk albo już wyruszył z Drezna—rzekł—lub dziś czy jutro wyjdzie. Wiemy plan jego... Chce obóz nasz odciąć od czeskiej granicy i uniemożliwić połączenie się nasze z Austryakami. Odcięci, nie zasposobieni w żywność, nie mając jak garść ludzi, których codziennie choroby, dezercya, a nawet niedostatek żywności dziesiątkują, jesteśmy zgubieni. Potrzeba ażeby Rutowski, jak skoro to będzie możliwem, wyruszył ku generałowi Wied, nim Fryderyk drogi obsadzi. Widzisz pan, że od tego ocalenie nasze zależy.

— Rozumiem—zawołał Masłowski—są sposoby wydobycia się z Drezna, spróbuję czy téż nie ma środka dostania się do Pirnej: zrobię co będę mógł.

Żegnał się już, gdy weszła promieniejąca baronówna.

— Idziesz pan?

— Nie wiem, idę, czy jadę, czy płynę; ale to wiem—zawołał Masłowski—iż mnie to bardzo bawi i pilno mi puścić się na awantury.

Skłonił się, Pepita podała mu znowu, zapomniawszy się rękę i zarumieniła się po pocałunku.

Masłowski biegł śpiewając po wschodach, gdy zwolna ciągnącego ku górze Simonisa spotkał.

— Dosyć że my we dwóch, musimy jak w kręglach kule spotykać się z sobą. Tym razem żegnam was kawalerze de Simonis, gdyż prawdopodobnie przez dni kilka nie będę mieć honoru.....

— A waćpan dokąd?

— Na spacer!—zawołał kłaniając się Masłowski—adieu!

Przybywszy do Fuchsovój i swojego mieszkania, pan Ksawery mocno się zamyslił jak ma dokonać zamierzonej podróży.

Gospodyni była już z tego powodu przywiązaną do młodego wartogłowa, iż dosyć wiele był jój dłużnym.

— Kochana Fuchsowa!—rzekł zawoławszy jój Masłowski—boli mnie to nieskończenie, ale muszę cię pożegnać! służba służbą: Brühl w obozie i mnie do niego potrzeba.

Ręce załamując rzuciła się ku niemu gosposia.—*Herr Jese!* to być nie może... ja pana nie puszczę... pan wiesz... ojciec mi waćpana oddał w opiekę.

— Daj ty mi pokój z opieką taką, kiedy koszule nawet nie pocerowane—odparł Masłowski—acani wiesz, że jak ja czego chcę, rozstap się ziemio! musi być! Do Brühla się więc dostanę, ale powrócę zaraz; daję ci słowo, nie będę u niego siedział, jeżeli mnie Prusacy nie powieszają! To od was zależy, pani Fuchsowa.

— Czyś waćpan oszalał?

— A fak jest, waćpani mi musisz dać kogós, co mnie do Pirny zaprowadzi i odprowadzi nazad.

Strzeplnęła rękami wdowa, poczęły się targi ostre; lecz koniec końców, ku wieczorowi ucichło i Masłowski przed zwierciadełkiem wasy golił. Tych młodych wásów, takich ślicznych żal mu było, aż się na płacz zbierało.

Z jego pokoju i do jego pokoju wynoszono coś ciągle i wnoszono. Szeptano, biegano, naradzano się, a o mroku już zaszedł przed dom wóz, na którym siedział stary niemiec i stara baba. Wpośrodku było coś takiego, jakby łoże podróżne dla chorego wysłane. Masłowskiego wcale nie było widać, tylko z pomocą dziewczyny, zwlokła się chora kobiéta, którą starannie położono i okryto. Fuchsowa stała we drzwiach zamysłona.

Wóz ruszył ku bramie do Pirny wiodącój, ale wprzódy jeszcze zatrzymał się przed mieszkaniem komendanta Wylicha, w rynku i stary niemiec wszedł doń.

Nierychło jednak wrócił do wozu na którym baba siedziała, z dwoma żołnierzami. Ci obejrzeni chorą kobietę leżącą, która głowę podniosła i zaraz na posłanie opadła, i jeden z nich towarzyszył przy wozie jadącym do Pirnajskiej bramy. Szczęściem zdążyli jeszcze w porę, nim capstrzyk odbębnił i wrota zamknięto. Żołnierz z rozkazu komendanta rozkazał

przepuścić wóz i choć już mrok był znaczny, powlekli się powoli ku Pirnie. Na gościńcu, w dosyć znacznym oddaleniu od miasta stały porozstawiane pruskie czaty. Wszystkie przybiegały do wozu łając, krzycząc i wstrzymując, dopóki im woźnica kartki komendanta nie pokazał.

Nakoniec późno w noc, straż pruskie znikły; nowy gościniec był pusty, żywój na nim duszy: nawet z małych domków nadedrogą ludzie pouciekali i te pustkami stały. Nadedniem już, ponieważ błoto, wiatr i konie chude pośpiesznie dozwalały, odezwało się „*werda*”? saskie.

Woźnica drgnął, a chora kobieta porwała się z wozu tak, jak gdyby nigdy w życiu nie chorowała. Żołnierz stał na koniu z wykierowanym na jadących gardłaczem, lecz na bardzo wyrazistą z saskim akcentem odpowiedź woźnicy, wstrzymał się od nieprzyjaznych kroków. Chora kobieta domagała się, aby ich do generała Rutowskiego lub ministra Brühla prowadzono. Ponieważ patrol właśnie do Pirnej powracał, wóz żołnierzem otoczony, powłókł się dalej. Tylko chora kobieta zupełnie się zmieniła i tak z żołnierzami rozprawiła raźnie jak najzdrowszy mężczyzna.

Był téżto w istocie pan Ksawery Masłowski, który tym dowcipnym sposobem, bardzo wygodnie i bezpiecznie dostał się już na teroryum zostające pod opieką wojska saskiego.

O godzinie ósmej rano, gdy Brühl jeszcze w szlafroku nad papierami siedział, wiadomo czy odpowiedź króla pruskiego rozbierając, czy nowy list stylizując od Augusta III; oznajmiło mu, że paż jego Masłowski przybyły z Drezna, mówić z nim pragnie.

Brühl nie bardzo Masłowskiego lubił, więcej instynktem jakimś niż z jakichbądź powodów. Nie miał w istocie przeciwko niemu nic, ale ile razy sobie w oczy spojrzeli, minister w nich coś takiego czytał co mu się nie podobało. Masłowski nadto był śmiały. Dlatego czyniąc wybór mających mu towarzyszyć w podróży, pana Ksawerego zostawił w Dreźnie, nie przewidując jeszcze, iż wypadnie wprost z obozu udać się do Warszawy.

— Co waćpan tu robisz?—zawołał zdziwiony.

— Przynoszę W. excellencyi ukłon od pani hrabiny
— rzekł spokojnie pan Ksawery—przybyłem z tém umyślnie.

— Kiedy? jak?

— W nocy, a jak to trudno nawet opowiedzieć, dosyć
żem cały, dzięki Bogu!

— Masz waćpan pismo jakie?

— Niech Bóg uchowa: mam ustne polecenia.

Tu obejrzał się pan Masłowski i dał do zrozumienia, iż
pragnąłby mówić na osobności.

Brühl wprowadził go do małego pokoiku zastawionego
szkatułkami różnych wielkości. Zawierały one tabakierki, zé-
garki, klejnoty, pierścienie, które na wszelki wypadek minister
zabrał był z sobą. Ciasne stosunkowo mieszkanie, wyciskało
wielkiemu panu westchnienia i łzy niemal nad własnym losem.
Nie miał więcej nad dwadzieścia peruk z sobą i tyleż sukien,
nie było przy nim więcej nad dwudziestu ludzi do osobistój po-
sługi. Upokorzony był i znękany. Codziennie na modlitwie
upominał się choć z pokorą, ale z pewnym naciskiem u Pana
Boga o nagrodę za te ciężkie prywacye, które znosić był
zmuszony dla chwały Bożej! Szczególniej w obozie pod Pirną,
Brühl nadzwyczaj był skruszonym i pobożnym. Widywano go
po kilka razy na dzień klęczącym ze złożonemi rękami pod
krzyżem. Masłowski zdał mu sprawę ze swego poselstwa,
Brühl słuchał jój namarszczony, niekiedy głową okazując nie-
ukontentowanie i ździwienie, jak gdyby to wszystko uważał za
widziadła imaginacyi; kilka razy wyrwało mu się:

— Ale gdzież zaś...

W ostatku jakby zapomniawszy się, że ze skromnym panem
Masłowskim ma do czynienia, zawołał głośno:

— Co im się śni! Fryderyk wkrótce będzie musiał sam
uciekać, gdy go zewsząd w kluby weźmiemy... tego banitę!

I ramionami ruszył.

Nie odprawiając Masłowskiego, posłał Brühl kartkę do
generała Rutowskiego. Paż tymczasem poszedł spocząc z da-
wnymi towarzyszami, dopytującymi go ciekawie o Drezno.

Gdy Rutowski nadszedł, powołano go aby powtórzył
z czém go generał Spörken wyprawił; słuchając téj powtórzo-
nej relacyi, Brühl dawał oznaki zniecierpliwienia.

— Jakto? pan generał to przyjmujesz za dobrą monetę?
— zawołał.

— Za jak najlepszą, a w każdym razie daleko szacowniejszą niż fałszywe pieniądze, któremi Fryderyk nas zaléwa — odparł z uśmiechem smutnym Rutowski. — Niestety, nim się Rzesza niemiecka zbierze, nim Francuzi wyciągną, nim wkroczą Rossyanie, nim Austriacy przyjdą... my padniemy ofiarą. Wojsko niema co jeść! W szpitalach w Pirnie leży półtora tysiąca chorych żołnierzy!

Brühl się zżymnął.

— Niema wojny bez ofiar — zawołał — to darmo!

— Lękam się właśnie, by ofiary nie były daremne — odparł Rutowski.

— Cóż więc robić? — gniewnie ale grzecznie spytał minister.

— Co najrychlej most dla przeprawy budować na Elbie i śpieszyć ku Peterswalde.

Brühl się skłonił.

— Nic nie mam przeciwko temu.

Rutowski jakby sobie coś przypomniał, zapytał Masłowskiego:

— Gdzie Fryderyk? w Dreźnie...

— Był na wyjeździe — odpowiedział paź. — Słyszałem też iż z Magdeburga Elbą dwieście pięćdziesiąt dział żelaznych, dla obsadzenia wałów i murów sprowadzić miano.

— Tém lepiej — odezwał się minister — zostaną one dla nas.

Rutowski przeszedł się po pokoju i nie odpowiedział nic. Wypowiadawszy się ze wszystkiego co miał, Masłowski, odszedł, dopraszając się tylko ażeby mógł co rychlej powrócić. Zbyto go niewyraźną odpowiedzią. Około dziesiątej przysłał Brühl, ażeby paź szedł z nim do króla; Augusta III dowiedział się od Rutowskiego o jego przybyciu i sam go chciał o Dreźnie rozpytać.

Właśnie kapelan królewski odprawiał był mszę na przenośnym ołtarzu, w pokoju króla i sprzęt kapliczny wnoszono, a August III, tylko co był powstał z kłęcznika, gdy Masłowski został wprowadzony.

Minister dał mu wprzódy dokładną instrukcyą co i jak miał mówić przed królem, oszczędzając niepotrzebnego zmartwienia. August popatrzał na wchodzącego i długo nie odzywał się nic wcale.

— Co się dzieje z teatrem?—spytał.

Brühl nie dał odpowiedzi Masłowskiemu, skinął na niego groźnie i sam począł:

— Właśnie oto powiada mi, iż całkiem fałszywie rozgłoszono, jakoby król pruski...

— Nazywaj go margrabią brandeburskim—przerwał król.

— Tak, N. Panie! margrabia brandeburski nie rozpuścił teatru i artystów, ale oni sami oświadczyli, iż przez miłość dla W. K. Mości, dla nikogo śpiewać i grać, przed nikim się popisywać nie chcą, dopóki król ich ubóstwiany do swęj stolicy nie wróci. Napróżno chciano ich zmuszać, próżno kuszono złotem: oparli się.

Król się uśmiechnął.

— *Bravi!*—zawołał—Bóg da, że im to nagrodzę; zobaczycie: powiedzcie im to.

— Dopiero w skutek tego oporu—dokończył Brühl—pensye im odjęto.

— Każę im zaliczyć to wszystko...

— A hr. Loss, a ministerium nasze?—dodał król.

Masłowski nie miał czasu odezwać się, gdy minister rzekł żywo:

— Wszystko funkcyonuje, w jak największym porządku: nie ośmielono się ich tknąć.

Król odchrząknął.

— Cóż się dzieje z galeryą? był w galeryi Fryderyk?

Na to pytanie Brühl nie umiał odpowiedzieć, ale nie sądził ażeby niebezpieczeństwem groziło, danie swobody Masłowskiemu.

— N. Panie!—odezwał się paź—wiem że król, a raczej margrabia brandeburski, kazał sobie galeryą utworzyć Heineckenowi.

August wstał trochę przelekły.

— Nic nie zginęło!!—zawołał.

— Nic nie tknięto, nic....

— Bogu i świętym patronom niech będą dzięki!—westchnął August.

— A cóż mówić? co mówić?

— Heinecken powiada, że admiraował bardzo.

— Jednak admiraował, a nie wiesz co najbardziej?

— Magdalenę Battoniego ¹⁾.

Rozpromienioną twarz, dziwnie uśmiechniętą podnosił król do góry.

— Nie przeczę, piękna jest, ale do Corregia!....

Nie dokończył, z politowaniem się uśmiechając ciągle...

— Znacwa! znacwa!—rzekł szydersko—Madonna Syxtyńska nic... Tycyan nic... Weronese nic... tylko Battoni. Margrabia brandeburski!....

— Samo nazwisko malarza, przypominające kij—odezwał się Brühl,—musiało mu sympatyą margrabiego pozyskać.

Usłyszawszy to król zaniósł się od śmiechu, ale wnet jak przestraszony tym wybuchem, usta sobie zatulił—i rzekł—pst!—groząc Brühlowi.

Zaczął potem August pytać o królowę, o dzieci młodsze, o kościół, o ks. Guaryniego, i naostatku o panią Brühlową.

Masłowski zapewnił że wszyscy byli zdrowi; spytano czy parku około pałacu Moszyńskich nie uszkodzono i o tém podobne fraszki.

Masłowski o mało się nie wygadał o działach jadących z Magdeburga, ale Brühl czémś inném mu przerwał. O piecach wystawionych nad Elbą dla wypieku chleba żołnierzy, król już wiedział, lękał się o zwierzyniec swój i o bażantarnie. Paź upewnił iż dotąd były nietknięte. Nastąpiła kwestya o ogary myśliwskie, o które się August domagał, aby mu je tu w jakikolwiek sposób przysłać się starano.

— Co ja bez nich pocznę! ja jestem najnieszczęśliwszy—zawołał—póki ich mieć nie będę.

— Gdybyś W. K. Mość chwilowo, dla sejmu przeniósł się do Warszawy,—wtrącił Brühl—tambyśmy znaleźli psiarnię.

— Jaką psiarnię!—westchnął August.—Fleta, Akteona, Lutni, Sezostrysa tam mieć nie będę!

Brühl chcąc smutek ten rozerwać, z pogardą odezwał się o charcikach margrabi; ale to króla nie rozweseliło.

¹⁾ Historyczne.

— Mylistwo warszawskie — dodał N. Pan — nie wiele warte zapewne, lepsze niż nic; ale tam takich jak ja psów nie mają.

Minister zapewnił iż podobnych nie było w całej Europie, i że książę Richelieu za łaskę się domagał parę szczeniąt dla króla Ludwika.

To nieco rozjaśniło czoło pańskie. Masłowski stał ciągle w progu, bo jeszcze rzucano mu jakieś pytanie, na które najczęściej sam minister w imieniu jego fantazyjnie i niekoniecznie zgodnie z prawdą odpowiadał.

Długie to badanie skończyło się nareszcie, Masłowski przypuszczonym został do pocałowania ręki królewskiej i odszedł. W godzinę potem Brühl go powołał do siebie i kazał mu oświadczyć w Dreźnie, aby próbę tę od Boga zesłaną znoszono cierpliwie; że ona długo trwać nie może, a skończy się znamienitym tryumfem; iż wojska saskie wkrótce się z austriackimi połączą i wygnają z kraju nieprzyjaciela: słowem, że wszystko szło zgodnie z planami jego, które musiały nieomylnie prowadzić Prusy do upadku, a Saksonią do potęgi i sławy!

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Korrespondencya Stanisława Augusta z panią Geoffrin, wydana z archiwów, przez p. Mony. — Nowe utwory poetyczne: poezye Armanda Sylwestre z przedmową p. Georges Sand. — *Locta-mocsta* (smutno-wesołe) p. Darasse. — *Illusions* p. Cosalis. — *Dyonizya* p. Andreani. — *Poezye nowe* p. Millien. — *Grób Micheleta*. — *Teatr*: Jan Bosy (*Jean-nu-pied*) dramat ożteroaktowy wierszem, p. Alberta Delpit. — *Hanz Christian Andersen*.

Mamy przed sobą nową i obszerną publikacją z wielkiem wykonaną staraniem: mówimy o *Korrespondencyi Stanisława Augusta z panią Geoffrin*, obejmującej sto sześćdziesiąt dziewięć listów, pisanych w ciągu lat trzynastu od roku 1764, to jest od wstąpienia na tron tegoż króla do roku 1777, do śmierci pani Geoffrin. Wydawca p. Karol de Mony, poprzedził te listy obszernym wstępem, o królu i jego korespondentce.

Trudno nam wiedzieć kto dostarczył wydawcy materyałów: pan Mony utrzymuje, że ma od spadkobierców króla, nie wymieniając ich

bynajmniej. Listy Stanisława Augusta drukowane są po większej części z oryginałów, w części zaś z brulionów zachowanych w archiwum królewskim. Na czele tomu wydawca pomieścił wizerunek króla, rytowany przez Rajon, z oryginalnego portretu będącego własnością księcia Stanisława Poniatowskiego, jednego z potomków po księciu podkomorzym.

Nie pojmujemy jakim sposobem p. Mony, który w notacie biograficznej okazuje się gorliwym apologetą Stanisława Augusta, mógł wybrać taki portret, aby zalecić bohatera swego czytelnikom! Na pierwszy rzut oka sądziliśmy, że to portret pani Geoffrin z lat jej młodości. Wyobraźmy sobie ten upudrowany tupet, podniesiony w górę nad czołem, zawinięty w pukle przy skroniach; ten długi zwój włosów spadający na prawe ramię; ten bławatny *dezabil* objęty sobolami, tę białą dekolowaną szyję ozdobioną masą pysznych brabanckich koronek: te wreszcie alabastrowe rączki ułożone z tak wyszukaną, z tak malowniczą gracyą, wypływające z pod szerokich koronkowych rękawów! Jakże tu starannie obmyślany układ każdego paluszka! Dla kobiety nawet, ta wymuszona poza, byłaby nazbyt pretensjonalną, niegodną wyższego umysłu. Nie tak wyglądała poważna pani Geoffrin: zobaczymy to z ducha ję listów. Podpis zamieszczony poniżej portretu, wreszcie korona leżąca na stole, przekonały nas, że to portret Poniatowskiego. Gdyby opiekunowie wydawnictwa mieli na celu zadowolić przeciwników, nie mogliby lepiej im usłużyć, jak pokazując bohaterą swego w postaci tak ckliwo-zniewieściakę!

Pomijamy część ze wstępu dotyczącą osoby Stanisława Augusta. Są to w ogólności rzeczy znane, ubarwione tylko własnym poglądem wydawców. Wolimy raczej zająć się panią Geoffrin. Piękna ta i sympatyczna postać zasługuje na bliższe poznanie.

Pani Geoffrin należy do najciekawszych osobistości XVIII wieku. Zyskała ona sławę nie tylko w Paryżu, ale i w całej Europie, lubo nie miała tych warunków, jakie zazwyczaj dają rozgłos. Urodzona w stanie mieszczańskim, córka kamerdynera Delfinów; wychowana przez babkę, kobietę rozumną lecz bez naukowego wykształcenia, w piętnastym roku życia oddana w małżeństwo bogatemu fabrykantowi zwierciadeł, nie zalecająca się ani nadzwyczajną urodą, ani błyszczącym dowcipem, umiała jednak wyrobić sobie wysokie w świecie stanowisko. Przez długie lata salon ję należał do najpiękniejszych w stolicy. Cała inteligencja paryzka tłumnie garnęła się do ję domu. Wiele panowie kołatali w ję gościnne progi, widząc w tém najwyższy dla siebie zaszczyt.

W poniedziałki pani Geoffrin przyjmowała najslawniejszych artystów swego czasu; w środy otwierała salon uczonym i literatom. Fontenelle, Monteskiusz, Wolter, Marivaux, Diderot, d'Alembert, Helwecyusz, Grim, Marmontel, należeli do zwyczajnych ję gości. Sławni cudzoziemcy jak Hume, Gibbon, Horacy Walpole, Algarotti, za przybyciem do Paryża, uważali jako pierwszy obowiązek przedstawić się

w jój domu. Panie najarystokratyczniejszego świata, spotykały tu całą arystokrację zasługi i talentu. Salon pani Geoffrin był pierwszym polem, na którym te dwie ówczesne potęgi zbliżyły się wzajem do siebie.

Niepospolita kobieta, która umiała uczynić dom swój tak pożytecznym, nie była bynajmniej uczoną i nie miała do tego najmniejszej pretensyi. Brak wysokiego kształcenia naukowego zastępował w niej zdrowy rozsądek: umiała żyć, umiała być szczęśliwą, miłą sobie i drugim. Żyjąc ciągle w pośród literatów i artystów, ludzi zazwyczaj drażliwych; potrafiła utrzymać między nimi najdoskonalszą harmonią. W ciągu lat pięćdziesięciu z górą, dom jój nie był świadkiem najmniejszego skandalu.

Pełna prostoty unikała starannie wszelkich hołdów, nie chciała nigdy panować w swym salonie, najchętniej oddawała berło drugim; dosyć było dla niej pozyskać szacunek i życzliwość gości swoich. Wszelka przesada raziła ją w szczególny sposób, nie cierpiała zarówno dziwnych strojów, jak mowy napuszystej. Ubrana zawsze w ciemną suknię, w skromny czepeczek zawiązany pod brodą, chciała wyglądać starszą niż była rzeczywiście. Obejście jój ze wszystkimi miało w sobie coś prawdziwie macierzyńskiego; atmosfera jój domu tchnęła powagą i spokojem.

Szczególnego potrzeba było taktu, aby w czasach takiego poruszenia umysłów, zachować w salonie własnym taką harmonią, taką doskonałą równowagę. Umiała to jednak pani Geoffrin. Jeżeli rozmowa przybierała czasem ton gwałtowniejszy, jednem słowem przywracała ją do porządku. Grimm w korespondencyi swojej żartuje z niej w sposób niezłośliwy: „Matka Geoffrin, pisze on, odnowiła na ten rok dawny program: nie wolno będzie w jój salonie mówić ani o sprawach zewnętrznych, ani wewnętrznych, ani o sprawach dworu, ani miasta, ani o sprawach Północy, ani Południa, ani Wschodu, ani Zachodu, ani o polityce, ani o finansach, ani o pokoju, ani o wojnie, ani o religii, ani o rządzie, ani o teologii, ani o metafizyce, ani o gramatyce, ani o muzyce: słowem o żadnej materji.”

O wszystkim jednak mówiono w salonie pani Geoffrin, ale mówiono z umiarkowaniem. Niecierpiała głów zapalonych i wyłączała je ze swego towarzystwa, aby nie mącić spokojności.

Nie tolerowała obmowy ani plotek, z ust jój nie wyszło nigdy złośliwe słowo, a jednak wesołym humorem ożywiła wszystko w około siebie. „Młode panie z wielkiego świata przybiegają do mnie całą chmarą, aby się rozweselić, pisze w jednym z listów, zapraszają się do mnie na wieczery. Ja prawię im kazania, a one zanoszą się od śmiechu. Łąję czasami ostro, że nie umieją spożytkować młodych lat, aby zapewnić sobie rzeźką i wesołą starość, taką jak moja!”

Rzecz godna zastanowienia, że kobieta, która przeżyła lat tyle w towarzystwie filozofów i encyklopedystów; zachowała przecież uczucia religijne w jakich ją wychowano. Przez cały ciąg życia okazywała

się zawsze gorliwą chrześcijanką. Miała spowiednika kapucyna, w każdą niedzielę widywano ją na mszy; nie jednego z przyjaciół na łożu śmierci pojednała z kościołem. Im bardziej zachodziła w lata, tém pobożniejszy myśl jęj przybierała kierunek. Opowiadają z jak wielkiem skupieniem obchodziła na rok przed śmiercią jubileusz w 1776 r.

Główną jęj cnotą była dobroczynność, pełna prostoty rozsiewała hojną ręką dary swoje, nie szukając rozgłosu, unikając wszelkich przechwałek. Biograf jęj Morelet opowiada, jak odwiedzając ubogich przyjaciół śledziła pilném okiem czego im w domu niedostaje. Tu brakło zegara, tam biórka lub wygodnego fotelu. Spostrzegą to odrazu pani Geoffrin i dopóty nie była spokojną, jak gdyby dług ciężył jęj na sumieniu, dopóki nie wymyśliła w jaki sposób przyjść w pomoc przyjaciołom bez obrażenia ich godności. Wielu uczonych pobierało z rąk jęj roczną pensyą, zapewniającą im uczciwe utrzymanie. Miłosierna dla nędzy ludzkiej, hojną ręką rozsiewała jałmużny. Jeden z przyjaciół opowiada, jak razu jednego zszedł ją zniecka w niedzielę; w dniu tym jęj dom zamknięty był dla wszystkich. Sama w pokoju zawiązywała w woreczki, mniejsze lub większe kwotki piędźne: na każdym kładła napis oznaczający dla kogo jest przeznaczona. Było to w dniu świątecznym, zwyczajne jęj zajęcie. „Ta samotność niedzielna, dodaje przyjaciel, milszą dla nięj, niż gwar poniedziałkowy lub środowy.”

Kiedy uczoney Mairon, umierając zapisał jęj znaczny majątek, dopóty nie mogła się uspokoić, dopóki nie rozdzieliła całego spadku pomiędzy przyjaciół, krewnych i domowników zmarłego. „Chwała Bogu!—zawołała oddając resztę legatu—piędźdze te ciężyc mi już nie będą!”

O ile hojną była sama, o tyle nie lubiła przyjmować nic od drugich. Gniewała się, kiedy przyjaciele odpłacali dary jęj wzajemnym datkiem. Zmuszona przyjąć upominki dwóch panujących dworów, czuła się nadzwyczaj upokorzona. „Wspaniałe to dary—mówiła—godne tych co mi je ofiarują, lecz mnie nie przydadzą się na nic. Fu- tra nigdy w życiu nie nosiłam; porcelany takięj używać tęd nie będę. Jestem jak ta kura Lafontaine, która znalazła perłę i nie wie co z nią zrobić!”

Z tych wszystkich rysów charakterystycznych widzimy, że pani Geoffrin wyższą była prawdziwie kobiętą. Taką to przyjaciółkę znalazł Stanisław August przy piędźszym na świat wystąpieniu. Nie można by i do niego zastosować owęj lafontenowskiej bajki?

Znajomość ta datowała się już od lat jedenastu, kiedy Stanisław August został królem. W roku 1753, hrabia Poniatowski zięć księcia Czartoryskiego, przybywszy do Paryża przedstawił jęj dwudziesto-pięcioletniego syna i przy odjeździe polecił go szczególnym jęj względom. Pani Geoffrin, poważna już wówczas matrona, przyjęła młodzieńca łaskawie; pragnąc odpowiedzieć położonemu w nięj zaufaniu, otoczyła go macierzyńską opieką, zwała go synem swoim, płaciła na-

wet jego długi. Młody podróżny po pięciomiesięcznym pobycie, wyjechał z Paryża, dokąd nie miał już nigdy powrócić; wdzięczny przybraną matkę za opiekę i prawdziwą życzliwość, utrzymywał z nią od-tąd stałą korespondencyę.

Listy pisane przed obiorem Stanisława Augusta na króla, musiały zaginąć, wcale bowiem nie znajdują się w zbiorze. Pierwszy z wydanych nosi datę 9 września 1764 roku. Znać król wysoko szanował poważną przyjaciółkę, skoro we dwa dni po elekcji znalazł czas na skreślenie długiego listu; szło mu też zapewne o zjednanie sobie sympatyj dworu wersalskiego, który niechętnym okiem poglądał na ten obiór.

„Droga mammo! pisze król, przyjemniej mi niż kiedykolwiek nazwać cię od onegdaj tęp imieniem. W całej historii naszej nie ma przykładu tak spokojnej, a zarazem tak jednomyślnj elekcji!

„Spokojność w tęp liczném zgromadzeniu panowała tak wielka, że pierwsze panie królestwa obecne były na polu elekcyjnym, w pośród zbrojnych oddziałów szlachty. Miałem to prawdziwe zadowolenie, że usta wszystkich kobiet, również jak wszystkich mężczyzn mego narodu, obecnych na elekcji, wykrzyknęły zgodnie imię moje. Prymas mijając ich karety, zapytał grzecznie kogo pragnę mieć królem? Czemuż nie byłaś tam mammo! byłabyś wymieniła twego syna.“

Pani Geoffrin odpowiada z uniesieniem: „Drogi mój synu! drogi mój królu! drogi mój Stanisławie Auguście! Wyobraź sobie jeżeli możesz moją radość, po otrzymaniu twego listu! Ujrzałam w tobie naszego Henryka IV, ja sama mniemałam się być Sullym!

„Dobry Henryk postępował z przyjaciółmi jak ty ze mną. Prawda! jam godna zachować całe życie, to słodkie i nieocenione imię matki twojej! płakałam z radości, czytając szczegóły twego obioru. Niestety, czemuż mnie tam nie było? Wołałabym na głos: mój syn! mój syn! a potem umarłabym z radości.

„Serce moje wrywa się do ciebie i ja radabym wybiedz za niem. Słuchaj drogi mój synu! jeśli będziesz tak wielkim królem, jak ja spodziewam się i pragnę, czemużbym nie miała przyjrzed się tobie, jakby nowemu Salomonowi! Niema w tęp niepodobieństwa.“

Widzimy w tych słowach pierwszą myśl podróży do Warszawy, myśl urzeczywistnioną w lat dwa później.

Pani Geoffrin spokojna zwykle i nie skora do uniesień kreśli gorące słowa, gdyż się czuje do głębi serca poruszoną. Mogłoby być inaczej? On piękny młodzian, którego zwała synem, któremu dała poznać całą intelligencyą paryżką, którego łącała nieraz jak matka i kochała jak matka, młodzian ten błysnął jój przed oczyma odziany purpurą, w pełni królewskiego majestatu! Młodzian ten acz w koronie zwał ją jak dawniej mamą, używał jój doświadczonej rady! Jakże serce jój uderzyło, kiedy w drugim liście Stanisława Augusta znalazła taki ustęp:

„Ponieważ przystoi wszystkim wstępującym na tron monarchom odnawiać dawne traktaty, zaczynam od upoważnienia cię mamó, w sposób najautentyczniejszy, najuroczystszy, najwyraźniejszy, abys mi jak dawniej udzielała rad szczerých, nie krępowanych żadnym dworskim względem, abys mnie bez ogródki napominała, skoro znajdziesz po temu powód, i objaśniała mnie o wszystkiém cokolwiek świat mi zarzuci. Zastrzegam sobie prawo usprawiedliwienia, gdy słuszność będzie przy mnie. Zanadto cię wysoko powazam, abym nie chciał okazać się niewinnym w twych oczach. Zastrzegam i to, że nie zawsze będę mógł trzymać się ściśle rady twojej, niepodobna bowiem abys w tak wielkiém oddaleniu mogła znać wszystkie okoliczności. Niech cię to jednak nie wstrzymuje od przesyłania mi twych uwag, wiem że będą mądre i pożyteczne.“

Piękna to chwila uniesienia z obu stron, przypuściwszy nawet że Stanisław August mógł mieć osobiste widoki, w utrzymaniu przyjacielskich stosunków z kobietą zajmującą tak wysokie w świecie stanowisko, przyznać jednak musimy że i uczucie wdzięczności przetrwało w jego sercu.

Zaczyna się więc stała korespondencya, obie strony przyrzekają zamieniać listy, co najmniej raz w miesiąc. Pani Geoffrin postanawia pisać zawsze o ile można pod datą dnia 7, droga to data w jój zyciu: 7 września ukochany syn jój został królem.

Le style c'est l'homme! mówi francuzkie przysłowie. Pani Geoffrin pisze po prostu, wylewa myśl na papier z całą swobodą, nie szukając sztucznych frazesów. Jeżeli słowa jój czytamy dziś z zimną krwią, zdają nam się niekiedy przesadzone; pamiętajmy że je kreśliła pod wpływem uczuć, których my po stu latach podzielać nie możemy. Listy jój pisane dorywczó, zapewne bez brulionu; świadczą o tém poprawki jakie widzimy w dołączonym *fac simili*, świadczy brak punktacy, świadczą małe litery zaczynające peryod, a wielkie umieszczone nieraz tam gdzie być nie powinny. Nie szukać tu ściśłości gramatycznej, tém mniej ortografii. Błędy ortograficzne usunął wydawca, jak sam przyznaje, błędów składni usuwać nie chciał, aby nie naruszyć wierności oryginału. Inny zupełnie styl Poniatowskiego. Tu prawa gramatyki najściślej zachowane, każdy peryod bacznie obmyślany. Układ słów i frazesów, niemniej sztuczny i elegancki, jak układ paluszków na portrecie. Bruliony pozostałe w archiwach królewskich, z których część korespondencyi wydana, tak mazane i przekreślane, że wydawca jak mówi sam, wielką miał nieraz trudność, w dokładném ich odczytaniu.

W pierwszych zaraz listach króla widoczną jest chęć korzystania z wpływu przyjaciółki na umysły francuzów. Długo i szeroko rozpisuje się nad koniecznością ograniczenia władzy hetmańskiej w Polsce. „Nudzę cię temi szczegółami, dodaje w końcu, ale mama i przewodniczka, musi mieć ucho powolne na dyskusyę, a potem, u was we Francyi, lubią wielkiego hetmana (Klemensa Branickiego), widzą

w nim wielkiego człowieka. Radbym abyś poznała go do gruntu i wpłynęła na sprostowanie błędnych pojęć. Niechaj dwór wasz, konsekwentnym będzie sam z sobą. Jeżeli kraj mój, drogi Francuzom, jak to mówić w zwyczaju u was, niechże mi pomagają, a nie stają mi w poprzek drogi.“

Inny list także jeden z pierwszych, zapełniony cały innego rodzaju sprawą, do której król niemniej wielką przywiązuje wagę. Zobaczmy o co chodzi.

„Sprawię ci nowy kłopot, droga mamol! Wynaleź mi lub obstaluj dwa pojazdy. Jeden *vis à vis* piękny, błyszczący, lekki. A niechaj nie ma wady dzisiejszych pojazdów francuzkich, u których koziół dla stan-greta, nie dość oddalony od przedniej szyby. Druga poczwórna karetka, ma być wygodna, przeznaczona do dalekich podróży. Chciałbym mieć w niej mnóstwo skrzyneczek i kryjówek, dla pomieszczenia tysiaca drobnych rzeczy, jakie w drodze przyjemnie znaleźć pod ręką, zamierzam bowiem przejeżdżać się tu i owdzie po kraju. Nie trzeba wiele złotych ozdób do takiego pojazdu, a jednak wypada uzłocić go trochę, aby znać było że to karetka królewska. Każ położyć herb na niej. Jeśli potrzeba wzoru, pošlę go wkrótce, ale wszak znany we Francyi herb *króla Lotaryńskiego*. Należy tylko wymalować na tarczy, zamiast *głowy wołowej*, (*tête de boeuf*) młodego cielka, w całej postaci, czerwonego na srebrnym polu ¹⁾).

N. B. Radbym mieć tak pomieszczone latarnie, aby można czytać przy nich w karecie podróżnej. Na wierzchu niech będą pudła i wasze, ale niech powóz służy zarazem do przejeżdżania się po mieście, kiedy mi przyjdzie fantazyja. Oba pojazdy mają być wybite matoryą żółtą, w odcieniu jasnym i wesołym, i jak najpiękniej werniksowane.“

Po tém poleceniu następują inne. Król żąda co chwila czegoś nowego, to obrazów Bonchera i Wiena, to spisu diamentów po zmarłej markizie de Pompadour, to rzeźbionych posągów i popiersi, to kosztownych sprzętów do ozdoby gabinetu swego. Pani Geoffrin z wysokim taktem daje od czasu do czasu do zdrową radę. „Nie życzę ci, pisze w jednym liście, zamawiać nowych obstalunków, póki dawne zapłacone nie będą.“ W innym posyłając popiersie Henryka IV, upomina w delikatny sposób „masz z nim nie jedno podobieństwo, mówię ci tylko nawiasem, że on bardzo był oszczędny.“ W innym znowu dodaje: „Skoro zaczniesz praktykować moje zasady co do oszczędności, poznasz jak ona zbawienną jest dla serca, dla duszy, nawet dla ciała. Kiedy umysł spokojny, wtedy i siły krzepkie.“

O Stanisławie Leszczyńskim, mało wzmianki w tych listach. Ośmdziesięcioletni przeszło, ociemniały starzec, siedział spokojnie w Lunewillu, dobiegając kresu życia, długą kołataną burzą. Rychła

¹⁾ Czemu, pytamy, król nie nazywa rzeczy po imieniu? Leszczyński, jak wiadomo, miał w herbie żubrzę a nie wołową głowę.

śmierć jego, zdawała się być nieuchronnym i bliskim wypadkiem. W przewidywaniu téj chwili, jeden z najznakomitszych kaznodziejów tego czasu, prosił panią Geoffrin, aby otrzymała od Stanisława Augusta dokumenta dotyczące się przodków Leszczyńskiego, dwukrotnéj elekcyi, oraz szczegóły z lat które przeżył w Polsce. Stanisław August uczynił żądaniu, wysłał natychmiast wypisy z aktów urzędowych, dołączył rozmaite wspomnienia zasłyszane z ust ojca, ściśle złączonego z Leszczyńskim. Owe dokumenta, żądane zbyt wczesnie, gdyż stary król żył jeszcze rok cały, i byłyby może przeżył kaznodzieję swego, gdyby nie wiadomy pożar: owe dokumenta, nie wydrukowane wcale w korespondencyi. Szczerze tego żałujemy, gdyż byłyby ciekawy dla nas sąd Poniatowskiego o ukoronowanym swoim poprzedniku.

Pani Geoffrin, korzystając z danego jéj przywileju, wglądania w sprawy królewskie, nalega aby niezwłocznie się ożenił. „Drogi mój synu! pomówmy o małżeństwie, pisze w jednym z piérwszych swych listów. Przyślij mi obszerną rozprawę w tym przedmiocie. Ponieważ nie możesz zawrzeć związków bez mego pozwolenia, musisz mi z całym zaufaniem powierzyć twe zamiary.”

Król odpowiada na to w sposób dziwnie tajemniczy i zagadkowy.

„Pięćset mil (lieux) dzieli nas, droga mamó! jestem królem a i któż mi poręczy nietykalność listu mego, jakkolwiek sądzę że bezpieczną posyłam go drogą? O! czemuż nie mogę cię widzieć! powiedziałbym z całą ufnością, co myślę w tym przedmiocie! W każdym razie, przyślij mi twoje rady, te przecież nie zobowiązują do niczego, chociażby nawet list zaginął, a mogą być prawdziwie pożyteczne.“

Nie sądźmy jednak, aby król myślał wtedy o małżeńskich związkach. Wkrótce potem nakreślił te słowa: „Żdaje mnie się nieraz żem poślubił Xantypę! muszę uzbroić się w niemałą cierpliwość i wielkiej użyć zręczności, abym potrafił kiedyś przyjść do ładu z moją rzeczospolitą!“

„I czemuż nie mogę cię widzieć droga mamó!“ powtarza król w każdym nicomal liście. Pani Geoffrin na seryo bierze te słowa, układa w myśli podróż do Warszawy. Czuje ona, że aby utrzymać się na stanowisku Sullego, potrzeba koniecznie zobaczyć Henryka IV w jego domu, odetchnąć otaczającą go atmosferą. „Ściczka przyjaźni zarośnie trawą, jeśli jéj nie udepczesz,“ słusznie mówi przysłowie. Piszze zatém do króla, oznajmia mu swój zamiar, zasięga stanowczo jego rady. Przytaczamy ten list, charakteryzujący wybornie tę niepospolitą kobietę.

„Drogi mój synu! muszę pomówić z tobą rozsądnie, o podróży mojej do Polski. Powzięłam ten zamiar, pragnę go wykonać, a wykonanie to nie jest w oczach moich zbyt trudném. Najprzód zdrowie moje wyborne, powtórze, nie jestem bojaźliwą, ani wymyślną jak wiele innych kobiet; potrzecie, urządziłam się w taki sposób, że ten wydatek nie będzie mi wcale uciążliwym; poczwarte, a co najważniejsza, czuję że nie podobnaby mi było, utrzymać z tobą dalszego stosunku, gdyby pojęcia moje o twoim umyśle, o doniosłości poglądów twoich, nie mia-

ły już być odnowione. Co więcej, lata i okoliczności, mogły wpłynąć na zmianę twego charakteru. Twoje serce jak myślę, zawsze toż samo, widzę z tkliwęj przyjaźni, jaką mi stale okazujesz; ale to uczucie osłabnie mimowoli, z powodu że czas zaciera najściślejsze związki, stosunek nasz stanie się oschłym, kiedy to wszystko co ci powiem, nie będzie w harmonii z tém co czujesz, co cię bezustannie otacza.

„Z mojej zaś strony, odkąd uczuję że się na nic nie przydam, nie będę chciała klektać ci nad głową daremno. Dziś jeszcze umiem z całym taktem, obliczyć wpływ jaki wywieram na serca i umysły bliskich mi osób. Nie zerwałam z tobą królu, bo ogarniam cię jeszcze myślą i pamięcią, lecz to, powtarzam, osłabnąć musi.

„Niechże Wasza Królewska Mość odpowie mi z całą otwartością na zapytanie moje. Kiedy mówię z całą otwartością, niechże to będzie tak, jakbyś mówił panie, sam do siebie, zamknięty w gabinecie twoim. Nie obrażaj mnie trudności, jakie możesz mi stawiać, bo znasz je lepiej odemnie, a pozwól mi powiedzieć, że serce moje stokroćby więcej cierpiało, gdybyś mnie narażał na podróż, która nie mogłaby mi dać całej przyjemności i słodczy jakich mam prawo wymagać od przyjaźni twojej. Nie żądam nic ze strony próżności, *incognito* odpowiada mi najlepiej. Mały pokój, w którym zechcesz mi poświęcić niekiedy chwilę wolną. To wszystko czego żądam. Zostanę dwa lub trzy miesiące w Warszawie, a potem wrócę cwiana wonnością twych balsamów, jak oblubienica z pieśni nad pieśniami. Kiedy powiesz mi drogi synu, jak uważasz ten zamiar, doniosę ci wtedy, w jaki sposób myślę go uskuteczyć; ale powtarzam raz jeszcze, potrzeba abyś z całą prawdą, jaka powinna mieścić się w sercu królów, wyraził mi co myślisz i przewidujesz. Nie powiem ci królu że spełniam wielką ofiarę opuszczając mój dom, nie godzi się zwać ofiarą tego, co czynimy dla ukochanych. Powiem po prostu: jestto mały datek, poświęcony przyjaźni, ale niechajże ten datek miłym będzie, nie tylko temu komu uczyniony, ale i otaczającym go osobom, a otoczenie twoje królu bardzo liczne i różnorodne. Widzę to ztąd, nie chcę jednak przesądzać jak przyjętą zostaną. Otwartości! otwartości! otwartości.“

Król odpisuje na to: „Oto odpowiedź moja podyktowana szczerem uczuciem i zupełną otwartością:

„Będziesz mieszkała mamó w zamku moim, na jedném ze mną piętrze, kilka pokoi zaledwie nas oddzieli. Obiad i wieczerzę będziesz jadła u siebie kiedy zechcesz, lub ze mną kiedy będę wolny od urzędowych reprezentacyi. Znajdziesz powóz gotowy na rozkazy twoje. Widywać będziesz tych tylko, których widzieć zapragniesz; poznanie z tobą stanie się dla każdego zaszczytném i łaską najwyższą. Będziesz wolną raz na zawsze od wszelkich publicznych wystąpień. Skoro się dowiem jaką obrałaś drogę: na Wiedeń, na Drezno, czy na Berlin, wyprawię naprzeciw ciebie zaufanego człowieka, znającego język francuzki, niemiecki i polski, aby czuwał nad tobą i doprowadził cię szczęśliwie do Warszawy, gdzie czekam cię z żywém upragnieniem.

A więc nie lękaj się żadnych trudności, przybywaj, błagam cię o to. Sprawisz mi przyjemność, bardzo wielką przyjemność.

„Rzecz niewątpliwa, że w położeniu twojem, ta podróż podjęta aby mnie widzieć, jest nadzwyczaj drogą dla mnie ofiarą; wierz mi, że znam całą jej wartość i na jej miarę oceniam twoje dla mnie uczucia. Słuszną czynisz uwagę, że aby osądzić się sprawiedliwie, po dwónastoletniem rozłączeniu i po tak wielkich zmianach, potrzeba się widzieć na nowo. A więc przybywaj mamó, zobaczysz mnie jakim jestem *à jour*, pragnę tego, bo znając cię, wiem że nie przyjedziesz dla pochlebstwa ani próżnej rozrywki. Twoja podróż powinna stać się dla mnie o tyle pożyteczną, o ile mi będzie przyjemną. Co do mego otoczenia, niema tu nikogo (zaręczam to uroczyście), ktoby miał sprawić ci najmniejszą przykrość. Zobaczysz w braciach moich, ludzi bardzo uczciwych, bardzo prawych i szczerze przywiązanych do mnie z zasady i wrodzonej skłonności. Moi starzy wujowie, czekają cię z równem jak ja upragnieniem. Wszystkie młode kobiety mego dworu otoczą cię szczerą życzliwością, zapewnić mogę, żyć będziesz w szczupłym lecz wyborowem kółku. Co do mnie zastrzegam sobie codzień kilka chwil (a te chwile będą niekiedy godzinami), w których wypowiemy sobie nawzajem naszą myśl o ludziach i rzeczach.

„Żegnam cię mamó, powtarzam ci raz jeszcze najszczerzej, najotwarciej, odkładając na bok wszelkie komplementa, pragnę cię tu widzieć i przewiduję tylko radość z twego przybycia.“

Po takim liście, pani Geoffrin nie waha się dłużej. Wielka to była odwaga z jej strony, przedsiębrać tak daleką i uciążliwą w te czasy podróż. Miała już lat sześćdziesiąt siedm, życie całe spędziła w wygodnym domu, przy ulicy St. Honoré, z kąd nie oddalała się nigdy, nawet za rogatki Paryża. Względy te wcale jej nie zrażają. Zamawia podróżną karetę, urządza' interesa, gotuje się skrzętnie do drogi. Nagle na pogodnym dotąd widnokregu powstaje pierwsza chmurka. Gorliwa opiekunka dowiadyuje się, że ten którego zowie synem, wyprawa bez jej wiedzy agentów do rządu francuzkiego, aby działali w jego sprawie. Obrażona, wybucha gniewem. Stanisław August uniewinnia się jak może, usuwa podejrzenia, zwała winę na nieproszonych pośredników, nalega coraz silniej o przyjazd. Pani Geoffrin pomimo przezorności, wierzy, bo serce jej wierzyć pragnie.

Zamiar podróży zaniechany chwilowo, ma się niebawem urzeczywistnić. Przyjaciele nie wiedzą o tém, próżnoby jej kłopotali głowę, przedstawiając trudności, niepodobne do wykonania. Dziwią się tylko, widząc niezwykły ruch w domu, patrząc na ciągłe jej przejażdżki.

„Jestem w tój chwili mój synu—pisze do króla—jak te drobne ptaszyny, co próbują skrzydełek. Od dziesięciu lat, ani razu nie nocowałam za domem, a tymczasem od miesiąca, przejechałam do stu mil, odwiedzając znajomych o dziesięć lub piętnaście mil od Paryża. Moi przyjaciele, zdziwieni temi wycieczkami zaczynają coś bąkać, że

się zaprawiam do dalekiej podróży. Odpowiadam im: „Kto wie, nie widzę w tém niepodobieństwa.“

Przezorna kobieta obmyśliła naprzód cały program. Podróż miała trwać sześć tygodni, licząc w to krótkie przestanki po wielkich miastach. Postanowiła jechać na Frankfurt i na Wiedeń. Złe drogi tak powszechne w tych czasach, wcale jęj nie ustraszały. „Skoro inni przejechać mogli, czemużbym i ja nie miała“ powtarzała do siebie. Bała się tylko zabłądzić w wielkich lasach pomiędzy Frankfurtem a Lipskiem.

Przedstawiono jęj że droga na Berlin najkrótsza; nie chciała słuchać o nięj. „Drogi mój synu, pisze w tym przedmiocie do króla, nie mam najmniejszej ochoty widzieć króla pruskiego. Człowiek to rzadki w oczach moich, ale nie nazwę go ani wielkim człowiekiem, ani też człowiekiem cnotliwym. Ma rozum, ma wyższe zdolności umysłowe, ale nie ma ani uczucia w sercu, ani cnotliwych zasad w duszy. Zdolność i powodzenie dają rozgłos, ale tylko cnota, prawdziwą daje chwałę. Za lat pięćdziesiąt, nikt już nie będzie mówił o królu pruskim.(!!!) Wygrywał bitwy, ale gdzie są czyny jego naznaczone ludzkością, sprawiedliwością, wywołane pobudką szlachetną i wspaniałomyślną? Miałże kiedy przyjaciół? Uszczęśliwiłże ludy? Bynajmniej; tego mi niepokazesz. Co więcj, skłonny do niskiej zawiści jak człowiek upośledzony umysłowo; a przecież to człowiek nieposledni, i czegoż ma drugim zazdrościć? Ma pretensję do wielkiego rozumu, jakby jaki zarozumiały nieuk, a przecież niezbywa mu na rozumie. Chciałby być poetą i królem. Jest królem, a żyje jak dziwak; z zasady chce udawać dzikiego. Nie zna uroku wyborowego towarzystwa; nie wie co to urok przyjaźni. Królem jest bez godności, słowem nie ma żadnej cnoty, ale mnóstwo wad; kryje się sam, by je ukryć przed światem. Postać jego szpetna, nie budzi we mnie żadnej ciekawości; nie pragnę też zajrzeć do jego duszy ani serca. Powtarzam ci mój synu, nie chce go wcale widzieć! Kiedy go postawię przy tobie, myślę w duchu, jakąż to różnica! Przysięgam ci, że nie miałabym wcale ochoty, nazwać się jego mamą!“

Nadeszła wiosna r. 1766. Dwór wersalski wreszcie, uznał królem Stanisława Augusta. Szambelan Łojko przywiózł do dworu list królewski. Miał niebawem odjechać, pani Geoffrin odbyła z nim podróż do Wiednia. Tu zatrzymała się, aby nabrać sił do dalszej drogi: spoczynek ten więcj ją utrudził, niżeli sama podróż. Zobaczmy jak opisuje pobyt w Wiedniu, w liście do jednego z paryzkich przyjaciół.

„Drzwi mego pokoju nie zamykają się na chwilę. Tłumy paziów i kamerdynerów, przynoszą mi bezustanku listy powitalne, zaprosiny na obiady, wieczerze i t. p. Od godziny jedenastej, ambasadorowie różnych dworów, i wielcy panowie których niegdyś przyjmowałam w domu moim, przybywają z hołdami; czuję się prawdziwie przygnębiona. Książę Kaunitz wielki kanclerz, zaprasza mnie co dnia na wieczerę, okazuje mi najwyższe względy; wszyscy dziwią się temu,

a ja więcej niż drudzy. Raz rzekłam do niego: „królowa Trebizondy nie doznałaby tu świetniejszego przyjęcia.“ „Nie ma w świecie osoby, odrzekł książę, godniejszej nad panią poszanowania i czci naszej.“

„Nazajutrz po przyjeździe moim, ciągnie dalej, księżna Kińska zawiozła mnie w miejsce, podobne do naszych Pól Elizejskich. Cesarz był tam z jedną z arcyksiężniczek. Ledwie że się powozy nasze minęły, zawołano: „cesarz powraca!“ Wychyliłam głowę przez okno, aby go lepiej widzieć. Powozy stanęły. Cesarz wyskoczył spiesznie, zbliżył się do naszej karety; po uprzejmym powitaniu, rzekł do mnie, iż zmuszony teje nocy wyjechać do obozu, pragnął mnie poznać najspieszniej. Dodał potem „jak szczęśliwy król Polski, że znalazł taką przyjaciółkę!“ Zawstydzona byłam tém wszystkim, nigdy w życiu nie czułam się tak głupią jak w tej chwili. „Czyż podobna, zagadnęłam nakoniec, aby Wasza Cesarska Mość, wiedzieć mogła że ja istnieję na świecie?“ A on na to: „Znam panią doskonale; wiem coś pani opuściła, porzucając dom swój na tak długo.“ A potem mówił do mnie, jak gdyby uczęszczał na nasze środowe zebrania. Chciałam wysiąść z karety, oddać mu pokłon; zatrzymał mnie, z nieporównaną grzecznością.“

Pani Geoffrin przedstawiła się cesarzowej Maryi Teresie; opowiada posłuchanie w tymże liście do przyjaciela.

„Wczoraj widziałam w Schönbrunn, cesarzową matkę, równie jak całą rodzinę królewską. Cesarzowa przemawiała do mnie z dobrocią pełną wdzięku. Wymieniała mi wszystkie arcyksiężniczki jedną po drugiej i młodych arcyksiążąt. Trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego, nad tę całą rodzinę. Jest między nimi jedna księżniczka, dwónastoletnia, piękna jak anioł. Cesarzowa zaleciła mi, abym napisała do Francji, że widziałam tę małą, i zachwycona byłam jej pięknnością. Przy pożegnaniu, Marya Teresa podała mi rękę do pocałunku, a gdy ją prosita, aby mi wolno było złożyć jej hołd mój za powrotem, odrzekła na to grzecznie: „byłabym zazdrosną, gdybyś pani obrała inną drogę.“

Księżniczka piękna jak anioł, była to Marya Antonina; matka pragnęła gorąco zaślubić ją z Delfinem francuzkim. Okoliczności tej przypisać w wielkiej części należy nadzwyczajną uprzejmość cesarzowej, i zabiegi wielkiego kanclerza. Były w tém zapewne inne jeszcze powody.

Po kilkodniowych owacyach, pani Geoffrin puściła się w dalszą drogę: szambelan Łojko pozostał jeszcze w Wiedniu. Towarzyszył jej odtąd przysłany przez króla kapitan Bachone! Miał on z sobą orszak sług i kucharzy; miał srebro, łóżka i sprzęty potrzebne do ozdobienia karczem; miał zapasy żywności: słowem wszystko co mogło uprzyjemnić daleką podróż.

Szczegóły przyjazdu i pobytu w Warszawie pani Geoffrin, zupełnie nam niewiadome. W dwóch listach jej, pisanych ztąd do Wolte-

ra i Marmontela, wyraża się o królu z najwyższym uniesieniem, okazuje najżywszą radość z odbytej drogi.

„Doznałam, pisze, nieopłaconej niczem przyjemności, odwiedzając tego, który był królem mego serca, wprzód, zanim został królem Polski. Wysokie zalety jego umysłu, wzniosłość duszy, niewymowny urok w obejściu i każdym słowie, żywiej poruszają mi serce niż je poruszały zachowane wspomnienia, lubo i te musiały być silne, skoro mnie skłoniły do tak dalekiej podróży. Słodki pokarm, jaki znalazłam dla uczuć moich, obróci się w gorycz na resztę dni, gdy mi przyjdzie, opuszczając te miejsca, wyrzec słowo: na zawsze!“

Pokarm ten nie był jednakże tak słodkim, jak to utrzymywała ogleđna przyjaciółka królewska. Dwómiesięczny pobyt jej w Warszawie, pokryty jest tajemnicą; zastłona jednak nie tak gruba, aby oko przenikliwego czytelnika, nie pod nią nie dostrzegło. Z listów pisanych do króla, zaraz po odjeździe z Warszawy, widzimy iż jakaś niewiadoma okoliczność ubodła jej serce do głębi. Wbrew temu, co Stanisław August, tak uroczyście przyrzekł, otaczające króla osoby, nie tak ją przyjęły, jakby tego pragnęła. Różnemi czasy wspomina to z goryczą.

„Otoczenie twoje królu, mówi w lat kilka później, miało własny interes, aby nietylko oddalić moją osobę, ale nawet aby zniszczyć twoją życzliwość dla mnie, przedstawiając ci w fałszywych kolorach przyjaźń moją.“ „Widzę z boleścią, mówi gdzieindziej, że to nurtowanie wewnętrzne a ciągle, smutny wydało owoc.

„Łatwo zaprawdę niszczyć. Lecz oni nie wiedzą, że kiedy odbiorą ci wszystko, nie zdołają nic odbudować. Numer 1-szy, ufny w swój rozum, nie wątpi że dokaże tego; ztąd też jak kret, podkopuje ziemię dniem i nocą. Działać przy słońcu, w dzień biały, byłoby mu daleko trudniej!“

Numer 1-szy, oznacza księcia kanclerza Czartoryskiego. Nie ulega wątpliwości że pobyt pani Geoffrin w Warszawie, był solą w oku dla rodziny królewskiej, która obawiała się jej wpływu, prowadząc politykę zupełnie przeciwną jej widokom.

Nie obeszło się zapewne i bez innych drobnych przykrości. Sama obecność surowej i poważnej matrony, nie w smak poszła młodym paniom, które wodziły rej na dworze. „Nie dziwię się, pisze król, że z przykrością wspominasz mamę, zimne obejście *maléj*; nie żądam abyś ją kochała, lecz bądź dla niej wspaniałomyślną.“

Z tych drobnych wskazówek widzimy, że pobyt w Warszawie pani Geoffrin, nie odpowiedział wcale jej oczekiwaniom. Sądźmy jednak że ani opozycja rodziny, ani śpileczki *maléj* i *dyabelka*, nie tyle były dla niej dotkliwe, jak inny jeszcze zawód, który niszczył najpiękniejsze jej nadzieje. Sully przebaczał Henrykowi Gabriele i Koryzandy; pani Geoffrin nie byłaby w tym względzie surowszą od Sullego. Co ją przedewszystkiem bolało? oto że czując się być Sullym, nie znalazła w królu Henryka IV!

„Wiele ucierpiało, królu, serce moje, pisze w jednym z listów, od chwili jak się zainteresowało tobą. Mówisz panie: o jakże trudno o prawdziwych przyjaciół, a ja odpowiem na to, że i osoby godne mieć prawdziwych przyjaciół, niemniej też trudne do spotkania!“

Później, na oświadczenie króla, że pragnąby pomieścić jój głowę na posągu przyjaźni, wyraża się z goryczą; „Niestety! i cóż ci przyszło z przyjaźni mojej!“

Nigdzie jednak, boleść z doznanego zawodu, nie objawia się wyraźniej jak w tych słowach: „Mając lat dwadzieścia, ułożyłam plan na wszystkie opoki życia mego. Trzymałam się wiernie tego planu, i dobrze mi z tém było. Podróż tylko do Polski, stała się w mém życiu nadzwyczajnym wypadkiem, nie przewidywałam bowiem, jak wiele przyjaźń dla W. Kr. Mości, wymagać będzie od uczuć moich. Odbylam tę podróż w początku starości; nie mogłabym jój odbyć w młodości, ani nawet w dojrzałych latach: byłoby to miało pozór nieprzyzwoity, a przynajmniej zabardzo romantyczny. Wszystko wyborne się powiodło. Widziałam króla mego, widziałam jego otoczenie, słowem widziałam dobrze to com widziała, i rada jestem żem się zdołała na tę podróż.“

„Widziałam com widziała!“ słowa te zapisane z ironią, alboż nie znaczą wyraźnie: widziałam że nie jesteś, że nie możesz zostać Henrykiem IV-tym!

W pierwszych dniach września, pani Geoffrin biorąc za pozór otwarcie sejmu, postanowiła opuścić Warszawę. Napróżno król nalega aby chciała dłużej pozostać, jak to widzimy z kartki naprędce nakreślonej, przesłanej z pokoju do pokoju: napróżno zapewnia że *burze już minęły*. „Dość długo bawiłam na dworze twoim, miłociwy panie“ odrzeczcie matrona z godnością. Odmawia nawet stanowczo, przyjęcia upominków królewskich, jak czytamy w liście jój do sekretarza Schmidta. Oto jój własne wyrazy. „Napomknąłeś pan wczoraj, słówko o pięknej latarni, którą król kazał powiesić w gabinecie moim, i o wazonach porcelanowych, które pokazywałeś mi w skarbcu. Daje mi to do myślenia, że J. Kr. Mość pragnie ofiarować mi upominek przed wyjazdem. Królewski zamiar nie dziwi mnie bynajmniej; rzecz prosta że chciał król pochwyć sposobność, aby dać mi dowód dobroci i wspaniałomyślności swojej. Ośmielam się jednak powiedzieć, że ponieważ odwiedziny moje wychodzą za obręb zwyczajnego porządku rzeczy, uczucie które mnie tu przywiodło, nie da się okupić żadnymi w świecie datkami. Nie przyjmę więc upominku, racz pan uwiadomić o tém króla; odmawiając jednakże darów, przyjmę z wdzięcznością opiekę, jaką zechce rozciągnąć nademną w podróży, abym powrócić mogła bezpiecznie do kraju mego.“

Z całego dworu Stanisława Augusta, dwie tylko osoby zjednały sobie żywą przyjaźń i szczery szacunek pani Geoffrin. Jedną z nich była księżna Lubomirska, strażnikowa koronna, córka księcia Augusta Czartoryskiego; drugą kasztelanowa krakowska, żona wielkiego

hetmana Branickiego, starsza siostra Stanisława Augusta. Obie wspomina do śmierci z najwyższém uczuciem; pierwszą z nich zaleca nieraz królowi, jako wyższą kobietę, której rady mogą być prawdziwie pożyteczne.

Według przyrzeczenia danego cesarzowej Maryi Teressie, pani Geoffrin powracała na Wiedeń. Tu była przedmiotem nowych grzeszności i nowych owacy, które przecież nie nagrodziły jęj zawodu spotkanego w Warszawie. Z pań polskich przebywających w Wiedniu, szczególnież przypadła jęj do serca księżna Lubomirska. „Nie mówi ani słowa po francuzku, pisze o nięj, ale rozumie trochę. Zaprosiła mnie na obiad, rozmawialiśmy z sobą na migi: to matrona niepospolitego charakteru.“ Sąd tak przychylny o kobiecie, która ani słowa po francuzku nie umiała, świadczy o wytrawnym umyśle pani Geoffrin. Szukała jak widać w ludziach nie zewnętrznego pokostu, jaki nadawała w tych czasach francuzczyzna, ale gruntownych i rzeczywistych zalet.

W Wiedniu pani Geoffrin odbiera list od króla pełen uniesień i czułości: „Odjechałaś więc! siostra moja odjechała! Obudziwszy się ze snu, znalazłem pusty mój zamek i dzień zarówno pusty! pozostałem sam, zupełnie sam, niemy, z sercem ściśniętém i zbolałem! Odwagi i cierpliwości! Gdy ujrzysz to godło wyryte na tarczy, możesz wtedy zawołać: mój rycerz jest tu! mój syn jest tu! O! Boże, jakaż byłaby radość moja, gdybym ci mógł oddać nawzajem odwiedziny droga mamol! Gdyby mi tak łatwo przyszło opuścić mój *dyabelski* kraj (mon diable de pays) i pospieszyć do ciebie, jak tobie przyszło opuścić Paryż i przybyć w moje progi!”

Do listu swego dołącza król list z Ferney, odebrany po odjeździe pani Geoffrin, do nięj adresowany.

„Podróż twoja pani, pisze Wolter, powinna stanowić we Francyi epokę dla ludzi myślących. Jesteś świadkiem tego co czyni król-filozof dla szczęścia swego kraju. My w Paryżu mamy opery komiczne, ale mądrość jest na Północy! Przy lekkomyślnęj wesołości naszęj popełnia się u nas więcej szkarad, niż w jakimkolwiek innym narodzie.”

Na oświadczenie królewskie, pani Geoffrin odpowiada z całą godnością: „Niezadowolenie moje, bynajmniej nie stargało dawnych uczuć dla W. Kr. Mości. A jednak wszystko widziałam, wszystko poznałam, wszystko odczułam! Boleść moja przy rozstaniu, niechaj będzie rękomią mego przywiązania; czas nigdy go nie zatrze!”

„Są w liście W. Kr. Mości wyrażenia, które kilka miesięcy temu przejęłyby mnie najwyższą radością, ale znalazłam tak wielką różnicę pomiędzy listami a uczynkami, że w tych słówkach pieszczotliwych widzę jakoby tuman szatański; płakałam jednak czytając ten list i teraz znowu płacę. Niestety! pozostaje mi tylko uzbroić się na przyszłość przeciwko czarodziejstwow, pamiętając ile wycierpiałam!”

List Woltera dotknął ją w przykry sposób. „Jakże ten list płaski i pospolity! pisze do króla. Kiedy ten człowiek coś sobie uwidzi,

nikt mu tego z głowy nia wybije. Nie pierwsze to obelgi, jakie rzuca w oczy nam Francuzom!”

Pani Geoffrin niecierpiała Woltera. W lat kilka później, kiedy zbierano podpisy na jego posąg i zamówiono go już u Pigala, mówi o tém z najwyższym oburzeniem. „Dwunastu szalonych fanatyków wymyśliło ten projekt: ci fanatycy zapalili mnóstwo głów, podnieśli miłość własną osób znakomitych, nawet książąt i królów. Zebrano wiele pieniędzy na zapłacenie tego szaleństwa. Gdy pytano co o tém sądzę, odpowiedziałam z całą otwartością, że nie dam ani jednego luidora. Gdyby to jeszcze biust albo medalion, możnaby zachować w nim pamięć człowieka wszechstronnej nauki i wysokiego talentu; ale posąg należy tylko wielkim ludziom, którzy zastużyli się ojczyźnie chwalebnym czynem i poświęceniem. Słowem widok znakomitego pomnika, powinien budzić w młodzieży głębokie poszanowanie i prowadzić ją śladem uczonój w ten sposób osobistości. W. Kr. Mość wie, jakie wrażenie sprawił posąg Aleksandra Macedońskiego na Cezarze. Tymczasem widok pomnika Woltera obudzi tylko w młodem pokoleniu chęć odczytania jego dzieł, lecz nie doda im bodźca do pracy, nie zbudzi nawet żalu. Ten posąg nie może znaleźć miejsca w akademii francuzkiej, byłaby to zniewaga dla przeszłych, dla współczesnych i przyszłych mężów nauki; nie można także umieścić go w teatrze francuzkim; nie postawią go też na *Pont-Neuf* obok naszego Henryka IV-go, ani na żadném miejscu publiczném. Nikt nie wie co z nim zrobić.”

I cóżby powiedziała pani Geoffrin, gdyby ujrzała dziś te pomniki i popiersia Woltera i w teatrze, i na placu publicznym, i w akademii, i w Sorbonnie; słowem wszędzie wyjąwszy na *Pont Neuf*! Coby powiedziała na te popularne wydawnictwa jego dzieł, rozbiegające się po kraju, niby złowrogi pożar, przysposabiające pomiędzy ludem komunardów i podpalaczy?

Potrzeba było zaprawdę wielkiej odwagi cywilnej, aby tak śmiało zaprotestować przeciwko Wolterowi, w chwili kiedy wszyscy uderzali mu czołem zacząwszy od monarchów. I dziś pamięć Woltera odbiera jeszcze hołdy, lecz te są raczej objawami stronniczych doktryn, niż gorącego jak dawniej uniesienia.

Po powrocie do Paryża pani Geoffrin, korespondencya z królem rozpoczyna się na nowo. Listy Stanisława Augusta pełne zawsze najśodszych wyrażen z dziwną obmyślanych zřecznościami; listy poważnej matrony przyzwoite, ceremonialne: nie szukać w nich już tego serdecznego wylania, jakie widzimy w dawnych.

„Dlaczego ten majestat? powtarzany co słowo w listach twoich, pyta król, chciałażbyś mnie ukarać albo zmartwić?”

Pani Geoffrin nie poprawia się jednak, wyraz syn nie chce jakoś wybiegać z pod jój pióra, mimo że król jak dawniej zowie ją drogą mamą.

Złudzenie przeszło.... To nie Henryk! powtarzała matrona po każdym nowo odebrany m liście. W pićrwszym oto Stanisław August

utyskuje na ciężar przyjętych obowiązków: „mój sejm miał trwać sześć tygodni a trwał aż dwa miesiące! Wyobraź sobie mamó co miałem trudu! Posiedzenia kończyły się zawsze o północy; ostatnie zajęło ośmnaście godzin, od trzeciej z południa aż do dziewiątej rano! Każdy z członków może przynajmniej oddalić się na chwilę i posilić; ja tylko z marszałkiem siedzieć musimy jak przykuci, gdyż nieobecność nasza zawiesza czynności sejmowe. Biedny marszałek zemdłał o ósmej rano ¹⁾, ja dotrwałem do końca.”

W innym znowu liście żali się na trybunałskie sprawy. „Opuszczam cię mamó! za chwilę mam sędzić proces. Co powiesz? to należy do mojej roli! Henryk Walezyusz uciekł ztąd, stawiając między innymi powód, że zrobiono z niego prezesa trybunału!”

Skarżi te niecierpliwą energiczną kobietę, zrazu nie pokazuje tego, później jednak kiedy sprawy zaczynają się komplikować, taką daje królowi radę: „zrzuć Miłościwy Panie ten ciężar! jedź do Rzymu, oblecz sutannę; otrzymasz może kardynałski kapelusz!”

Oblicze króla rozchmurza się tylko kiedy mówi o sztuce. Z jaką to radością opisuje nowo nabyte skarby do galeryi obrazów! „Co powiesz mamó droga! Znalazłem tu prawdziwego Karla Vantoo! cudowny oryginał: *Koncert u wielkiego sultana*. (Tu następuje szczegółowy opis każdej odaliski na obrazie). Znalazłem także przesliczne kwiaty, dwóch Von-Huysumów; wyprawiono dla mnie z Wiednia prawdziwego Rembrandta i dwa obrazki flamandzkie z Brukselli, jak mówią bardzo dobre. Z Włoch czekam też przesyłki, pamiętam żeś mi przyrzekła mamó dwóch Wernetów! Widzisz więc że pomału ptaszek ściele sobie gniazdeczko.”

Pani Geoffrin kochała także sztukę, dostarczała pracy artystom, opłacała złotem ich utwory; czuła jednak że w chwilach naglących potrzeb, nierównie ważniejszych, nie godzi się rozrzucić pieniędzy na rzeźby i malowidła. Znane jej bogate zbiory Luwru, znana do gruntu ich historia. Mało płonów do tej skarbnicy przyrzucił Henryk IV, wielki organizator kraju! Niecierpliwiły ją też owe ciągłe obstalunki czynione za jej pośrednictwem, to coraz nowych obrazów, to Wenery Pigalla, to posągu pani de Pompadour, to biustu Woltera i t. p. Nie były to czasy potemu!

Nie widzimy w wydanej korespondencyi listu, w którym pani Geoffrin objawia swoje podziwienie w tym względzie; łatwo jednak domyślić się jej uwag z odpowiedzi królewskiej.

„Dziwisz się mamó, że z taką swobodą umysłu mówię ci o moich budowlach wśród otaczającej mnie burzy. Sądzę że ci to wytłumaczę. Wyobraź sobie, że widzisz o pół mili jak gore miasto lub gmach, gdzie mieszkają drogie ci osoby. Byle te osoby zachowały choć trochę przytomności umysłu, byle pożar nie wszczął się z nienacka (jak mina prochu w powietrze wysadzona), ale szerzył się pomału

¹⁾ Marszałkiem sejmu tego (1766) był Celestyn Czaplic podkm. łucki.

i stopniowo; idę o zakład że ci pogorzelnicy zachowają zimniejszą krew od ciebie, a to z powodu że patrzą z bliska na nieszczęście: gdy tymczasem trwożliwa przyjaźń twoja potęguje zło do ostateczności. Wśród największego pożaru są jednak ścieżki nie ogarnięte płomieniem, które można sprowadzić wreszcie wodę. Z daleka ty nie możesz ich widzieć, nie wiesz nawet czy przyjaciółom niebrak studni!

„Nie ja zatliłem ten pożar, czynię jednak co mogę aby wszystko nie pogorzało. Ponieważ zaś chcąc działać, trzeba zachować głowę, ponieważ łatwo ją stracić, jeżeli wśród ciężkich a bezustannych zgryzot nie odżywiamy ją miłą rozrywką, ja szukam odetchnienia w budowlach moich, obrazach, rycinach i innych przedmiotach tego rodzaju. Zresztą zamek warszawski rozsypuje się w gruzy, wymaga zupełnego odnowienia: zmuszony jestem przenieść się w inne miejsce. Dlatego muszę wykończyć pałacyk w Ujazdowie: nastąpi to w tym roku albo w przyszłym.”

Dalej dodaje: „potrzeba mi koniecznie utrzymać zdrowie ciała i duszy, strugam więc strzałę z każdego drzewa aby się zadowolnić!”

„Rada jestem, odpisuje na to pani Geoffrin, że są ukryte ścieżki, któremi pogorzelnicy mogą ująć niebezpieczeństwa. Skoro W. Kr. Mość upewniasz mnie że woda przyjdzie, pragnę niechaj się otworzą wszystkie upusty niebios. Rozumiem zupełnie, że zabawa w wiejskiem ustroniu potrzebną mu koniecznie do roztargnienia!”

W inném miejscu z większą jeszcze wyraża się ironią: „Telemak (król) wydaje się w oczach moich, jak owi trzej hebrajczycy, których Nabuchodonozor kazał wrzucić do ognistego pieca, gdy nie chcieli uczcić jego posągu, a którzy zamiast płomieni znaleźli tam słodką rosę i żyli w niej jak rybki na dnie wody.”

Żałujemy prawdziwie, że wiele bardzo listów tak pani Geoffrin jak króla, brakuje w wydanej korespondencji. Brak ten szczególnie widzieć się daje od roku 1768. Niektóre listy przerwane widocznie w połowie. Kto usunął i poobcinał owe listy, trudno zgadnąć; cel jednak tego usunięcia zdaje się być widocznym. Szło tu głównie o przedstawienie Stanisława Augusta w jaknajkorzystniejszém o ile można świetle; wszystko więc, cokolwiek mogło rzucać jakąś skazę na jego osobistość, oddalono starannie. Jeśli to uczynił p. Mony wydawca listów, albo ci, którzy mu ich dostarczyli: cel ich najzupełniej chyby. Wypadki tych czasów doskonale są znane: ogłoszona korespondencya nie mogła dorzucić nic nowego pod względem historycznym, strona psychiczna stanowi całą jej wartość; usunięcie zatem kilkunastu i to najważniejszych listów, zmniejsza znaczenie jej pod tym ostatnim względem.

Nie znajdujemy naprzykład w listach pani Geoffrin, ani jednej rady udzielonej królowi, a przecież widzimy wyraźnie że je dawała i to nieraz. Cóżby inaczej znaczyły jej wyrazy w liście z lipca 1767 roku? „Nie pozwolę już sobie powiedzieć memu królowi ani słówka o polityce, on widzi zdaleka czarny punkt w myśli mojej, i to go czar-

no przeciw mnie usposabia. Nie taki mój cel, pragnę tylko dawać mu w każdej chwili dowody mego przywiązania. Król mój stawia mi jako przykład, swoją odwagę i moc duszy, otrzymane jak mówi od Boga. Ale Bóg nie rozrzuca darów swoich: ciebie królu obdarza siłą w obec przeciwności, mnie pozostawia bez wsparcia, z myślą smutną, udęczoną cierpieniem twojém. Lecz dosyć tego! mówmy o innych rzeczach.“

W miesiąc potem wyraża się znowu: „Moja trwała przyjaźń, nie przyniosła pożytku W. Kr. Mości, częstokroć nawet była jój natretną a nawet uciążliwą, z powodu surowych moich zasad.“

Uproszona przez sławną aktorkę Clairon, która pragnęła koniecznie jechać do Polski, tak zaczyna list rekomendacyjny:

„Przyrzekłam królowi memu, nie pisać już nic, coby mu niemim być mogło: dotrzymuję danego słowa. Mam do przedstawienia mały interes, ten go przynajmniej nie znudzi, chociażby nie dał się wykonać.“

Zdaje się jednak, że pani Geoffrin, zagnana wypadkami, odstąpiła od zamiaru swego; zdaje się że serce przemogło w niej nad chłodnym rozumowaniem, że pozwoliła sobie nowych rad czy upomnień, któremi dotknęła do żywego miłość własną Stanisława Augusta. Następuje długa przerwa w korespondencji. Od 6 lipca 1768 roku, do 30 sierpnia roku następnego, nie widzimy w wydanym zbiorze ani jednego listu króla, nie możemy też wiedzieć, jaka okoliczność stargała harmonię, pomiędzy przybraną matką, a tak zwanym jój synem. Że gwałtowna jakaś burza przeszła pomiędzy nimi, świadczą o tém dwa jój listy z września i października 1768 roku. Pierwszy z nich wyprawiła do Warszawy, w chwili kiedy sekretarz królewski Schmidt, opuszczał Paryż, po dwómiesięcznym pobycie. Przez tego to sekretarza, odesłała królowi wszystkie jego listy, pisane od czasu elekcji. Powtarzamy dosłownie wyrazy pani Geoffrin.

„Pan Schmidt złoży W. Kr. Wości, zamknięty pugilares, od którego posyłam kluczyk. W. Kr. Mość znajdzie tam całą korespondencję, jaką zaszczycać mnie raczyła od wstąpienia na tron, aż do chwili obecnej.“

„Błagam W. Kr. Mość aby chciała zawierzyć, iż ani zły humor, ani wewnętrzny kwas nie jest powodem tój ofiary. Czynię ją tylko, przejęta głębokim szacunkiem, dla osoby W. Kr. Mości. Oto powody jakie mnie do tego skłoniły: dni moje policzone, każda godzina może być dla mnie ostatnią. Byłoby nieprzyzwoicie, aby dowody przyjaźni i zaufania jakich doznałam od miłościwego króla mego, miały wpaść w obce ręce i doczekać się kiedyś publicznego ogłoszenia. Mogłam je spalić ale nie czułam się na to dosyć silną, wołę raczej złożyć je w ręce które nakreśliły te drogie dla mnie zgłoski. W. Kr. Mość może uczynić z temi listami co uzna za właściwe. Ja nie pragnę nigdy ich widzieć, ani też słyszeć o nich.“

„Pan Schmidt odczytał mi ustęp z listu, który odebrał od W. Kr. Mości, z kąd widzę że Ją obrazila ostatnim listem. Serce mo-

je od dawna było przepełnione, nie mogłam go powstrzymać, wylało się na zewnątrz, ale mogę zaręczyć, że cokolwiek z niego wypłynęło, najszczęśliwszą jest prawdą.

„Czas wszystko niszczy: zatrze też w krótkce w umyśle W. Kr. Mości niemiłe wrażenie tego listu, a ponieważ W. Kr. Mość zapewnia pana Schmidta, że nie zmienia dla mnie swych uczuć, zachowa mi przeto łaskę swoją, której będę godną do ostatniego tchnienia.“

Co król odpowiedział, niewiadomo; odpowiedź ta bowiem usunięta ze zbioru; że jednak była, świadczą o tém słowa pani Geoffrin: powtarzamy jęj list pisany potem.

„Najjaśniejszy Panie! Sądzę że pobudki które mnie skłoniły, do złożenia w ręce W. Kr. Mości, dowodów jęj przyjaźni i zaufania były roztropne, oględne, nacechowane głębokiem poszanowaniem. Mam zaszczyt powtórzyć tu raz jeszcze, że nie wypadło aby w papierach moich znalezione były te listy. Jestem zupełnie zdrowa, ale w siedm-dziesiątym roku, trudno ręczyć za jutro.

„Czuję się w filozofii silniejszą od Sokratesa. On pięknie rozprawiał o śmierci, ja zaś patrzę na nią spokojném okiem. Czynię do nięj przygotowania, tak samo jak się wybierałam w podróż do Polski; spokojnie i wesoło. Pragnę kochaną być od przyjaciół za życia, lecz nie chcę udrećcać ich zbytнім żalem. Nie mam powodu lękać się teraz, abym pozostawiła ciężki żal J. K. Mości.

„List, który zowiesz Miłościwy Panie straszny listem, potrzebnym był koniecznie, aby przynieść ulgę sercu memu. Od powrotu z Warszawy, krępowałam je gwałtem; przepełnione wybuchnąć musiało. Dziś nie ma w niem goryczy; zachowa do skonu przywiązanie ku W. K. Mości, cieszyć się będzie Jęj radością, smućć Jęj smutkiem, powoli, spokojnie, bez kwasu; wszystko bowiem wyrzuciło już z siebie.“

Po kilkumiesięcznej przerwie, korespondencya zawiązuje się znowu, ale nie znaleźć w nięj dawnęj swobody: każde słowo zważone, obmyślane. Może być że do przymusu ze strony pani Geoffrin, przyczynia się także i myśl, że jęj listy nim dojdą właściwego przeznaczenia, mogą wpaść w ręce obcych, niezyczliwych jęj osób. Stanisław August wyraża się niekiedy po dawnemu: „Mamo droga!—pisze w jednym liście—jak szczęśliwi ci których ożywasz twym wesołym umysłem! Błagam cię, gdy zechcesz pisać do mnie, przysyłaj mi choć po kilka tych ożywczych iskiełek, co tryskają zawsze z myśli twojęj. Powiesz zapewne, że o pięćset mil, iskiełki tracą połysk. Dla nas nie tracą go bynajmniej. My wszyscy znamy Paryż, żyjemy jego życiem. Nawet ci co nigdy tam nie byli, pojmują go wybornie!“

„Rada jestem, odpowiada pani Geoffrin, że W. K. Mość pamięta dawną wesołość mego umysłu. Nigdy się w życiu nie śmiałam, śmiech drugich nie sprawiał mi najmniejszjęj przyjemności, ale myśli moje były wesołe, częstokroć nawet komiczne. Niestety! cała ta wesołość wewnętrzna, odbiegła mnie w chwili gdym opuściła Polskę. Ożywiam się czasami jeszcze, lecz natychmiast upadam. W wyobra-

źni mojej powstały jakieś czarne plamy; to na co patrzę w kraju własnym, nie zdoła mnie pocieszyć. Pożegnałam się z wesołością; nakażać jój sercu niepodobna!“

Pani Geoffrin do ostatniego tchnienia, dochowała wiernie przyjaźni Poniatowskiemu. Uczucie jój dla króla, miało w sobie coś prawdziwie macierzyńskiego. Pragnęła w tym którego nazwała synem, widzieć bohaterski typ Henryka: jój nadzieje zawiedzione zostały. Bolała nad tém szczerze, doznany zawód napełnił jój serce goryczą, zmienił zapewne charakter jój uczuć, lecz nigdy ich nie zatart.

Na kilka miesięcy przed śmiercią, ośmdziesięcioletnia już blisko matrona, dotknięta paralizem, w liście do króla pisany ręką córki, sama nakreśliła te słowa: *Kocham cię całym sercem!* Przy liście posłała mu w ostatnim upominku cztery piękne obrazy z swój galerji.

Pani Geoffrin umarła w roku 1777. Salon jój otwarty niemal do końca, przechował najdłużej świetne tradycje salonów paryżkich XVIII wieku. Odtąd ognisko życia przeniosło się na inne pole. Salony istniały jeszcze ale utraciły charakter literacko-artystyczny i tę 4worską wytworność jaka je cechowała.

Znany krytyk Sainte Beuve mówiąc o salonie pani Geoffrin, podniósł go do znaczenia *instytucji*. Tu młodzi dyplomaci i politycy, po ukończeniu nauk, nabywali poloru, w towarzystwie wytwornych pań, pod wpływem najpierwszych artystów i literatów. Wyszło z tej *instytucji*, mnóstwo ludzi znakomitych nauką i talentami. Stanisław August zaczerpnął tu niewątpliwie, ową miłość sztuk pięknych, która tak silnie przeważała w jego umysłowém wykształceniu.

Mnóstwo w tych czasach wydano w Paryżu zbiorów i zbiorów poetycznych, pod rozmaitemi tytułami. Dalecy jesteśmy, aby z tych wieńców mniej więcej udatnych, wnosić o jakimś nowym a wielkim zwrocie w poetycznym świecie francuzkim. To przecież nie ulega wątpliwości, że wbrew sądom niektórych pessimistów, ani poezja nie chyli się wcale do upadku, ani téż obojętność ogólna, nie utrzymuje polotu młodych, rozpoczynających zawód poetów.

Między innemi, wyszły poezje Armanda Sylvestra, z przedmową pani Georges Sand. Słynna autorka sili się dowieść, że jój protegowany nie jest materyalista. „Nie wierzcie mu wcale—mówi do czytelników—gdy wam powie że piękność zmysłowa jedynem dlań bożyszczem. Sylvester jest spirytualistą mimo wiedzy i woli... On cierpi, on płacze, wówczas nawet gdy zdaje się szczęśliwy, kiedy osiągnął cel najgorętszych swych pragnień!“ Te zapewnienia autorki Lelli, nie są jednak dla nas, a może i dla wielu naszych czytelników, dostatecznie przekonujące. Odsuwamy więc na bok materyalistyczno-spirytualne poezje Sylvestra, nie złudzeni wytwornością ich formy.

Inny zbiór pana Darasse zawarty w eleganckim tomiku, nosi tytuł *Loeta-moesta* (smutno-wesołe). Autor w humorystycznej przedmowie, wyjaśnia czytelnikom znaczenie łacińskiego tytułu. My ten

tytuł zamieniliśmy na inny, jak naprzykład *Plaksa i Wesołowski*; na pierwszych bowiem pięćdziesięciu stronicach, Plaksa wylewa z duszy smutne żale, na drugich pięćdziesięciu Wesołowski wybucha śmiechem. Żale te przecież zapowiedziane z góry, nie poruszają nikogo, śmiech naprzód oznajmiony, nie pobudza do śmiechu drugich. Gdyby autor więcej miał doświadczenia i talentu, zmieszałby razem obie dozy i poszedł śladem starego poety Villona, który mówi o sobie: „uśmiecham się z poza łoża.“ Płakano też z Villonem, płakano niemniej i wielu płacze dotąd z Szekspirem, tym mistrzem, co tak umie łączyć humor z patetycznością.

Rzućmy teraz okiem na zbiór poezyi pana Casalis. Tytuł ich *Illuzye*, zapowiada coś idealnego i cteryicznego. Jakże mylą pozory! Autor śpiewa *requiescat in pace*, na grobie wszelkich życia ułud. Pogrobowe pieśni jego, mają wyraźny charakter panteistyczno-pozytywiny. Tu już pani Georges Sand nie dopatrzyłaby ani śladu spirytualizmu. Pan Casalis nie pokrywa jak Sylvester zmysłową powłoką idealistycznych swych polotów, okazuje się czém jest: jawny zwolennik Darwina, należy on do tych zagorzałych Darwinistów, którzy wyprzedzili mistrza swego, posuwając do wyników krańcowych jego naukowe teorie. Życie w oczach poety, nie jest czém innym, jak prostą grą atomów, poruszających się bezustannie w nieskończoności. Każdy człowiek występuje chwilkę na scenie świata, odgrywa rolę jaka mu przypadła i znika zostawiając miejsce innym aktorom. W różnych formach autor przedstawia szalony taniec śmierci, poruszający jednostki i popychający je na łono wiecznego nicestwa. Wszystko złudzeniem, jak pokazuje sam tytuł książki. Złudą miłość i chwała, złudą praca i cnota nawet, prawdą tylko śmierć. Poeta ze skalpelem w ręku, jak biegły fizyolog, anatomizuje tę nieprzebraną królową świata. Odrzucamy książkę z niesmakiem. Do tych wszystkich złud jakie wlicza autor, dodamy jeszcze jedną: największa wytworność formy, złudą jest, kiedy myśl poety pełza w bagniskach realizmu i uganiania fałszywej teorie.

Nie posądźmy o realizm pana Andreani, autora powiastki poetycznej p. t. *Dyonizya poemat znaleziony na grobie w wiązce kwiatów*. Jestto autobiografia, zmarłego z miłości młodzieńca. Autor zapowiada z góry, że ten tylko kto kochał, zdoła osądzić ów poemat. Nie małą będzie liczba kompetentnych czytelników! Pomyśleliśmy zrazu, przyszedł nam bowiem na pamięć dwuwiersz któregoś z dawnych klasyków spirytualnej szkoły, nakreślony pod posągiem Kupidyna:

Qui que tu soit-voilà ton maitre,

I l'est, le fut, on le doit être.

(Ktobądź jesteś, to pan twój, pan zawsze i wszędzie,
Jest nim dziś, był nim wczoraj lub jutro nim będzie!)

Niestety! zwyczajne pociski amora, nie wystarczają dotkniętym niemi ofiarom, do osądzenia poematu p. Andreani. Ten tylko zrozu-

mieć go może, kto odebrał pocisk śmiertelny!... a przynajmniej zabijający serce, jeśli nie ciało; kto kochał z taką mocą jak ów zmarły z miłości bohater, którego poemat znaleziono w kwiatach na grobie! Takie ostrzeżenie autora wstrzymało nas od rozbioru jego poetycznej powieści: mimo wielu zalet, zakrawa ona na anachronizm, małoby też znalazła zwolenników i kompetentnych sędziów.

Zostawiliśmy na sam koniec *poezye nowe* p. Millien pod tytułem: *Kobzy i Trąby, Legendy dzisiejsze, Pieśni i Sonety, Głos zwalisk, Legendy ewangeliczne, Krajobrazy zimowe*. Sam tytuł świadczy już o różnaitości pomystów. Millien nie jest nowym przybyszem do świata literackiego. Przed dziesięcią laty zjednął już sobie rozgłos, a co więcej nagrodę akademii francuskiej. Odtąd znikł zupełnie z widowni, obwarował się w zaciszy wiejskiej, nie dając znaku życia. Paryż zapomniał o nim, a jeśli który z krytyków przypomniał czasem jego imię, dodawał potem: Jaka szkoda! On tyle zapowiadał!

Otóż p. Millien występuje znów i to z nie małym plonem. Umysł jego dojrzał w zaciszy wiejskiej, duch przyszedł do równowagi; podobnie jak Juliusz Breton uczuł on, że najczystsze źródło poezji spoczywają w piersi wiejskiego ludu.

Rzecz dziwna! to, o czém Brodziński, Mickiewicz, Wincenty Pol, Goszczyński, Bogdan Zaleski, wiedzieli przed pół wiekiem, jest dziś nowym wynalazkiem dla francuzkich poetów, a przecież tych naszych olbrzymów poezyi, niektórzy krytycy jak p. Léger zowią tylko bajronistami.

Książka p. Millien'a ozdobiona pięknymi rycinami, wyszła u Lemerra, specjalnego wydawcy poetów francuzkich. Wśród imion dwódziestu znanych rysowników, czytamy nazwisko Bronisława Zaleskiego.

Czas nie pozwolił nam dotąd rozczytać się w tych pieśniach, znamy zaledwie część ich małą. Powrócimy niezadługo do poety; dziś dajemy tylko kilka krótkich ustępów. Oto obraz staroego rolnika: wieczorem powraca do chaty, gwarząc ze starym jak on pługiem, nieodstępny towarzyszem od dziecka.

Znużone woły stąpają po parze,
Oracz na letnim ogorzały skwarze,
Z pługiem i broną do chaty powraca;
Śpiewa piosenkę: skończona dziś praca!

Siwy jak gołąb, lecz z bary krzepkiemi,
Zim siedmdziesiąt stąpa już po ziemi;
W swym lesie urznął kij co w ręku trzyma:
Wołki pod jego wyrosły oczyma.

Oraczul pług twój na tój żyznój roli,
Zżył się z twém życiem, z sercem zrosł powoli;
Długież on, długie przetrwał z tobą lata:
Gwarzy do ciebie, niby brat do brata!

Twój stary ojciec, który śpi pod darną,
 Jak ty dziś, zorał skibę ziemi czarną;
 Wraca i staje u progu i słuca:
 Płacz niemowlecia dobiegł mu do ucha!

Tys biedny kwilił na macierzy łonie,
 Podjął cię ojciec w spracowane dłonie;
 Odtąd mu jasnym dni snują się wątkiem:
 Dom ożywiła kołyska z dzieciątkiem!

Bawił się z tobą radosny, w dni święta,
 Gdy stary Kudel lizał twe nożęta,
 A kiedy z pieluch wyrosłaś pacholę,
 Bieżysz za ojcem w poskokach na pole.

Czepiasz się pługą, ojciec patrzy w ciebie;
 Wołasz na skręcie: „k'sebie wołki, k'sebie!”
 Rośniesz i z ojcem dzielisz trud napoły:
 On zagon orze, ty poganiasz woły!

W piosence *Smętna dziewczeczka*, dostrzegamy ową głęboką zadumę, właściwą tylko poezji ludowej.

W ogródku tak jasno, tak cudnie,
 Wśród listków poszmeru, łąk woni;
 Kos gwizdże piosenkę w południe:
 I czemużto dziewczę łązy roni?

— Swobodne dziewczę twe lata,
 Dlaczegoż ty płaczesz, dlaczego?
 Wianeczek ci miłość zaplata,
 A łezki po licu twém biegają!

Do słońca się róża uśmiecha,
 Ni chmurka błękitu nie plami!
 — Ach! krótka im, krótka uciecha!
 Dziewczyna odpowie ze łzami.

Słoneczko pokryje wnet chmurka,
 Nad dobę nie potrwa kwiat dłużej;
 A miłość lotniejsze ma piórka
 Od ptaka, słoneczka i róży!

Pieśni wojenne z czasu ostatnich klęsk, zostawiamy do innego sprawozdania. Na zakończenie dajemy jeszcze sonet.

Jeziro.

Jéj dusza to jeziro: po tych wód kryształę,
 Przedświt zaledwie barwą odbija słoneczną;
 Ziemiaby zagrzebała tu swe łzy i zale,
 Gdyby na ziemi boleść nie miała być wieczną.

Tu ptaszęta znalazły kryjówkę bezpieczną,
 Kwila ranną piosenkę; tu lilia wspaniale
 Podnosi na łodydze swą koronę mleczną:
 Błękitne niezabudki nie więdną tu wcale.

Krynico ty dziewicza! wszystko w łonie twojem
 Technie pogodą, miłością, modlitwą, spokojem;
 Z ziół nadbrzeżnych woń słodka ubiega do góry.

Ku tój fali przeczystej kto głowę nakłoni,
 Zobaczy tylko na dnie, wśród pieśni i woni,
 Drżący słońca promyczek i nieba lazury!

Mało który ze zmarłych pisarzy, mówimy tu o pierwszorzędnym, zajmował tak żywo i tak długo publiczność osobą swoją jak Michelet, zmarły blisko trzy lata temu. Nie mówimy tu o pracach erudycyjnych historyka, te zajmą nie jedno jeszcze pokolenie; mamy na uwadze wyłącznie jego osobistość. Zył jeszcze Michelet w Hyeres w ostatnich miesiącach 1873 roku, kiedy już feiletoniści paryzcy, jak ów po-grzebony apologista króla Stanisława Leszczyńskiego, o którym mówiliśmy powyżej, z nożem anatomicznym w rękę, rozbiali jego historyczne i literackie prace, chwyтали żywe wspomnienia z ust przyjaciół, aby spodziewana wieść o jego śmierci nie zaskoczyła ich z nienacka. To też za ledwie że telegram oznajmił smutny wypadek, sygnęły się natychmiast rozprawy i rozprawki dostrojone do tonu różnych pism i dzienników. Naiwniejsi czytelnicy, dla których słowo drukowane zachowało jeszcze urok, ginęli w tym odmgocie zdań i sądów zbijających się nawzajem. Ledwie że umilkła ta wrzawa dziennikarska, a oto Paryż zajął się współubieganiem wydawców o pozostałe rękopisma, o prawo do odruku dzieł dawnych. Jeszcze się układy toczyły, kiedy rok temu, ciekawa książka Gabryela Monod, przyjaciela zmarłego, wtajemniczyła nas w najdrobniejsze szczegóły jego życia, pokazała nam genezę tylu dzieł, tak rozmaitych nietylko treścią lecz i duchem co je ożywiał. Widzieliśmy iż rzecz z Micheletem nie była jeszcze skończona; wdowa bowiem zapowiedziała pamiętnik swój o zmarłym. Gdyśmy czekali tój poetycznej apoteozy, aż tu nagle pojawia się broszura, dorwycho nakreślona przez nią, pod tytułem: *Grób Micheleta*.

Celem tój publikacji była okoliczność, że dzieci zmarłego z pierwszego małżeństwa, stosując się do ostatniej jego woli, wyrażonej w testamencie: aby zwłoki złożone zostały na najbliższym cmentarzu, pochowały ojca w Hyeres, na jednym cmentarzu istniejącym w tém mieście. Wdowa pragnęła przenieść je do Paryża, lecz nie miała wówczas ani siły do walki, ani dostatecznych dowodów na poparcie prawem własnych życzeń. Powróciwszy jednak do Paryża jąta cierpliwie zbierać te dowody; ogłosiła je drukiem a zarazem wytoczyła proces, domagając się ekshumacyi.

W rękopisach i notach po zmarłym znalazła wdowa mnóstwo zdań rzuconych aforystycznie o grobach i cmentarzach. Słowa to pełne uczucia i smętnej poezji. Pani Michelet umiała zręcznie zestawić te aforyzmy i ożywić je własnymi wspomnieniami.

„Serce tak wielkie, mówi autorka, lubo głęboko poranione, nie mogło zamknąć się samolubnie w grobach własnej rodziny. Co chwila szlachetna jego dusza wybiega od boleści osobistej, na pole ogólnej żałoby. Więcój on też wylał nad skonem nie jednego narodu, niżli nad śmiercią wszystkich swoich.”

Pozwólmy tu sobie małej uwagi. Pani Michelet niezupełnie zrozumiała znaczenie też szlachetnego małżonka: Michelet mógł płakać nad boleścią tego lub owego narodu, lecz jako historyk nowożytnych czasów, wiedział on, że państwa rozsypują się w gruzy, ale narody nie umierają. Śmierć ma u niego znaczenie przenośni poetycznej.

„Ciężkie przeznaczenie historyka, mówi on w niewydanym rękopiśmie, tracić to co serce ukochało, odczuwać w duchu każdą miłość, każdą żałobę ludzkości. Ja, który umiem uniewinniać tyle błędów, dla którego przeszłość tak drogą, idę przez szeroki szlak dziejów niosąc oburącz wielką urnę, jak poeta grecki w roli Elektry, niósł oburącz urnę jej syna!”

„Cmentarze, ciągnie autorka, owe miejsca żałoby, tak wstrętne dla wielu, szczególnie go zawsze pociągały. Widział w nich schronienia czasowe, pośredniczące pomiędzy życiem a zmartwychwstaniem. Przeprowadzał tu nieraz własne dzieci, pokazywał im kwiaty na grobach, uczył że śmierć jest siostrą życia, że najpiękniej rozkwita grób najmocniej ukochany.

„W podróżach odwiedzał zawsze cmentarze, zdejmował z nich napisy. W Szkocyi, na starym cmentarzu Holy Rood zdierał z grobów odwieczny mech, spodziewając się w pozostałym jakimś wyrazie schwyć ducha przeszłości.

„W Szwajcaryi, na pięknym Campo Santo lucerńskim, wspaniale spiętrzone na stoku góry, z sercem do głębi poruszonem odczytał smutny napis na grobie dziecka: „Mam lat dwa: jakże to straszno dla tak małej dzieciny, iść na sąd i stanąć już przed Majestatem Bożym!” „Nie mogłem oderwać się od tego grobu—mówi Michelet,—zalewałem się łzami, pojmo wałem całą otchłań macierzyńskiej boleści.”

Na tym cmentarzu, dodaje autorka, równie jak na wielu katolickich w Szwajcaryi uważaliśmy kropielniczkę pomieszczoną u stóp krzyża, na każdym niemal grobie. Zwyczaj to starożytny: mieszcza ją tam, aby przechodzień pokropił grób wodą święconą, a tém samym przyniósł ulgę, biednej stęsknionej duszy. Ptaszę dopełnia tego, na mniej dostępnych wyżynach: w dzień pije wodę z kropielnicy, wieczorem siada na ramieniu krzyża, przelata zcicha z grobu na grób, świegocze słodko, jakby kołysał do snu zmarłych. Mąż mój dziwnie tym widokiem poruszony, często ku wieczorowi zwracał kroki na cmentarze. „Pożytecznym jest w moim wieku, mawiał do mnie, karmić się

myślą poważną, jaką napotykamy w takich miejscach: dobrze gdy tę myśl ożywia piosenka nadziei!“

Sądził zazwyczaj mieszkańców kraju lub okolicy, z miejsc jakie obierają na cmentarze. Nie lubił ich widzieć ani w miejscach zbyt odległych i stronnych, gdzie nikt ich nie odwiedza, ani też w środku wsi i miasteczek, gdzie nazbyt powszednieją. Z upodobaniem patrzył na cmentarze położone pod miastem, jak np. w Rzymie, pełne drzew, wodospadów i zieleni. Najlepiej przypadają mu do myśli wystawione na zachód, oświetlone jeszcze słabym odbłaskiem, podczas gdy ziemia tonie już w wieczornym pomroku. Kiedy mówiąc o sobie wskazywał cmentarz, któryby po paryzkim Père Lachaise najlepiej go zadowolnić, wymieniał zawsze cmentarz w Clarens, nad brzegiem jeziora Genewskiego, „gdyż tu nie było nigdy nocy.“

Najdroższym jednak ze wszystkich! był dla niego cmentarz Père Lachaise. „Długi okres mego życia, zapisał w notatkach od r. 1815 do 1825, od śmierci matki mojej do pierwszego małżeństwa, i badań naukowych, cały ten okres powtarzam, obraca się w ciasnym kole, pomiędzy Marais, ogrodem botanicznym Vincennes i cmentarzem Père Lachaise. Tu moje wszystkie uczucia, moje przechadzki z przyjaciółmi, moje straty i moje zale!“

Ostatnie słowa o cmentarzach, zapisał w roku 1869. „Cześć zmarłych, mówi w dziełku: *Nasi synowie*, zyskała szczególnie w ciągu ostatniego pół wieku. W początku stulecia nie czyniono dla nich żadnej ofiary, żadnego wydatku, i mamże wyznać prawdę, nie odwiedzano prawie grobów. W południowej Francji mało je dotąd odwiedzają. Lud paryzki, okrzyczany najnieśluszniej po prowincjach jako zimny i samolubny, ze wszystkich jakie znam, najwięcej czyni dla swych umarłych. W dniu 2 listopada, tłumy napełniają wszystkie cmentarze; każda rodzina pospiesza tam osobno. Odkąd powstanie idea wspólnych pielgrzymek, o umówionych godzinach, uroczystość ta nabierze tém większego znaczenia, i wyborny wywrze wpływ na umysły młodych pokoleń. Odwiedzanie umarłych budzi w nas myśl poważną i słodką, a przytém nadzwyczaj żywotną. Cmentarz, to główny organ miasta, potęga we względzie moralnym. Miasto bez cmentarza miałoby pozór oschły, dziki, barbarzyński. Ileżo świętych i dobrych myśli, jaką poczują serca, odbieracie żywym, odbierając im ich umarłych. Bywa niekiedy stan duszy bolesny, pośredni, kiedy że tak powiem, jedną nogą stoimy w świątyni, drugą po za jej progiem; kiedy wahamy się, marzymy! Dlatego to starożytna świątynia otoczona była portykiem, pod którym przechadzano się, rozmyślano. Tym przedśionkiem świątyni jest dzisiaj dla nas cmentarz! Père Lachaise szczególnie posiada urok: z grobów patrząc na miasto, spostrzegamy kipiący wulkan życia!“

„Paryż wszystkiem był dla mnie, zapisał Michelet na innem miejscu. Tu się urodziłem, tu żyłem, tu czeka mnie pobyt nierównie dłuższy nad bieg mego żywota. Moje wrażenia, moje tradycje wiążą się

tu z przyszłością. Wszystkie uroczyste pamiątki życia mego, mają milczących świadków, w tym lub w owym zakątku wielkiego miasta.

„Dziecinne lata moje ubiegły w starłej dzielnicy grodu, zimnej, wilgotnej, ponurzej: młodość spędziłem na wesołych przedmieściach. Przez lat dziesięć błądziłem i marzyłem na drodze do Père Lachaise.

„Urodzony w Paryżu, tu żyłem, tu będę pogrzebany, jeżeli Bóg pozwoli.“

Michelet pochowany będzie w Paryżu. Sąd przyznał słusność wdowie, przekonany dowodami, wyraźnie okazującymi wolę zmarłego. Ekshumacja zwłok i przewiezienie ich do Paryża nastąpi zapewne niedługo.

Testament pisany był w Hyeres, lecz Michelet wskazał w nim Paryż, jako miejsce prawne osiedlenia. Ta okoliczność skłoniła głównie sąd do wydania wyroku na rzecz wdowy. Ponieważ jednak Michelet mieszkał w zachodniej części miasta, zwłoki jego zatém spoczną nie na cmentarzu Père Lachaise ale na Montparnaskim. Tu pragnienia poety historyka, w tém przynajmniej zadowolone być mogą, że ostatni blask zachodzącego słońca oświecać jeszcze będzie jego kamień grobowy, kiedy miasto utonie w grubym wieczornym zmroku.

Powiedzmy dziś słówko o teatrze paryżkim. Letnie miesiące jak zwykle, nie przyniosły wielkiego plonu; pomijamy drobne okolicznościowe sztuczki, przedstawione z powodu smutnej powodzi tuluskiej. Nie jedna wycisnęła łzy paryżanom i do tych większych ofiar pobudziła szlachetne ich serca, a co więcej znaczy, tém silniejszym węzłem połączyła Paryż z prowincją.

Z pomiędzy wyższych utworów, na szczególną uwagę zasługuje dramat historyczny w czterech aktach, wierszem p. Alberta Delpit, pod tytułem *Jan Bosy* (Jean nu pied). Rzecz dzieje się w czasie wielkiej rewolucyi francuzkiej w roku 1792. Nie obwiniamy bynajmniej p. Delpit o naśladownictwo, z ogólnego przecież wrażenia, jakie sztuka sprawia na nas, przekonani jesteśmy, że wspaniały poemat prozą Wiktora Hugo, *Rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty trzeci*, natchnął autorowi myśl do tego dramatu. Treść obu utworów zupełnie odmienna, ale dwa główne typy występujące w dramacie, starego rojalisty, i syna jego młodego Bretona, porwanego prądem nowych idei, przypominają nam starego Lantenaka i młodego Gauvina, z epepei wielkiego poety francuzkiego.

Akt pierwszy rozpoczyna się 9 sierpnia, na dzień przed opanowaniem Tuilleries przez republikanów. Król zagrożony; z głębi Bretanii przybywa stary Markiz Kardigan, w obronie majestatu. Markiz ma trzech synów, wszyscy zaciągnęli się do gwardyi. Dziś pozostało z nich dwóch pod chorągwią królewską, trzeci Jan przeszedł do przeciwnego obozu.

Walka wre, dwa stronnictwa ścierają się z gwałtowną zaciętością. Oddziałem republikanów dowodzi Jan Kardigan. Brat jego

Henryk prowadzi do boju oddział gwardyi. Przy boku jego walczy najmłodszy z braci: ten ostatni pada ugodzony kulą, kona w objęciach ojca.

Stary Markiz z najwyższą boleścią spostrzega Jana na czele republikanów. Rzuca przekleństwo na głowę odstępcy. Jan pochyla czoło w milczeniu, z całą jednak siłą przekonania, ścisną w rękę trójkolorowy sztandar, godło nowo zbudzonych pojęć. Na tém zakończy się akt pierwszy.

Rok upłynął między pierwszym a drugim aktem. Jan Kardigan dosłużył się stopnia generała w służbie rzeczypospolitej. Przewano go Janem Bosym w skutek bohaterskiego czynu. Potrzeba było, bądź co bądź, zdobyć nieprzyjacielską baterję. Żołnierze walczyli jak lwy, ale zmordowani kilkodniowym pochodem, w podartej odzieży, bez obuwia, napróżno dobywają się ostatek. Nogi ich ociekają krwią, walczyć już dłużej niepodobna, a jednak idzie tu o los armii całej.

Posłuchajmy jak wiarus opowiada przygodę:

Jan Franciszek wystąpił, i spojrzysz nam w oczy;
Zawoła: „Chcę się przebrać! kto w pomoc przyskoczy!
Rozzujcież wy mnie dzieci: te buty mnie gniotą!“
Pędzim wwał, z nóg mu buty ściągamy z ochotą;
Nad nami grad ognisty, z paszcz miotają działa:
Stał bosy... jego postać tak nam zolbrzymiała,
Tak serca nam urosły, że po krótkiej chwili,
Jemu krew z nóg pociekła, my wroga zwalczyli.

Odtąd przewano go Janem Bosym. Bohaterski młodzieniec pokochał piękną Fernandę, córkę Hewrarda członka konwencji. Pragnie ją poślubić, ojciec dziewczynki sprzyja mu szczerze, ale niestety! Fernanda nie będzie mu wzajemną: oddała już serce innemu. Celem jej uczuć Henryk, młodszy brat Jana, dzielny wódz białych Wandejczyków. Henryk z markizem ojcem broni obleżonego zamku Chènes.

Błękitni republikanie oblegają zamek, pod dowództwem Jana Bosego. Republikanie górą! trójkolorowy sztandar powiewa już na baszcie. Stary markiz i Henryk ujęci w niewolę; obaj skazani na śmierć. Jan postanawia uwolnić brata, okupić jego życie własnym życiem. Obaj podobni do siebie, nie łatwo ich rozróżnić. Nocą wchodzi Jan potajemnie do więzienia, rozmyka zawarte rygle, podaje bratu własne papiery, zarzuca mu płaszcz swój na ramiona. Kódka czeka uwiązana u brzegu, ale stary Kardigan odtrąca z pogardą opiekę wyklętego syna, którego uważa za wiarołomcę.

Następuje walka uczuć prawdziwie tragiczna. Ojciec pokonany w końcu, nakazuje ucieczkę Henrykowi; syn przywykły do uległości, nie może się opierać. Oddział żołnierzy prowadzi starca na miejsce egzekucyi, obok ojca idzie Jan, gotów oddać głowę własną za głowę Henryka.

W ostatniej chwili ojciec przebacza synowi, ostatnim pocałunkiem zdejmując z czoła jego straszną kłatwę, błogosławi mu na śmierć. Pluton rozstawiony szeregiem, z bronią wymierzoną w pierś ofiar, czeka tylko na hasło. Zastona spada.

Dramat żywo zajął publiczność paryżką, można mu dziś już zapowiedzieć długotrwałe powodzenie.

Umarł w tych czasach w Kopenhadze ulubiony poeta i powieściopisarz duński Hans Christian Andersen, którego imię wybiegło oddawna po za obręb ziemi ojczystej, i zasłużony zyskało w świecie rozgłos.

Andersen urodzony w Odensee, na wyspie Fionii, syn ubogiego szewca, długo i ciężko musiał walczyć, zanim wyrobił sobie stanowisko w literaturze. Bieg życia jego pełen burzliwych przygód. Dzieckiem pracował przy ojcu, jak niegdyś sławny meisterzinger Hans Sacks, szyjąc buty, nucił smętną piosenkę. Po śmierci ojca obrał zawód krawiecki, lecz i ten nie odpowiadał mu bynajmniej. Matka widząc jak wstrętną mu była ręczna praca, wyprawiła go wreszcie do Kopenhagi. Szczęśliwy młodzian porzucił z radością igłę i szydło, pobiegł w świat nie pytając co dalej będzie. Wrodzony popęd ciągnął go do teatru. Ale niestety, drobny i nadzwyczaj chudy, mimo pięknego głosu nie mógł występować na scenie. Ogłosił wtedy kilka urywków poetycznych, a między nimi śliczny obrazek *Chore dziecko*. Utwory te zwróciły uwagę słynnych ówczesnych poetów: O. Ehlenchlegera i Ingenmanna; wspomnieli o nim królowi, i wyjednali mu wstęp do najpierwszej szkoły Kopenhadzkiej. Młodzian rozpoczął systematyczne nauki w dwudziestym trzecim roku życia.

W kilka lat potem wydał humorystyczną satyrę pod tytułem: *Podróż piechotą do Amak* i znakomity zbiór poezyi. Utwory te z jednej strony zjednały mu wielki rozgłos, z drugiej obudziły przeciwko niemu najzaciętszą zawiść. Zrażony wyjechał do Niemiec; tam poznał się z poetą Tieckiem, który przetłumaczył kilka jego poemacików i ogłosił je w pismach. Za powrotem do kraju wydał *Szkice z podróży*. Król odczytał je z upodobaniem, a widząc prawdziwą zdolność w młodym pisarzu, dał mu zasiłek na nową podróż do Szwajcaryi, Włoch i Francyi. Włochy poruszyły szczególnie wyobraźnię poety, napisał tu jedną z najpiękniejszych swych powieści p. t.: *Improwizator*, znaną w licznych przekładach.

W miarę wzrastającej sławy Andersena, wzrastała także niechęć zawistnych nieprzyjaciół. Wystawiony przez lat kilka na dotkliwie pociski, wyjechał powtórnie do Włoch; ztamtąd puścił się na Wschód, gdzie go porywała od lat wielu dziwnie poetyczna fantazya. Wrażenie z tej podróży oddał świetnie i malowniczo w *Bazarze poety*. Całą potęgą talentu nie pokonał jednak krytyków. Z sercem rozżalonym opuścił kraj na długo. Odtąd przebywał kolejno to w Paryżu, to

w Berlinie i innych miastach niemieckich; to w Rzymie, Neapolu, Londynie lub Stokholmie.

W ciągu tych bezustannych przejażdżek, rzucał w świat coraz nowe powieści, tryskające życiem, pełne barwy prawdziwie oryginalnej. Tłumaczono je na rozmaite języki. Z pomiędzy nich znany u nas *Tylko Grajek*, znaneniemniej *Powiatki moralno-fantastyczne* w pięknym przekładzie F. H. Lewestama. Paulina Wilkońska tłumaczyła także zbiór pomniejszych powieści. Do najcenniejszych utworów Andersena należy ciekawa autobiografia: *Opowieść życia mego*, rozpoczęta w Neapolu, skończona w Pirenejach. Ogólny zbiór dzieł jego wydany w Lipsku w r. 1848, obejmuje trzydzieści pięć tomów. Liczba ich wzrosła znacznie od lat z góra dwudziestu.

Andersen zdobywszy sławę u obcych, w dalekich nawet krajach, doczekał się wreszcie słodkiej pociechy, że i rodacy otoczyli go miłością i zasłużonem uznaniem. W roku 1869, Kopenhaga obchodziła z wielką uroczystością pięćdziesięcioletnią rocznicę dnia, kiedy ubogi chłopiec przybył do stolicy pchany potęgą gieniuszu. Uroczystość ta przypadła podczas pamiętnego kongresu archeologów w Kopenhadze, co ją tém więcej uświetniło.

Kilka miesięcy temu, Duńczycy wyprawili nową owacyę wielkiemu powieściopisarzowi w siedmdziesięcioletnią rocznicę jego urodzin. Przybyły na tę uroczystość deputacye nie tylko ze wszystkich miast duńskich, ale niemniej z całej Skandynawii, a nawet z całych Niemiec. Na pamiątkę dnia tego ogłoszono jedną z najcenniejszych jego powieści, tłumaczoną na piętnaście języków i na polski przez F. H. Lewestama.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Symbolical Centenary Chart of American History. Published by J. Horain et comp. 116 Fulton N(ew)Y(ork).

Pod tym tytułem znany literat J. Horain wydał „tablicę symboliczną stuletnich dziejów Ameryki“ a właściwie dziejów Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, zgodnie z *poleceniem aktu kongresu w roku 1874*, (jak jest na tablicy), na pamiątkę wiekowej rocznicy ogłoszenia niepodległości owęj Rzeczypospolitej. Tablica wspomnianą składa się z kwadratu szachownicy ($8 \times 8 = 64$), której 64 pól obejmują z dwu boków kolumny pionowe, utworzone każda z 10 takichże pól w ramach, a u góry i dołu tablicy podobnych pól w ramach jest po

siedem, więc razem 34. Tyleż jest portretów, w tych polach, różnych znakomości z tego setnego okresu życia Rzeczypospolitej. Z linii 7 portretów górnych odznacza się, większemi ozdobami ramy i rozmiarem, portret Jerzego Uoszyntona (Washingtona) „pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych i naczelnego wodza armii powstańczej,” jak objaśnia datą 1732—1799 (urodzin i śmierci jego) dołączony do tablicy arkusz druku, który napisami pól swoich, tak jak w tablicy rozłożonych, uzupełnia symbolistykę 64 pól szachownicy i nadpisy ram 34 portretów, obramiających szachownicę.

Portret Washingtona przykrywa prostokąt pokryty pięciu szeregami gwiazd, w każdym szeregu po pięć, bo widocznych jest tylko dwanaście. Cyfra ta niezgodna ani z pierwotną (13, dobrze podaną na sztandarze unii z 1777 w polu 31-ém), ani z żadną późniejszą liczbą Stanów Zjednoczonych, wyraźnie do symbolistyki nie rości prawa; a szkoda, bo taka chorągiew najwłaściwszém byłaby tłem dla obrazu pierwszego prezydenta (1789—1797) i piastuna jej. Przechodząc kolejno portrety sześciu osób najbliżej przez wydawcę koło Washingtona umieszczonych, spostrzegamy najbliżej na lewo wizerunek Nataniela Greene „najzdolniejszego generała Washingtona (ur. 1742, † 1786).“ Odpowiada mu miejscem na prawo portret Tomasza Jeffersona „twórcy deklaracji niepodległości, trzeciego (1801—1809) prezydenta (ur. 1773, † 1826).“ Dwa dalsze miejsca zajmują na lewo: Tadeusz Kościuszko „the last defender of the liberty of P. który służył jako oficer artylerii pod Washingtonem (ur. 1756, † 1817)“ i „Gilbert Motier, margrabia de Lafayette, francuzki szlachcic, służący jako generał w armii powstańczej i pomocny w zawarciu sojuszu z Francją (ur. 1757, † 1834).“ Po przeciwnej stronie wizerunku Uoszyntona, a koło Dzefferzona jest pomieszczony „Jan Adams, drugi prezydent“ (1797—1801) Stanów Zjednoczonych, członek komisji układającej deklarację niepodległości (ur. 1735, † 1826). Za nim zaś, tak kończąc na prawo linię sześciu portretów górnych, jak to wizerunek Kościuszki czyni na lewym narożniku, widnieje w tablicy Horaina, popiersie Patryka Henry, „odznaczającego się (w walce o niepodległość) mówcy, najdawniejszego i najgorętszego przeciwnika ucisku brytańskiego w osadach anglo-amerykańskich (ur. 1736, † 1792).“

W siedmiu tych portretach wieńczących szczyt tablicy symbolicznej i tworzących rodzaj balustrady dla widoku rozmaitych budynków, autor starał się uwidomić dzieje utworzenia się Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Pomysł to szczęśliwy połączyć w jedną grupie rodzimych i obcych zapaśników młodej Rzeczypospolitej. Mielibyśmy tylko do zarzucenia autorowi rozkład tych portretów: Dzefferson stojąc nie z prawej ale z lewej strony, tworzyłyby zarazem harmonijną grupę trzech pierwszych prezydentów (pierwszy w środku, drugi i trzeci z *dwu boków*; nie z jednego jak teraz, czego względ *cudzoziemkości* lewej strony, pomnąc na Grina, nie tłumaczy). Następnie Dzefferson tak miejscem na tablicy, jak w historii wyrażałby związek Ameryki

z Francją, coby teraz musiał czynić Franklin, przez pana Horaina, dopióro na 6 miejscu, pod Lincolnem w prawej kolumnie umieszczony.

Co do wyboru Kościuszki za reprezentanta udziału byłej Rzeczypospolitej w walce nowej Rzeczypospolitej, nie będziemy wchodzić w rozprawę z autorem. Nie ulega kwestyi, że bohaterowi amerykańskiemu przypomniał te dzieje młody Aloizy Feliński w następnym wierszu ¹⁾:

Prawodawca bohater, wódz Amerykanów,
Wybawca uciśnionych a pogrom Brytanów;
Uoszynton ten, prawdziwym wolności jest sługą:
Pisał rząd jedną ręką a bronił go drugą.

Kościuszko! względnym nieba nad nami wyrokiem,
Młodość swoją pod jego przepędziłeś okiem:
Przeciw Albionowi co wolność uciemniał,
Pod jego chorągwiami walczył i zwyciężał;
Teraz gdy on już wieku szczęścia, sławy syty:
Bronią nabyte, piórem pomnaża zaszczyty.

Gdy pod jego opieką Indya szczęśliwa,
Na łonie go swém pieści i ojcem nazywa;
Tobie doła u obcych nie była tak miła, i t. d.

Dobrze więc pan Horain zrobił łącząc, jakby symbole, portrety członków trzech wypadków kończących dzieje XVIII wieku, nad Potomakiem, Wisłą i Sekwaną. Atoli ze względu na udział naszych ziomków w dziejach początkowych unii, to większy on jest ze strony Kazimierza Pułaskiego, jak Kościuszki. Pułaski, może najznacniejszy zapaśnik konfederacyi barskiej, grał znakomitszą w Ameryce od Tadeusza rolę. Już w roku 1777 był generałem brygady kawaleryi, potem naczelnikiem wszystkiej jazdy amerykańskiej; dalej dowodził oddzielnym korpusem, w 1778 i 1779 roku wstąpił się mężstwem, wreszcie za Amerykę położył życie pod Saratogą koło Savannah 1779 roku. To czyni go zasłużeńszym dla Ameryki Północnej. Wdzięczność też narodowa Stanów Zjednoczonych wystawiła Pułaskiemu pomnik 1855 r. przy Savannah, a Longfellow uwiecznił wierszem, który tu kładziemy; nosi on tytuł:

*Hymn siostr hernihuckich w Betleem, na poświęcenie chorągwi
Pułaskiego.*

Gdy konający dnia płomień
Śle po przybytku swe blaski,
W dali błyszczące pochodnie, słabo,
Głowy w kapturach oświecają,
I kadzideł dym się wznosi,

¹⁾ Przewod. literacki i naukowy 1875 III, 47.

Gdzie czerwono-barwna flaga
Przed ołtarzem błysła:
Poświęcono ją z modłami.

Wtedy się wznoszą wdzięczne mniszek śpiewy,
Cicho w tajemnicze, mroczne, nawy cienia:

Weź chorągiew! niech powiewa
Dumnie nad dobrym i dzielnym;
Gdy odległej walki jęki
Mącą świętość téj doliny,
Kiedy surmy dźwięk krzykliwy
Wnika w głąb tych głuchych wyżyn,
Kiedy ostrza w starciu dźwięczą,
A stal twarda w drzazgi pęka:

— Weź chorągiew! i wpośrodku
Kurzów walki i srogości,
Strzeż jój, pokąd my w ohydzie!
Strzeż jój! Bóg ci dopomoże!
W ciężkiej, czarnej chwili,
Wśród postępu sił niszczących:
W zgiełku broni, ludzi,—
Tarczą Jego dłoń ci będzie.

— Weź chorągiew! lecz gdy noc,
Plac obejmie wrogiej walki;
Gdy znękany wróg tył poda,
Chroń jój! przez święte nasze śluby;
Przez nasze modły i łyzy mnogie,
Przez tę łaskę, jaką nam świadczysz,
Chroń jój; ona naszą miłość wzięta:
Chroń jój! jeśli sam chcesz ujść zguby.

Weź chorągiew! a jeśli kiedy
Ledz masz w żołnierza mogile,
I zgłuszone bębnow dźwięki
Kierować mają marsz smutny,
Wtedy ta purpurowa chorągiew
Będzie ci wojenną szatą, całunem.

I wziął wojownik tę dumną chorągiew
I miał ją za strój bojowy i całun.

Kolumnę 10 portretów, która z lewej strony okrąży szachownicę symboliczną, rozpoczyna od góry: „Andrzej Jackson, siódmy prezydent, słynny generał w wojnie 1812 roku, ur. 1767, † 1845.“ Dalej następują: „Winfield Scott wódz naczelny (unii) w wojnie z Meksykiem ur. 1786, † 1866; Ulisses S. Grant wódz naczelny unionistowskiej armii w wojnie domowej, teraźniejszy prezydent ur. 1822; Wilhelm T. Sherman, obecny wódz generalny, wzrosły w znaczenie w ciągu wojny domowej, ur. 1820; Filip St. Sheridan, dzielny dowódca jazdy w wojnie domowej ur. 1831; Dawid G. Farragut, admirał floty Stanów Zje-

dnoczonych, wstawiony zwycięstwami pod N. Orleansem i w zatoce Mobile, ur. 1801, † 1870; Krzysztof Kolumb odkrywca Ameryki, urodzony koło 1435, † 1506, Wilhelm Penn założyciel i osadca Pensylwanii ur. 1644, † 1718; Walter Raleigh najpierwszy i najczynniejszy kolonizator Wirginii 1552—1618." Kończy tę kolumnę portret „Roberta kawalera de la Salle, znakomitego badacza francuzkiego i kolonizatora doliny Mississipi 1635—1687“¹⁾.

Śłupiec z prawej strony, liczy tak samo jak z lewej 10 portretów. Zaczyna go „Daniel Webster, drugi odznaczający się mówca (obok Henrego) w pierwszym kongresie Ameryki); jego zamiarem było utrwalić unią (1850) przez układ, zmierzający do umniejszenia stanowych nieprzyjaźni 1782—1852; Henryk Clay, o którym toż samo rzecz wypada co o Websterze 1777—1852; Wilhelm H. Seward sekretarz stanu za wojny domowej, główny przeciwnik szerzenia się niewolnictwa 1801—1872; Abraham Lincoln, szesnasty prezydent, wydał proklamacyą wyzwolenia niewolników, ur. 1809, † zamordowany 1865; Benjamin Franklin odkrył tożsamość błyskawicy z iskrą elektryczną, znakomity filozof i statysta 1706—1790; Elias Whitney wynalazca maszyn do tkania bawełny, 1765—1825; Samuel F. B. Morse wynalazca pierwszego praktycznego telegrafu elektrycznego, 1791—1872; Elias Howe wynalazca maszyny do szycia, 1819—1867; Robert Fulton pierwszy szczególnie wynalazca paropływów, 1765—1815.“ Ostatnim w tej kolumnie jest „Cyrus W. Field główny promotor transatlantyckiego telegrafu, urodzony 1819.“

W seryi siedmiu portretów, która u dołu tak otacza szachownicę, jak siedm wyżej podanych wizerunków (Waschingtona i innych) zwieńczyło szczyt jęj, pomieszczeni zostali (idąc z lewej na prawą stronę): „Horacy Greenley znakomity dziennikarz i obrońca zasady wolności pracy, 1811—1872; Karol Sumner jeden z głównych przeciwników niewolnictwa 1811—1873; J. Fenimore Cooper powieściopisarz, 1789—1850; Washington Irving historyk i powieściopisarz, 1783—1859; Wilhelm Cullen Bryant poeta i dziennikarz, ur. 1794; Henryk W. Longfellow, poeta ur. 1807; Jan J. Audubon ornitolog 1780—1851; Jan Ericsson wynalazca ogrzewaném powietrzem poruszanej maszyny i żelaznych wieżycowych statków, zwanych monitorami, ur. w Szwecyi 1803, † 1869.“

Przeglądając krytycznie te osoby, których wizerunki w liczbie 34-ch pomieścił wydawca na swęj tablicy, znajdujemy, że bohaterzy wojny domowej (Grant, Sherman, Sheridan, Farragut, Seward) prócz Lincolna i Sumnera zajęli 7 na 34 obrazów, dziwnie niechronologicznie rozrzuconych. Kolumb, Penn, Raleigh i de la Salle są pod niemi w lewej kolumnie, choć ją zaczynają bohaterzy lat: 1812 i 1845. W prawej kolumnie znów są ludzie słynni w 1850 i zmarli 1852 r., u góry; pod niemi Seward i Lincoln, Franklin (sic) i znów wynalazcy tak po-

¹⁾ Czemu nie ma misyonarza Marquette, odkrywcy Mississipi 1673 r.?

kręcenii, że ludzie urodzeni w jednym roku (1765) i zmarli w 1815 i 1825, to jest Whitnej i Fulton są odcięci Morsem i Howem, zmarłymi 1867 i 1872; Field rówieśnik Howego, następuje znów po Fultonie, który go oddziela od tego wynalazcy maszyn do szycia.

Taki sam nieład panuje w dolnej linii, która między piszącymi objęła też Ericssohna i Sumnera.

Z tym zarzutem braku myśli przewodniej, symetrii, choćby chronologii w rozkładzie portretów, należy połączyć drugi: niezupełności i niedokładności, który dotyczy i układu samej szachownicy i wyboru wypadków oraz osób dla ich scharakteryzowania. Skończmy jednak wprzód z portretami. Czemu zostali pominięci przez autora tablicy symbolicznej Prescott, Bancroft, Motley rodem z Massachusetts? Channing z Rhode Island, apostoł unitaryuszów, Smith lub Brougham mormoniści, Emmerson, zasługiwali podobno na upamiętnienie, że pominię, inne sekciarstwo amerykańskie i ich reprezentantów. Nie znajdujemy, ani słynnej Beecher Stowe, w liczbie rzeczników zniesienia niewoli, ani Manna, Pestalozzkiego amerykańskiego, ani też słynnego E. Poe, Tikkora, lub też podróżników jak Hudson, Cartier, Cabot, Mackenzie, Grinnel lub Kane, Hayes, Hall i wielu innych. Pomieszczenie Greeleya możeby usprawiedliwić mogło niezaniechanie naczelnika stanów skonfederowanych: Dżeffersona Davis, generała Lee, choć to może istotnie było przytrudno zrobić.

To są nazwiska godne wzmianki, których brak na razie w liczbie 34 portretów spostrzegliśmy. Zagadką był też dla nas w ich liczbie wizerunek Kolumba oraz jego i Balboi umieszczenie na tablicy. Obaj ci ludzie należą raczej do odkrywców południowej i środkowej Ameryki, jeżeli w ogóle sława odkrycia tego niepowinna przejść od Kolumba do Pinsona Alonza, który kierował nim, na zasadzie wiadomości zasiągniętych u żeglarza z Dieppe (we Francyi) nazwiskiem Jana Cousin. Cousin ów, kosztem księdza Descaliers, już 1488 odkrył Brazylią i jego niesforsnym porucznikiem był Pinzon, ów Kolumbowy doradzca.

Stosowniej było pomieścić w pierwszych polach tablicy jednego z islandzkich odkrywców Grenlandyi jak np. Gunbjörna (r. 876), Eryka Randy (r. 983), albo też Lajfa syna Randy, który około 1000 r. odkrył przestrzeń lądu amerykańskiego od 40°—42° północnej szerokości. Jestto więc prawdziwy odkrywca późniejszych Stanów Zjednoczonych. Drake 1578 r., Cook 1778 r., poznający stronę Ameryki od oceanu Spokojnego na wysokości tychże Stanów, lepijby się kwalifikowali do tablicy symbolicznej jak Kolumb i Balboa. Stanowczo zaś po Laifie, jedyny tylko Giovanni Gabote (Cabot Jan), w służbie Henryka VII, odkrywający Neufundland i całe pobrzeże Stanów Zjednoczonych do Florydy, winien był stać na czele symbolicznej tablicy stoletnich dziejów Ameryki (oczywiście północnej, nie całej).

Chyba tylko uwzględniając uwagi Warnhagena, który dowodzi że Kolumb 11 września 1492 r. odkrył Maguayanę (San Salvador), je-

dnę z wysp bahamskich; możnaby owego Genuńczyka policzyć do odkrywców północnej Ameryki.

Bądźcobądź, pierwsze pole symbolicznej tablicy dziejów zajmuje obraz jak 1492 r. Krzysztof Kolumb wylądowyya na San Salvador; drugie zaś wyobraza jak 1513 r. Balboa odkrywa Ocean Spokojny i wchodząc w jego fale, obejmuje onego posiadanie w imię swego monarchy. Następuje herb Anglii objaśniony: „1584 r. angielska kolonizacya rozpoczęta przez sir Uoltra Rolé (Walter Raleigh), który wysyła wyprawy do Wirginii.” Czwarte pole zajmuje biała, liliami złotemi posiana flaga, którą objaśniono: „1535—1685, osady francuzkie założone w Kanadzie i dolinie Mississipi, symbol francuzka bandera.” Krzew nikotyny i fajka stanowi ilustracyą do słów: „1586 r. użycie tytoniu wprowadzone przez osadników sir Uoltra Rolé po powrocie do Europy.” Szóste pole: „1609 r. Henryk Hudson odkrywa rzekę Hudsonską na statku *Półksiężyc*, w służbie holenderskiej, wschodnio-indyjskiej kompanii.” Nowy Amszterdam wnet zostaje założony przez Holendrów. Symbolem herb holenderski z półksiężycem i gwiazdami w dolnej części. Na siódmym polu, do połowy widać więzienny mur z głązów i przy nim okowy z łańcuchem. Jestto wprowadzenie niewoli murzynów przez holendrów do Dżemstaunu (Jamestown). Na tle górskiego krajobrazu okazujący się wędrowcy są symbolem kolonizacyi Mascarsetu przez purytanów 1620 r. Pole dziewiąte ma za symbol roślinę bawełny, a przypominać ma zaprowadzenie uprawy bawełny w Wirginii 1621. Tomahawk indyjski i pochodnia, skrzyżowane na skalpeli krwawym, symbolizują: 1622 r. rzeź angielskich osadników w Dżemstaunie przez Indian. Infula z dwoma kluczami nakrzyż pod spodem odpowiada, w 11 polu, zaludnieniu Marylandu w 1633 r. przez angielskich katolików pod wodzą Leonarda Calvert. Symbol Stanu Rhode Island (kotwica na krajobrazie morskim, z nadpisem u góry „Hope” nadzieja) odpowiada objaśnieniu: „1636 r. Roger Ujljems (Williams) i jego towarzysze osiadają w Providence (Opatrzność, w Stanie wyspy Rod).” Budynek z datą 1638 r. upamiętnia darowiznę 800 funtów szterlingów i biblioteki przez Jana Harward w Newtown Kembrydzkiemu seminaryum, które przekształca się na Harvard College. Księga oprawna na zielonęj poduszce pod kotarą amarantową uwidomia druk pierwszej książki (Psałterz Elijota) w Ameryce, w Cambridge w Stanie Massachusetts. „Dąb przywilejowy” symbolizuje na polu piętnastém, nadanie organizacyi rządowej w 1662 r. Connecticutowi przez iście liberalny, królewski dyplom, który następnie ukryto przed gubernatorem Andros w tymże debie! Herb Nowego Yorku z datą 1664 r. uprzytomnia wynarodowienie się Nowego Amszterdamu przez osadę angielską. Popiersie Indyanina w pierzastej koronie, z berłem i pałaszem (w węgle lewém pola) objaśnione jest datą 1675 r. i wzmianką: „król Filip wytacza wojnę osadom nowoangielskim i zostaje zabity w 1676 r.” Kwakerski kapelus na pergaminie i dwu skrzyżowanych fajkach pokoju ma być znakiem, że „1682 roku Wilhelm Penn osiedlił się w Pensylwanii na zasadzie po-

kojowych układów z Indyanami.“ Nasz Krasicki położył nacisk na to *pierwsze* zorganizowanie się państwa przez umowę, jakoby oponując przeciw teorii Russa (*contrat social*), stanowiącej umowę za zasadę wszystkich pierwotnych społeczeństw. Arkusz dziennika *Publick Occurrences* daje poznać, że to był „pierwszy dziennik w Bostonie, ogłoszony przez Beniamina Harris w 1690 roku. Liczy on obecnie 7,000 prenumeratorów.“

W następném polu farmazońskie znaki cyrkla i węgielnicy nogami skrzyżowanych tak, że w ztąd powstałym kwadracie ukośnym litera *g* być może, symbolizują „pierwszą lożę wolno-mularzy w Północnej Ameryce, w Bostonie“ 1733 r. założoną. Wizerunek człowieka (Franklina) w czasie burzy puszczającego latawca, uwidomienia doświadczania elektryczne tego filozofa i odkrycie konduktorów w 1752 r. Lew zwycięzko przytłaczający burbońską chorągiew Francyi, przypomina wojnę w 1754 r. toczoną z francuzkami osadami, i ostateczne posiadzenie całej wschodniej połaci doliny Mississipi przez Anglików. Pargamin zapisany u góry, przytłoczony koroną królewską i palmą, a z dołu podparty szablą, ma być godłem pierwszego upomnienia się osad o swe prawa w roku 1765, które przesłane do króla Jerzego III i parlamentu oponowało prawu metropolii do nakładania podatków na osady bez tychże udziału i wiedzy. Pływający w zielonej wodzie cybik herbaty jest emblematem zniszczenia herbaty w porcie bostońskim r. 1773, dla wyrażenia oporu przeciw uciążliwym uchwałom handlowym parlamentu (*by she zamiast by the mylnie*) brytańskiego. Gmach publiczny służy za znak zebrania się kongresu osad 1774 r. w Filadelfii; serce płynące, nad ogniskiem, i przesyte szpadą, symbolem jest pierwszego rozlewu krwi w rewolucyą w Lexingtonie 1775. Dwa następne pola są zajęte przez pomnik w formie obeliska, i przez kapelusz leżący na szabli i lunecie. Ma to być Bunker Hill i oddanie naczelnego dowództwa Washingtonowi. Polem 29-tém, na którem w głębi słońce wychodzi z morza, na przodzie leży korona do góry odwrócona na ziemi, a wśrodku, jakby mieczem podtrzymany pargamin z napisem *Absolved from all Allegiance* (wolni od wszelkiej uległości), zaczyna się stolecie dziejów Unii, bo na tém polu usymbolizowano „ogłoszenie jej niepodległości.“

I my odetchniemy na tém 29 polu, żeby ocenić dotychczasową pracę naszego wydawcy. Niech nam daruje sąd może, jego zdaniem, zbyt surowy, ale nie będzie nam go miał za złe, gdy powiemy że do tej surowości skłania nas przekonanie, które i on pewno podziela. Sądzymy mianowicie, że skoro obczyzna powołuje naszych rodaków do jakiej pracy dla siebie, winni ją tak dokonać, aby zamawiający nie mieli, ile możności, nie mogli mieć żadnego powodu do uskarżania się na niedokładność wykończenia.

Tablica pana Horaina grzeszy właśnie zbyt może wielkiém odstąpieniem od ścisłych wymagań dokładności. Na 64 pól poświęć 29 rzeczom niejako przedhistorycznym, jest myślą dość śmiałą. Wydaje się ona tém śmielszą, gdy zważymy niedokładności w wyborze

przedmiotów i wypadków do usymbolizowania tych dziejów przed-amerykańskich.

O Kolumbie i Balboi już mówiliśmy powyżej, podobnie jak o przemilczeniu właściwych Północnej Ameryki odkrywców Lajfa i Kabota. Dołącza się do tego zarzut, czemu autor i wydawca nie scharakteryzował niczém pierwotnej ludności tych okolic, czemu niema symbolu pochodzenia Szoszonów i innych z Azji wschodniej, albo też symbolu *związku siedmiu narodów*? Podobnie i w samych dziejach Stanów-Zjednoczonych pominięte są stosunki z Indyanami, np. 1753 i obecne równie przynajmniej ważne, jak treść dwu pól ostatnich t. j. „pożar“ Chicago (1871) i zwrot Alabamy (1872) usymbolizowany przeważeniem pióra przez oręż na szali. Gallisonière i Montgomery też pominięty milczeniem na korzyść nikotyny (sic); podobnie niezaznaczono, że francuzi już 1535, więc na 51 lat przed Rolém znali nikotyne, jeśli w ogóle nikotyny użycie w Europie obchodzi Uniją. Dalej spostrzegamy, że niema wzmianki o pierwszych koloniach angielskich z 1526, hiszpańskich z 1560 za Filipa II i francuzkich w Karolinie z téjże daty. Skoro wspomniana została holenderska osada, godziło się pamiętać i o koloniach innych narodowości. Milczenie też pokrywa byt dwu kompanii angielskich z 1606 r. eksploatować mających Wirginię i N. Anglią. Załujemy też że autor wspominając o kolonizacyi Masacusettu, Pensylwanii, Marylandu, Rhode Island, o dziejach Connecticutu, choć w jednym polu nieskupił dat kolejnego powstawania osad angielskich, od 1618 (nie 1620) gdy purytanie osiedli w Masacuzecie, 1619 uorganizowanym w osadę i 1630 zyskującym Boston. Więc milczy o New Hampshire, Maine 1630; (ostatni włączony do Masacusetu 1677, odłączony 1820), Maryland 1633, Connecticut (1635), Rhode Island 1636. O nowych Niderlandach niema ni śladu, o zyskaniu Akadyi 1713 r., Karoliny 1729, N. Georgii 1833 r. i t. d. Wydawca też nie scharakteryzował bardzo ważnego faktu, który jest potrzebny tak do zrozumienia legalnego zupełnie objawienia się opozycyi przyszłej Unii przeciw metropolii, jak i owęj zagadkowej organizacyi Connecticutu, t. j. zaniedbał uwzględnić systemu trojakiego urzędzenia osad angielskich (osady konstytucyjne czyli przywilejowe, królewskie i prywatne). Niema też symbolu na pierwszy sejm Dżemstauński złożony z 19 obywateli w 1619 r. i o pierwszej pisanéj konstytucyi z 1621 r. O istnieniu drukarni w Masacuzecie w r. 1638 wydawca wspomina pod r. 1640. Przemilczony pokój w Breda 1677 r., który Anglii oddał całe wschodnie побереże Ameryki. Założenie Filadelfii (1682 r.) połączone z kolonizacyą Pensylwanii (1686 r.). Przyrost późniejszy wewnętrzny przez tworzenie się nowych stanów przemilczany także.

Pozostała część tablicy w 35-ciu polach tak przebiega stulecie dziejów północno-amerykańskiej Rzeczypospolitej: 1776 roku zwycięztwo pod Trenton, i kłęski na Długiej wyspie, 1777 roku chorągiew narodowa przyjęta, 1777 r. poddanie się Burgoyna, 1778 roku sojusz z Francją, 1780 roku zdrada Arnolda Benedykta, 1783 roku

zdobycie Yorktaunu i faktyczny koniec wojny o niepodległość, 1783 roku przyznanie Unii za państwo niepodległe w traktacie przez Anglią, 1786—1794 r. system dziesiętny i wybitcie pierwszego dolara, 1787 r. konstytucya federalna, 1789 r. Uoszynton pierwszym prezydentem, 1793 r. wynalazek maszyn do tkania bawełny, 1802 r. założenie wojennej akademii w West-Point, 1803 r. nabycie Luizyjan od Francyi, 1804—8 zaprowadzenie węgla kopalnego do przemysłu, 1807 wynalezienie paropływów przez Fultona, 1812 r. wojna z Anglią, 1819 r. kupno Florydy od Hiszpanii, 1827 r. pierwsza kolój w Stanach-Zjednoczonych ukończona, 1835 r. wojna z Seminolami w Florydzie i usunięcie Indyan na zachód od Missisipi, 1844 r. włączenie Tachasu do Unii, wynalezienie t. r. telegrafów elektrycznych, 1846 r. maszyny do sycia i eteryzowanie przy operacjach chirurgicznych, 1847 r. przybycie Mormonów z Utah do Nauvoo i założenie miasta Słonego jeziora, 1848 r. podbój Kalifornii i N. Meksyku, odkrycie złota, 1849 handlowy sojusz z Japonią, 1859 r. produkcyja i użycie nafty na wielką skalę w przemyśle, 1860 r. utworzenie się stanów skonfederowanych, od 1860—1865 wojna domowa, 1863 r. akt wyzwolenia murzynów wydany przez prezydenta Lincolna, 1865 r. mord Lincolna, 1866 r. założenie liny telegrafu transatlantyckiego przez Great Easterna, 1867 r. kupno Alaszki od Rosyi, 1869 r. dokończenie linii kolei żelaznej do oceanu Spokojnego, 1871 r. pożar Chicago, 1872 r. Alabama.

Jużeśmy wspomnieli niedokładność tablicy w usymbolizowaniu nabytków albo kupionych, albo zdobytych orężem. Czyżby autor uczynił to z myślą pewną (*arrière pensée*), czyżby lekceważył rozwój organiczny Stanów Zjednoczonych, które nie tylko takim zewnętrznym sposobem, ale i wewnętrznym samodzielniem dzieleniem się na nowe części, już dojrzałe i potężne w łonie dawnych, rosły w siłę i znaczenie?

Zgodnie z usunięciem tych szczegółów z tablicy symbolicznej, konsekwentnie zaniechano godek na wyrażenie różnicy między Stanami i terytoryami, który to systemat tłumaczy drugi proces tworzenia się Stanów, charakteryzuje działanie ich cywilizacyjne na zewnątrz. Nie znajdujemy też bardzo ważnej antytezy w symbole jednego pola ujętej: między Stanami niewolniczo-bawełnianemi i abolicyjonistowsko przemysłowemi. Taka antyteza bardzoby dobitnie wyjaśniła zagadkowy u pana Horaina charakter wojny między Konfederacją a Unią.

Nie zauważyliśmy też wzmianki o zniesieniu niewoli murzynów w Stanach północnych od 1784—1786, ani też typowych cywilizacyjnych oznak Stanów południa, północy, Farwestu (zachodu), które zarazem naturę ludzi i ziemi malują. Być może że nie trudno było także wyrazić jakiemis znakami ustrój państwowy Unii w ogóle i Stanów, przed i po tak zwanęj rekonstrukcyi. Nie spostrzeżliśmy również wskazówek wpływu Amerykanów na wyspy oceanu Spokojnego (Hawai, np.) i morza Karaibskiego (Walker) oraz oddziaływania żółtej rasy (kolisy chińskie) na Amerykę, które grozi rewolucyą nie tylko materialną ale i etnograficzną całej Północnej Ameryce. Kończymy rozbiór nasz kilkoma uwagami o wyborze symboli.

Wojna domowa (Meduza z pochodnią) może lepiejby się uwydatniła walką dwojga dzieci krwawiących się na łonie matki? Wojna z Seminolami niezbyt wyraźnie się charakteryzuje drzewem, fajką i fuzją. Tablica zgonu Lincolna (w głębi widok łóż teatru, na przedzie trumna z płaskim wierzchem, na stole, który dźwiga rewolwer, i kobieta kładąca wieniec na trumnie) nie zawiera symboli, lecz obraz niekoniecznie zręczny. Symbole pokoju i wojny (1783, 1812, 1776, 1777, 1765) grzeszą małą wyrazistością i dziwnym nieuwzględnieniem wyobraźni. Szpada, pargamin, korona angielska i t. p. powtarzają się z nużącą umysł jednostajnością, na wszelkich tych obrazach. Cech narodowych w ogóle autor unikał, chociaż wieleby życia i charakterystyki dodały jego symbolom.

A mimo to pierwsze wrażenie tablicy symbolicznej bez wglądania w szczegóły, dla oczu jest miłe. Być może i serce, że to trud ziomka, o wieleby chciało powyższe usterki później wykryte umniejszyć i sąd krytyczny pogodzić z początkowym zmysłów świadectwem. I radziłyśmy wierzyć że nieznanne nam względy bądź osoby, bądź okoliczności, ducha lub materii skrzywiły plan pierwotny a nam nieznanne, lepszy, dokładniejszy, w wykonaniu tylko obecnie nam przedstawionej tablicy skrzywiony.

Te względy pozwalają nam ostatecznie tak sąd krytyczny o pracy pana Horaina sformułować, że zastrzegłszy poprawę dopiero co wskazanych niedokładności, można ją z dobrą objaśnieniem używać do poglądowego wykładu historii Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki.

Ernest Swieżawski.

Teorya stylu polskiego. Napisana przez Józefę Kamocką b. nauczycielkę gimnazjum żeńskiego. Warszawa, 1875 r.

Żywy popęd do czytania, jaki się obecnie spostrzegać daje w młodszym pokoleniu, wywołuje potrzebę postawienia pewnej normy naukowej, pewnej sformułowanej powagi, do którejby się młodzi pracownicy odwoływać mogli w wyborze i ogólnym kierunku. Autorka „Teoryi Stylu” czynnie dowiodła uznania tej potrzeby, założywszy sobie obznajmienie młodzieży z obowiązującymi w piśmiennictwie zasadami stylu. Wprawdzie styl nie stanowi jeszcze ducha utworu, ale każdemu, kto dotykał się osobiście jawnych i tajnych czynników działających w kształceniu się młodzieży, wiadomo, iż dla pokierowania jej smakiem najczynniejszą i najpewniejszą jest metoda okazowa. Jest to wiek wrażeń i przeczuć, który tylko pod piękną formą zwykłą szukać treści, a najżywotniejsze myśli pomijać obojętnie, jeżeli nie wabią go barwą zewnętrzną. Z drugiej strony, autorka wcale zręcznie z fizyognomiką piśmiennictwa połączyła widoki na samo jego wnętrze, tak, że czytający obok stylu przyzwyczajają się tu zapuszczać oko

i w treść samą. Do osiągnięcia takiego celu wiele się przykładają trafnie dobrane wzory na każdy z ważniejszych punktów i przeprowadzanie na nich podanej teorii.

W głównym wstępie o sztuce pisania, p. Kamocka uzasadnia psychologiczny popęd do nauki i piękna, do zbadania natury języka i nadania mu kształtów estetycznych. Następnie przechodzi do samej teorii stylu. Wspomniawszy o tradycyjnym jego podziale na prosty, średni i górny (uznawanym jeszcze przez niedawno zmarłego F. S. Dmochowskiego) stawia nowy podział, oparty na indywidualności osoby lub narodu, tudzież przedmiotu lub epoki. Określa rodzaj stylów: sądowy, naukowy, historyczny i inne. Przytęm na każdy rodzaj przytacza wzory z najcenniejszych pisarzy, poczynając od Zygmuntofskich aż do obecnej chwili.

Przeciwno takiemu rozgaęzieniu form piśmienniczych nie mamy od zarzucenia, zwłaszcza, że w rozwoju stylu, jako powłoki zewnętrznej, przecinają się nieskończenie rozmaite zasady podziału. Zdaje się wszakże, iż nie należy uważać stylu za jedno z *metodą* artystyczną. To, co np. autorka nazywa *stylem lirycznym* (str. 17), który „cehuje się głównie gębokięm, a smutnym uczuciem..... jest tylko wylaniem duszy lub tęsknoty serca”..... to podług nas już nie jest stylem. Jest to pewien nastrój ogólny, nie wspólnego nie mający z formą. Nie styl stanowi charakterystykę poezji Bajrona lub Berangera, Zaleskiego lub Zygmunta Krasieńskiego. Bo grupując charakterystyki tym sposobem, pod każdą mozaiką, ulepioną z metafor wschodnich, moglibyśmy podpisać pompatycznie „Sonet krymski.” I byłoby to tak niesprawiedliwym, jak uznawać np. w muzyce „styl minorowy.” Z przytoczonego przez p. Kamocką ustępu z *opisu ostatniej nocy* (ks. Antoniewicza) czytelnik odtwarza sobie obraz duszy wzniosłej, wysoko-wrażliwej, duszy *lirycznej*, ale nie ze stylu.

Autorka widocznie wkroczyła tu w sferę treści. W najobojętniejszym przekładzie arcydzieła (np. w tak zwanych sublinearnych tłumaczeniach łacińskich Homera, w wydaniach Hachett'a, przeznaczonych dla filologów-dyletantów), i w takim nawet przekładzie, jak w stosie popiołu, można poczuć tlejącą iskierkę i rozdmuchać ją, aż do stopnia doskonałości pierwotworu, można do żywego wskrzesić i sam *liryzm*. Ale czyż można nazwać *stylem* Homera tę szkolną sakwę słów i partykuł gramatycznych?

W dalszym ciągu p. Kamocka przechodzi wewnętrzne przymioty stylu: jasność, naturalność, prostotę, zwięzłość, harmonię. „Jasność, podług autorki, jest najpierwszym i najważniejszym warunkiem stylu.” Na to się zgadzamy. Rzeczywiście *przymiotem* nie jest, (jak p. Kamocka zapowiedziała w tytule), lecz tylko warunkiem i to ujemnym tylko. Co nie jest wyrażonym jasno, to uważać możemy za niepowiedziane, za żadne. Sama autorka wyświeca to, trafnie porównyując myśl niejasną ze szkłem okien pomalowanych w najpiękniejsze wzory, lecz o tle cięmnym.

Nader cennemi są uwagi p. Kamockiej o poprawności języka, o niedbalstwie w wymawianiu.

W § „o cechach języka” (str. 60 i nast.), po świetnym wstępie o tej zbiorowej indywidualności, jaką wyobraża mowa narodu, wyliczony jest krótki, zbyt może krótki poczet zwrotów niewłaściwych językami: galicyzmów, germanizmów i t. p. Żałujemy, że autorka nie zatrzymała się dłużej na tym dziale i nie użytkowała go pedagogicznie. Należało dwie lub trzy pary przytoczonych zwrotów (polskich obok obcych) zestawzić porównawczo, wytłumaczyć gruntowny rodowód każdego, a następnie jako naturalny wynik, okazać logiczną niestosowność przenoszenia go *mechanicznie* z jednej mowy do drugiej. Okazałoby się ztąd iż np.: „rodzice ukarani dziećmi” w języku naszym znaczy: „rodzice których Bóg za grzechy ukarał (złemi) *dziećmi*,” że „odkryć szkołę” nie znaczy „otworzyć,” lecz dać wiadomość o istnieniu szkoły jakiejś, o której nie wiedziano dotąd, nie słyszano; tak, jak odkrywamy nieznaną dotąd wysepkę i t. p.. Przymem autorka pewne archaizmy uważa za zwroty obce: „wziąłem czytać,” „to nie jest lituanizm, używa go lud,” „jak wziął krzyżować” i t. p.).

Działy o wadach stylu (str. 77) i jego ozdobach (str. 84) wykonane są starannie i pouczająco. Jednak do rzędu wad nadspodziewanie weszła „kwiecistość,” i „brak uczucia.” Kwiecistość należało postawić w formie dodatniej i jako dodatnią umieścić w dziale zalet. „Brak uczucia” znowu przenosi nas w dziedzinę treści, jakkolwiek nie możemy w ogóle brać za złe autorce, jeżeli podając zasady stylu, wkacza w granice literatury lub estetyki.

Starannie autorka opracowała dział „o postaciach retorycznych.” Użycie przenośni p. Kamocka wyprowadza z „ubóstwa materiału wyrazowego, w obec nieskończonego bogactwa pojęć ludzkich,” następnie „z ruchliwości wyobraźni, która chciwie dopatruje związku pomiędzy światem ducha, a światem zewnętrznym.” Dodajemy jeszcze, że przenośnia ma za główną podstawę logiczną ciągłość, która musi panować pomiędzy rozlicznymi znaczeniami wyrazu. Gdyby znaczenie wyrazu, zwane przenośnym, nie leżało na jednej i tej samej skali z tym znaczeniem, które nazywamy głównym, każda przenośnia byłaby fałszem, bezwarunkowo. W tym rozumieniu, można twierdzić, że przenośnia w obecnym, daleko posuniętym rozwoju wyobrażeń ludzkich, jest nietylko sztuką lub manewrem retorycznym—jest ona główną dźwignią myślenia. Cóż więc nadaje przenośni cechę artystyczną? co stanowi jej prawdziwą piękność? Oto rozumne zużytkowanie tej łączności, o której nadmieniliśmy. I dlatego to *przenośnego* znaczenia nie wypada nazywać *niewłaściwym*, jeżeli chcemy być ścisłymi.

W „prozie i jej rodzajach” autorka określa zwięźle głównejsze grupy utworów prozy, łącząc teorię z historią literatury, a następnie podaje charakterystykę czterech głównych epok: złotej, panegirycznej, klasycznej i dzisiejszej (epoki odrodzenia).

Ważnym przyczynkiem do téj sumiennéj pracy są umieszczone w końcu, obszernie wyjątki z pisarzy wzorowych, poczynając od „Zwierciadła Reja“ aż do „Obrazów litewskich.“

W ustępach z epoki panegirycznój, radziłyśmy obok zdań łacińskich mieć w nawiasach ich tłumaczenie. Wówczas literatura XVII wieku, pokazałaby się w oczach czytającéj młodzi, czémś więcej, jak zbyt okrzyczaną pstrokacizną. Albowiem zdania łacińskie, tak potwornie ubarwiające mowę zewnątrz, były to kwiaty modnéj w swoim rodzaju erudycyi, z któremi bynajmniéj porównać się nie da nowoczesny ckliwy makaronizm salonu, jakkolwiek z drugiéj strony pokazują one brak ducha samodzielnego i chorobliwą żądzę dopełniania siebie cudzemi myślami.

Do rzędu zalet pracy p. Kamockiéj przybywa jeszcze: jéj styl płynny, poprawny, w wielu miejscach świetny. Zwracamy jednak uwagę autorki, na potrzebę miarkowania się w okresach; baczności w używaniu pewnych spójników, (nie szuka ozdób, a jest tylko wylewem duszy; tu spodziewanym był spójnik *lecz*, albo, jeszcze prościéj, *zaden*. Spójnik ten wyraża wprawdzie i *sprzeczność*, ale słabszą; tak np.: „młody a już sławny“).

Używanie zaimka *jeden* zamiast *sam*, (*jedyny*), nie zgadza się z duchem języka. Podobnież, zamiast: „język *pełen* makaronizimów, rozwijał się“ i t. d.; należało powiedzieć: „język *pełny* makaronizmów“ bo tylko w opowiedniku pozwala się na skracanie. F. J.

Obrazki Syberyi, przez Ludwika Niemojewskiego. Ilustrował E. M. Andriolli. Warszawa, nakładem i drukiem J. Ungra 1875 r. (w 8-ce str. 497).

Literatura polska w piérwszych latach naszego stólecia ubogą była w oryginalne podróże. Wiek XVIII jednakże już zaznajamiał nas z Syberyą.

W roku 1789 w Warszawie wyszła książka p. n. „*Pamięć dzieł polskich, podróż i niepomyślny sukces Polaków, przez urodzonego Karola Lubieź Chojeckiego*“ (w 12-ce str. 165); przypisano Janowi na Złotym Potoku Potockiemu krajczycowi koronnemu.

Dziełka tego Mickiewicz nie znał, gdyż w swym wykładzie mówiąc o brygadyerze Kopciu i innych, o tém nie wspomina.

Chojecki jako konfederat barski należał do oddziału pod wodzą marszałków: Czarneckiego i Potockiego, broniącego Krakowa. Kiedy przeważnéj sile uleż musieli, zabrani do niewoli, opisuje swoją podróż z Kijowa do Kazania, daléj do Tobolska i do Tary.

Służąc w wojsku rosyjskiém: „Byłem (jako sam wyraża we wstępie) na saméj granicy chińskiéj. zkaąd do Pekinu, stołecznego miasta Chinów, nie więcéj jak mil trzysta rachowano, a zatém przejeź-

działem przez wiele tatarskich prowincyi do Moskwy nienależących, jako to: Kirgizów, Buharców, Chiwińców i Taszkińców, których zwyczaj, życie i rządy kraju uważałem. Sześć lat w wojsku służyłem, i podczas buntu Pugaczewskiego, w kilku bitwach przytomnym zostawałem.”

Znalazłszy dobrą sposobność ucieka, dostaje się szczęśliwie do wybrzeży Dniepru, i w końcu 1776 roku staje szczęśliwie na granicach swego kraju.

Zajmujące to pod wielu względami dziełko, wprędce wyczerpane zostało z obiegu księgarskiego, i już od wielu lat do rzadkości bibliograficznych należy.

Upływa rok ósmdziesiąty szósty od wyjścia wędrówki Chojckiego z druku, i kraje które opisywał zatarły się powoli w pamięci. Na nowo Syberya. jak i ludy koczownicze, lepiej poznane i zbadane przez naszych rodaków zostały dopiero po roku 1830.

W tym okresie nietylko miejscowości o których wspomina Chojcki, dokładniej i obszerniej mamy opisane, ale zarówno i skalisty Kaukaz. Z nad brzegów Toboli i Leny, wśród obozowisk kaukaskich, kreślili rodacy nasi szkice swych podróży, lub wylewali swe uczucia słowem poetycznym. Gustaw Zieliński po siedmioletnim pobycie na Syberyi, ztąd czerpie treść i natchnienie do dwóch swych poematów, *Kirgiz i Stepy*; Ewa Felińska kreśli swoje *Wspomnienia o Syberyi*. Szereg tych pisarzy jest liczny i Biblioteka Warszawska nie mało ich prac tak prozą jak wierszem drukowała. Obecnie przybywa nam nowe dzieło o Syberyi, p. Ludwika Niemojowskiego, dawnego współpracownika pomienionego pisma.

Autor dzieli je na cztery części. to jest na studia: 1) etnograficzne, 2) zoologiczne, 3) ekonomiczne i 4) obyczajowe.

W piérwszych maluje piérwotne plemiona na Syberyi, które się dotąd przechowały, ich język, zwyczaj, obyczaj, mieszkania i pokarmy, gry i zabawy, obrzędy weselne, cnoty i zdrożności, pojęcia religijne i stronę duchową. W śpiewach Tunguzów słyszy dotąd wspomnienie sławnego Dżingishana.

Rzecz godna uwagi, że w obchodach weselnych na Syberyi, znajdujemy wiele zwyczajów podobnych, jakie widzimy na Rusi i u naszego ludu.

Pannę młodą sadzają na krześle družki, rozplatają jój kosę i śpiewają pieśni téjże saméj treści, że już z dziewczętami bawić się nie będzie, gdy zedrą jój wianek z głowy i chustką włosy obwiną.

Podobnie i przy obchodzie pogrzebowym, stary zwyczaj, rozdzenia żalów w pieśni, utrzymał się dotąd.

Autor przywodzi jedną z nich, kiedy zmarły był młodym parobkiem i zgasł w kwiecie wieku. Matka idzie za pogrzebem, śpiewając jednotonnym przeciągłym głosem: „Umarłeś Igorku! pozostawitesz mnie matkę bez syna, a gospodarstwo bez robotnika! I któż będzie teraz jeździł w pole, kto będzie kosił trawę w jesieni, kto

przywiezie drzewa na zimą! Nikt cię nie zastąpi Igorko, bo byłeś chętnym do pracy! Umarłeś! i żałują cię wszystkie dziewczęta wioski, boś ty umiał najweselsze pieśni śpiewać, a w tańcu nikt tobie nie wyrównał. I żałują cię wszyscy towarzysze, boś im dodawał ochoty swoją bałabajką. I pusto będzie bez ciebie Igorko! A któż mnie teraz pomoże w rolnej pracy? Kto mi da na starość kawałek chleba? Kto mnie pochowa, gdy umrę? Bięda nam tylko zostanie i nędza!”

Czasami gdy matka jest bogatą, najmuje płatne kobiety, ażeby śpiewały na pogrzebie zwyczajem uświęcone żale!

Tym sposobem dzieci opłakują swoich rodziców, żony mężów i rodziny krewnych.

Rozdział ten o 144 stronicach białego druku, zaznajamia nas dokładnie ze wszystkimi pokoleniami zamieszkującymi Syberję. Studium to opracowane starannie i wyczerpująco. W końcu wycytujemy następne uwagi autora:

„Gdy badamy obyczaje włościan syberyjskich, dwa szczególniejsze odcienia uderzają nas w ich usposobieniach i ogólnym charakterze. Z jednej strony niezwykła bystrość, wrodzona pojętność i przebiegły rozum; z drugiej zaś: zupełny brak moralnych zasad, oschłość serca i rozprężenie złych nałogów; pierwsze z nich są nieocenionym darem natury, skarbem, jaki wyda z czasem błogie owoce; drugie, wpływem zbrodniczych idei, któremi karmią się tradycyjnie ich potomkowie. Przyszłość jednak Syberji jest wielką i świetną!

„Ziemia ta, leżąca dziś odłogiem, nietylko w łonie swoim ukrywa niezmiernie i nieprzeliczone bogactwa przemysłu i handlu, ale w przerodzeniu się moralném i umysłowém ludności, nosi myśl brzemiennej postępek i pomyślnością ogólną.

„Przerodzenie to nastąpi wtedy, gdy cywilizacya, wyciągnąwszy do tych stron podbiegunowych, żelazne ramiona kolei, złączy z resztą świata krainę, która z powodu swego oddalenia, przymuszona jest dotąd żyć w bezwzględném odosobnieniu.“

Myśl ta daje autorowi wątek do *studyów ekonomicznych*, których główną treścią jest wykazanie korzyści nietylko pod względem materialnym ale i duchowym, gdy zostanie przeprowadzona przez Syberję kolój żelazna. Podniesienie się rolnictwa zaniedbanego, bogate surowe płody, dałyby świetny rozwój przemysłowi i handlowi, a przytém i cywilizacyi.

Studia zoologiczne obejmują faunę syberyjską i wyliczenie dzikiego zwierza w wielu rodzajach. Autor na czele tego rozdziału stawia niedźwiedzia w dwóch gatunkach: *ciemno-brunatnego* i *białego*. Pierwszy, od stóp Uralu aż do krańców Kameczatki przemieszkuje w lasach, głównie żywiąc się miodem pszczoł *tajźnych*, rojących się obficie latem wśród leśnych obszarów; drugi, niedźwiedź *biały* podbiegunowy, przemieszkuje w najwięcej posuniętych na północ strefach gubernii Tobolskiej, Jenissejskiej i Irkuckiej. Autor, ze szcze-

gółami opisuje polowanie na obadwa gatunki, zarówno niebezpieczne, a potrzebujące nietylko wprawy ale odwagi, gdyż głównie jak Tunguzy, używają oszczepów, a rzadko broni ognistój. Kula niezawsze gęste kudły przebije, i rani śmiertelnie, gdy oszczep nigdy prawie celu nie chybi, a w pomoc jemu przychodzi nóż dobrze wyostrzony.

Wilk syberyjski, większy od europejskiego, ma sierć białą; barwa ta jednakże w miarę oddalenia od bieguna północnego zmienia się stopniowo pod wpływem coraz łagodniejszego klimatu, na siwą, płową i brunatną.

Lis płowy, z rzadkiem zjawiskiem odmiany *czarnego* włosa; *so-bol*, tylko w południowych stronach Syberii wschodniej przebywający; *wiewiórka syberyjska (bielka)* dająca w handlu futerko zwane *popielicami*, i *gronostaj*, są celem łowów syberyjskich plemion, i przedmiotem handlu. W rzędzie zwierząt których futra są w większej lub mniejszej cenie, autor wymienia *burunduka*, zaledwie mającego trzy do czterech cali, barwy kasztanowatę; błamy z ich futerek mają swoją wartość; a w końcu *letiaga*, rodzaj nietoperza. Ze zwierząt których mięso służy za pokarm (z wyjątkiem białych zajęcy, których nikt tu nie jada, mając je w obrzydzeniu) na czele stawia słusznie autor *reny*. Ren karmi Syberyjaka mięsem, poi własnym mlekiem, odziewa swoją skórą, i służy do zaprzęgu.

Do rzędu tego rodzaju należy jeleni, łos i sarna; w końcu zatrzymuje uwagę nad dzikimi kozami, co wzdłuż granicy chińskiej żyją na skalistych urwiskach gór *Sajańskich*. Z pomiędzy wielu odmian tych zwierząt, godne wspomnienia dwa szczególnie: *koza piżmowa* i *kozu przegowata*, zwana przez Mongołów *żymin*; pierwsza jest poszukiwaną dla drogocennych pęcherzyków piżma; żymin zaś dla futra. Łowy na nie są równie trudne i męczące, jak na *kozice* w Tatrach.

Żałować przychodzi że autor, który jak sam pisze „będąc mieszkańcem stepów, tajg i obszarów prawie bezludnych, śledził ze szczególnym zamiłowaniem, „obyczaję stworzeń dokoła żyjących,“ nie dał nam bliższego opisu, całego bogactwa fauny syberyjskiej. Przewidywał widać że go ten zarzut spotkać może, gdyż na obronę swoją przywodzi: „że nieznając dokładnie zoologii, niemając przytém żadnej książki fachowej pod ręką, nie mogłem oznaczyć dla nich, ani odpowiedniego miejsca, ani nawet częstokroć nazwać przyjetém w nauce imieniem.“ Sądźmy wszakże, że dokładny opis tak zwierząt jak ptastwa, zbadanych bliżej z właściwą nazwą miejscową, byłoby dostateczną wskazówką dla każdego zoologa.

Do zwierząt na pokarm służących doliczyć należy nieprzeliczone stada białych kuropatw, cietrzewi, głuszców, gęsi, kaczek, jarząbków, słomek, łabędzi dzikich i w. i.; zalegają one pola, tajgi, lasy, pustynie i stepy: chwytają je łatwo w sidła, a po jednym wystrzale z broni palnej, pada zwykle kilka sztuk naraz, tak gęste są ich stada.

Cały ten drugi rozdział, któremu autor dał poważny napis: „*Studya zoologiczne*,“ w końcu nazywa prostą pogawędką z czytelnikiem.

nikiem, uważamy za zbyt pobieżny; sądzimy że należało się trzymać pierwszego tytułu. Wszelako i w *pogawędce* było szersze pole do zaznajomienia czytelnika lepij z fauną syberyjską.

Rozdział czwarty i ostatni, *Studia obyczajowe*, obejmuje piętnaście powiastek i opowiadań, do których wątek dał długi pobyt autora w Syberyi. Zajmujące tu znajdujemy szczegóły i obrazy tak ludzi jak i wypadków niezwykłych, i oryginalnością swoją pociągających; pomiędzy wszystkimi uderza głównie opowiadanie p. n. *Forteca ze śniegu*, w której sam autor występuje jako głównie działająca osoba, w obronie bezpieczeństwa własnego, ze zdumiewającą energią i odwagą. Jest to obraz porywający w każdym szczególe, i nieraz grozą czytelnika przejmujący.

W tych studiach bliżej się zaznajamiamy z różnorodną ludnością w Syberyi i wśród niej wydatnie żywo postać *kozaka-kramarza*, który niepoślednią rolę odegrywa w tej społeczności. Biografię podobnego kupca, przedstawia nam autor w osobie kramarza-posiłekca *Arkadięgo Saicz Gubanow'a*, a zarazem fałszerza pieniędzy papierowych. Zamyka zaś szereg tych obrazków opowieścią: „*Filozof nad brzegami oceanu Lodowatego*.“ Był to wykształcony Rosssyanin, który szukał daremnie wpośród dzikich plemion, zdala od cywilizowanego świata, ciszy i spokoju. Poeta tworzył piosnki, któremi słodził sobie dobrowolną samotność. Pan L. Niemojowski podaje nam w oryginale rossyjskim jedną z jego pieśni, i załącza swój przekład, który załączamy, bo dobrze maluje chorobę duszy owego filozofa.

„Niech się śmieją niegodziwi,
 Niech się tai w cieniu złość;
 Niech świat hańba jadem żywi,
 I rzuca niezgody kość:
 Ja wciąż płynę: nikną gaje,
 Nikną ślady wszelkich dróg;
 Lecz gdzie życie już ustaje,
 Jedną tarczą moją Bóg!
 Od Angary, do mórz fali,
 Wszędzie smętny dziki świat,
 Ni tam szczęścia, ni też zali,
 Tylko cisza wiecznych lat.
 W płowych bagnach zieleń ginie;
 Niema brzasków, lśni wciąż dzień;
 Czasem tylko po gęstwinie
 Mknie stepowca błędny cień.
 Syny pustyń, zstąpcie tłumnie
 Z gór i lasów, gdzie blask wód,
 Serce bratnie dla was u mnie:
 Jam się wyparł świata złud!“

Po długich wędrówkach, w nadziejach swych zawiedziony, wróciwszy w towarzystwo dawne, niezadowolony z niczego, pragnął „jeszcze dalej wędrować, choćby nawet do samego bieguna północnego.“

Obrazki Syberyi należą do tych dzieł, które obzuczając nas z tak odległą krainą w tylu różnorodnych szczegółach, obok nauki łączą w sobie ten powab w malowaniu, że czytelnik z upodobaniem czyta je od pierwszej do ostatniej karty, z równym zajęciem. Zastęga to talentu autora, a najwymowniejszym dowodem wartości tych *obrazków*, że w krótkim przeciągu czasu, bo niespełna jednego roku, cała edycja wykupioną została, i mamy już zapowiedziane drugie wydanie. Sześć rycin zdobi część ostatnią, obejmującą *Studia obyczajowe*: w nich znakomity ilustrator M. Andriolli nie miał pola dla swego ołówka. Spodziewamy się że przy drugiej edycji, powiększonej co do treści, znajdzie więcej sposobności do okazania swego talentu.

W.

Słowniczek Łacińsko-polski wyrazów prawa Magdeburgskiego z wieku XV, przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego objaśnił Dr. Zygmunt Celichowski. Poznań. Nakładem biblioteki Kórnickiej. 1875, (w 8-ce str. 16 i 12 podobizny).

Jednym z najważniejszych kodeksów biblioteki Kórnickiej jest kodeks pomieniony, zawierający przeważnie zabytki dawnego prawodawstwa polskiego; pod tym też względem rozpatrywany był przez Jana Wincentego Bandtkiego i A. Z. Helcla, i przez obudwóch opisany; prócz tego obejmuje jedno z najstarszych tłumaczeń *Statutu Wiślickiego*, a dobry znawca tego rodzaju zabytków, Antoni Małecki, czas pisma tego kodeksu do roku 1460 odnosi.

Jan hr. Działyński kazał cały ten drogocenny pomnik w najwierniejszej odbić podobiznie, przez co odda prawdziwą przysługę badaczom języka polskiego. Przy tej sposobności właściciel biblioteki Kórnickiej zwrócił uwagę na drugi mniejszy zabytek dawniej polszczyzny, znajdujący się w tymże kodeksie, to jest powyższy: „*Słowniczek łacińsko-polski wyrazów zachodzących w prawie Magdeburgskim*,” i polecił go również w homograficznym odbić przedruku. Dr. Z. Celichowski rzecz gotową objaśnił i przedmową opatrzywszy wydał. Słowniczek ten obejmuje 180 wyrazów, Wydawca wspomina, że zabytek ten W. A. Maciejowski w *Historji prawodawstw słowiańskich* (tom VI, drugie wydanie) opisał, ale czyni zarazem zarzuty, że badacz w pomienioném dziele, błędnie wyrazi z niego przytacza.

Słowniczek ułożony jest alfabetycznie, podany spis wyrazów polskich zasługujących na uwagę, bądźto ze względu na znaczenie lub formę, bądź też z innych powodów. Wyrazy te podaje p. Celichowski w pisowni nowoczesnej; ilekroć zaś uważał za rzecz potrzebną przytoczyć wyraz jaki w pisowni oryginalnej, drukuje go dla

odróżnienia kursywą. Dla porównania lub objaśnienia umieszcza obok niektórych wyrazów pokrewne formy, zachodzące w innych zabytkach, niemniej kilkanaście wyrazów ze słowniczka *Kodeksu Floryańskiego*, których udzielił mu prof. Nehring.

Dowiadujemy się, iż oprócz powyższego słowniczka, objaśniającego wyrazy prawa Magdeburgskiego, znajduje się w tymże kodeksie początek innego słowniczka pod tytułem: „*Vocabula juris provincialis et feodalis*.“ Urywa się on na pierwszej stronnicy i zawiera ledwie kilkanaście wyrazów polskich, z których kilka wydawca uwzględnił w spisie drukowanym.

W końcu pocieszającą wycytujemy wiadomość, że nakładem biblioteki Kórnickiej wyjdą wkrótce w przedruku homograficznym, trzy nieocenionj wartości zabytki: 1) *Prawa polskie* wykładane przez „*Mystrza y doctora Swanthostawa Swoczyesszyna*,” oraz „*Xanschanth Mazoweskich* przez *Maczeyę z Rozana*,” wedle kodeksu pisanego przez „*Mykclaya Suleda*.“ Z puławskiego pergaminowego rękopismu z lat 1449 i 1450. 2) *Statut Wiślicki* w polskim przekładzie z kodeksu Kórnickiego z roku 1460. 3) *Psalterz królowej Jadwigi* z kodeksu Porycko-Puławskiego. R.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1875 r. — Pomnikowego wydawnictwa *Encyklopedyi Rolniczej* pod redakcją T. Lubomirskiego, S. Przysiańskiego i E. Stawickiego, już tomu trzeciego mamy zeszyt piąty. Zaczyna się od wyrazu *Gostomski Anzelm*, słynny pisarz rolniczy (praca jedna z ostatnich ś. p. Cypryana Walewskiego) a kończy na Hygienie. Tom ten oprócz wielu rycin, zawiera dwie ważne mapy: mapę rolniczą Rosyi Europejskiej i Królestwa Polskiego.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa przygotowuje z całym przepychem typograficznym wydanie *Maryi Malezieskiego*, z ilustracyami M. Andriollego. Rysunków tych, wykonanych czarną kródką do reprodukcji fotograficznej, jest ośm; a po szczególe: 1) Ukazanie się wojewody w okazałych komnatach i rozmowa z synem, 2) Dumanie miecznika pod starymi lipami z Maryą nad Księgą Żywota, 3) Rozmowa Wacława z Maryą, gdy jęj pyta:

„Czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
Jakbyś się do aniołów myślała już dostać.”

4) Przybycie masek do dworu miecznika, 5) Epizod bitwy z Tatarami, gdy miecznik ma „w kark niewierny święcone utopić żelazo,” 6) Marja na rozesłaném łożu, w żałobnej odzieży, w chwili zjawienia się Wacława, 7) Odjazd Wacława z tajemniczym pachołkiem, 8) Zgon miecznika w nachylonej postaci, przy mogiłach córki i żony. Wydanie to ukaże się już wcześniej przed Nowym Rokiem. Przed ośmiu laty, zasłużony księgarz J. K. Żupański wydał pierwszy ten poemat w okazałej edycji ze stalorytami, podług rysunków Antoniego Zaleskiego, ilustratora *Pamiętników Paska*. Tekst przedrukowany został ściśle wedle pierwszej edycji, pod okiem samego autora w Warszawie 1825 roku wydanej. Oprócz karty tytułowej zdobi ją 12 stalorytów i cztery drzeworyty w tekście. Obecnie nowe wydanie podaje ilustracje w większych rozmiarach, jak A. Zaleskiego. Przypomnieć tu należy, że utalentowany malarz krakowski Walery Eliasz, oddawna przygotował 12 pięknych akwareli do ilustracyi tegoż poematu, które oczekują na wydawcę.

— W dalszym ciągu wydawnictwa romansów historycznych Walterskotta, w nowym przekładzie Michała Grubeckiego, ukazał się z pod prassy tom pierwszy *Ryszarda Lwie serce*.

— Powieść Kajetana Kraszewskiego, ogłoszona w odcinku jednego z pism galicyjskich p. n. *Koniuszyc Brzeski*, wydrukował w przekładzie czeskim *Pokrok* w Pradze wychodzący pod tytułem: „Złota Kolasa księcia Radziwiłła.”

— W Suwałkach Antoni Kolankowski wydał zbiór swoich poezyi p. n. *Ostatnie Akordy*. Większą połowę zajmują na czele oryginalne utwory, w drugiej mamy wcale udatne przekłady z rosyjskiego z Puszkina, Lermontowa, Nekrasowa i Tołstowa, (w 12-ce s. 255).

— Rzeźbiarz tutejszy, znany już zaszczytnie, p. Karol Kloss, twórca uwieńczonej *Wisły*, przygotował posąg *Rzeczypospolitej Północno-amerykańskiej*, na wystawę w Filadelfii w roku 1876.

Jestto postać wyniosłego wzrostu niewiasty o surowém, pełném powagi spokoju i energii obliczu. Głowę jej okrywa korona republikańska, ozdobiona wawrzynem. Zbrojna ta postać, krusząca stopą godła zależności i niewoli Murzynów, dzierży dobyty miecz w prawej, w drugiej zaś ręce tarczę w sposób osłaniający i obronny. Na tarczy herb Stanów Zjednoczonych: Orzeł z dziesięciu gwiazdami na piersiach i ze wstęgą w dziobie, na której wyryte jest godło: „*E pluribus unum*.”

Figura ta stanowi główną część pomnika. Stoi ona na globie unoszonym przez cztery orły, pod któremi ośmiościenna podstawa służy za tło czterem narożnym posągom, wyobrażającym bohaterów walki amerykańskiej, między któremi Washington i Franklin przednie zajmują miejsca. Niżej na okrągłym cokole dokoła w płasko-rzeźbie XIII połączonych ze sobą i właściwie usymbolizowanych postaci, przedstawiających XIII Stanów, które w r. 1776 pierwotny akt niepodległości ogłosiły. Na stopniach podnoża, po czterech jego ro-

gach, leżą cztery symboliczne postaci oceanów, wynurzających z łona swego Amerykę.

„Tygodnik Ilustrowany” (nr. 401), w pięknym drzeworycie przedstawił nam całą postać tego posągu stojącego na globie, który wymownym jest dowodem talentu polskiego rzeźbiarza.

— Z powodu wydania poezyi I. B. Zaleskiego we Lwowie, nakładem księgarni Gubrynowicza i Szmida, w „Kronice Rodzinnéj,” A. E. Odyniec podaje nam ciekawą wiadomość o pierwszych jego utworach. „Autor „Rusałek,” „Przenajświętszej Rodziny” i „Kalinowego Mostu,” po raz pierwszy nastroił swój pieściwy i śpiewny teorbaban kędyś w okolicach Kijowa, i to podobnie jak Mickiewicz w swéj „Zimie miejskiej,” nastroił na ton wysoce klasyczny. Najdawniejszy wierszyk Zaleskiego „Do Pirry,” drukowany w „Dzienniku Wileńskim” z r. 1819, zatem przed pięćdziesięciu sześciu laty, nie różni się od innych pisanych wtedy do Korynny, Lindory, Doryndy, Tomiry i innych pastuszek w atlasowych trzewiczkach. Dopiero po przybyciu do Warszawy i oddaniu się pod wpływ dotąd należycie nieoceniiony Brodzińskiego, młody poeta stał się tém, czém miał zostać: romantykiem, to jest pisarzem narodowym. Wskazuje to pierwsza w Warszawie drukowana ballada „Lubor,” ogłoszona w *Pamiętniku Warszawskim* Brodzińskiego 1822 roku; wskazuje dalej „Dumka hetmana Kosińskiego,” ogłoszona w témże piśmie 1823 r., „Śpiew poety” tamże 1825 roku, a nareszcie i owa przesławna „Dumka Mazepy” w *Motyłu* z 1828 roku. Pierwszy jednak, bardzo szczupły, jednatomikowy zbiór poezyi Zaleskiego, z „Rusałkami” na czele, ukazał się dopiero w roku 1837 we Lwowie. Dopiero zaś w lat piętnaście później B. M. Wolff w Petersburgu dał wydanie czterotomikowe, o wiele kompletniejsze, w którym się znalazła i „Przenajświętsza Rodzina,” i „Duch od stepu,” i „Pieśni serbskie,” i wiele innych rzeczy nam przedtém nieznanych. Lecz i ta edycja petersburska jest już w téj chwili wyczerpana, a cena jéj antykwarska, zostawiona do woli kaprysowi sprzedawcy i możności nabywcy, nieraz bywa bajecznie wysoka. Nowe zatem wydanie *Poezji I. B. Zaleskiego* bardzo jest pożądane; a jeśli wieści nie mylą, że autor i przez ostatnie lat dwadzieścia kilka po wydaniu petersburskiem, nie przestawał „zdychać pieśniami,” to pożądane jest podwójnie.”

— Przed ukończeniem druku w *Kłosach* komedyi w 5 aktach Jana Zacharyasiewicza: *Kupno i Sprzedaż*, wyszło z pod prassy tłumaczenie tego utworu w języku rosyjskim, i stanowi piątą i ostatnią część pierwszej seryi wydawnictwa p. n. „*Dzieła wyborowe polskich pisarzy dramatycznych*.”

— *Przyczynek do dziejów Ukrainy* ogłosił w Moskwie, w niewielkiej liczbie egzemplarzy p. J. Bodiański w przekładzie z rosyjskiego p. t.: *Regestra całego wojska Zaporozkiego, po ugodzie Zborowskiej z królem polskim Janem Kazimierzem, ułożone dnia 16-go października 1649 roku*. Ogłoszenie tego ważnego dokumentu dokonano podług

oryginału; książka w 8-ce zawiera XXXIV stronic wstępu, 338 stronic tekstu, oraz dwie tablice podobizn.

— *Koran Mahometa* wyszedł w Petersburgu w przekładzie rossyjskim, dokonany z przekładu francuzkiego p. M. Kazimirskiego, jednego ze współredaktorów pisma Warszawskiego. Sumienny tłumacz, zamiast udawać orientalistę, wprost na tytule wypisuje: „Przełożył z języka arabskiego na francuzki Kazimirski, z francuzkiego M. Nikołajew.“ Tłumaczenie Kazimirskiego wyszło po raz pierwszy w r. 1840, w zbiorze G. Pauthier'a p. t. *Les Livres Sacrés de l'Orient*, obejmującym oprócz Koranu, księgi religijne indyjskie i chińskie. Zaszczyt przyjęcia przekładu Kazimirskiego do klasycznego wydawnictwa biegłego orientalisty Pauthier'a był tém większy, iż miano już przedtém dwa tłumaczenia francuzkie, Ryer'a i Savarego.

— Towarzystwo Tatrzańskie, jakkolwiek niedawno istnieje, zrobiło już niejedno dla wygody turystów i ułatwienia im przystępu do najpiękniejszych miejscowości. Urządziło w Zakopanem kassyno zaopatrzone w kilkanaście dzienników polskich, zbudowało obszerne schronienie przy Morskiem Oku i u stóp góry Krzyżne, altanę w dolinie Kościeliskiej tak obszerną, że w niej w razie potrzeby sto osób pomieścić się może. Prócz tego otoczyło poręczami miejsca mniej bezpieczne, a przez strumień zwany Czarnym Dunajcem, który z pod skały Pisaniej wypływa, przeprowadziło wygodną kładkę z poręczami, i urządziło wygodną ścieżkę, począwszy od góry Kondratowej aż pod szczyt Czerwonego Wierchu.

— Wydział krajowy Galicyjski, na wezwanie komitetu zajmującego się uroczystością przy otwarciu uniwersytetu niemieckiego w *Czerniowcach*, na Bukowinie, odmówił swego udziału.

— Rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem obchodzono w Żółkwi w Galicyi, d. 12 września r. b. Ze Lwowa przybyło 100 osób, oraz straż pożarna z Rawy, Sokola, Mostów, Kamienki Strumikowej, Kulikowa i Lwowa; ta ostatnia straż przybyła z teatrem amatorskim, żywymi obrazami, i kwartetem wokalnie instrumentalnym. Obraz z żywych osób przedstawiał Jana III dającego posłuchanie legatowi papieżkiemu i posłowi austriackiemu; był nim p. Weber drukarz ze Lwowa, przypominający tego króla rysami twarzy i postawą. Bawiono się ochoczko do późnej nocy, a dochód z tego festynu przeznaczony został na straż pożarną w Żółkwi. Żółkiew słynie, jak wiadomo, zarówno pomnikami grobowymi Żółkiewskich, jak i historycznymi obrazami z czasów wyprawy Wiedeńskiej. W dniu 13 września r. b. upłynęło lat stodziewięćdziesiąt dwa, od chwili pamiętnego zwycięstwa Jana Sobieskiego, które groźną dla Europy potęgę muzułmanów skruszyło.

— We Lwowie wyszedł tom III dzieł zupełnych Wincen-tego Pola i zawiera: 1) Pamiętniki JMP. Benedykta Winnickiego, w trzech częściach; 2) Mohort, rapsod rycerski z podania; 3) Półwóz, dramat w trzech częściach. Zbiór cały obejmie dziesięć tomów.

— W Stanisławowie w Galicyi stanął pomnik Maurycego Gosławskiego, poety-żołnierza, którego polskim Körnerem nazwać można. Pomnik ten ma 9 stóp wysokości, bez podmurowania. Popiersie nieboszczyka wykonał p. Marconi, Warszawianin, professor lwowskiej akademii technicznej. Pod popiersiem tablica marmurowa ze złotym napisem. Obok niej z jednej strony lutnia, z drugiej zwój papierów, a wszystko okolone laurem.

— Na ostatniem posiedzeniu wydziału nauk historycznych i moralnych Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu, prezes wydziału p. Koźmian czytał rozprawę „O kilku dawnych cudzoziemskich utworach, z przedmiotów polskich.“ Wymieniwszy z tytułów niektóre dawne dzieła hiszpańskie, włoskie i francuzkie, odnoszące się do Polski, rozbiarał głównie dwa dramata angielskie na przedmiotach polskich osnute. Jeden z nich ogłoszony na początku XVIII wieku, nosi tytuł „Bremoxalt,“ albo „Zagniewany półkownik,“ autorem jego jest sir John Suckling. Rzecz dzieje się w Polsce, między Koroniarzami a Litwinami. Drugi dramat, znana „Powieść zimowa“ Szekspira, osnuty jest na dziejach Ziemowita III księcia mazowieckiego i jego żony—jak to znany historyk, dr. Caro, pierwszy zwrócił uwagę. Pan Koźmian wyłuszczył obszernie treść dramatu, i poparł domysł dr. Caro swemi wywodami.

Następnie konserwator i sekretarz Tow. p. Feldmanowski, czytał pogląd na dzieje prac konserwatorskich, oraz na dary w tym czasie nadesłane, i zawiadomił o pracy nad katalogiem obrazów i rycin Tow. w dwóch oddziałach, t. j. pochodzących ze zbioru Karłowickiego i Mielżyńskiego; w końcu biblioteki Mielżyńskich, mieszczącej w sobie wiele dzieł dotyczących sztuk, i biblioteki po Elżanowskim, darowanej Tow. za pośrednictwem dr. Szulca: zawiera ona dzieła odnoszące się do nauk ścisłych. Zawiadomił także p. Feldmanowski, że zmarły p. Haake zapisał Tow. swoją bibliotekę, odziedziczoną po arcybiskubie Przyłuskim. Zwracamy uwagę, że co się dotyczy Szekspira dramatu: „Powieść zimowa,“ tłumacz takowego Gustaw Ehreberg, w przedmowie swój szeroko a gruntownie dowodzi, że treść wzięta z dziejów Mazowsza.



Dnia 24 sierpnia r. b. umarł w Warszawie *Zygmunt Sztebler*, jeden z najdawniejszych księgarzy naszych, mając lat 85 wieku. Był księgarzem b. Towarzystwa Królewsko - Warszawskiego Przyjaciół Nauk i wydawcą kilku dzieł treści religijnej. Ostatnie lata sędziwy starzec spędził w niedostatku.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójciok**.

Wydawca *Józef Berger*.